

PO DYMISJI JACKA KURSKIEGO

Od hipstera prawicy do szefa TVP
– kim jest Mateusz Matyszczkiewicz



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 40/496 3–9 PAŹDZIERNIKA 2022
CENA 9,90 Zł (W TYM 8% VAT)

Zagadka doradcy
prezydenta Zełenskigo
– Ołeksija Arestowycza

KREACJE ŻYCIA
FRANCISZKA
PIECZKI
– POŻEGNANIE
AKTORA



Czy Polska wróci
do poszukiwań
gazu łupkowego?

W STRONĘ III WOJNY ŚWIATOWEJ?

Piszą: Rafał A. Ziemkiewicz, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Wojciech Golonka



NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**Kulisy mordu
na Mikołaju II**

Sean McMeekin – **Dlaczego bolszewicy wygrali?**

Mikołaj Iwanow – **Mroczna tajemnica Lenina**

Michał Patryk Sadłowski – **Śmiertelne błędy białych**

Tomasz Stańczyk – **Polacy w piekle rewolucji**

Jarosław Syrnyk – **Skąd się wzięli Ukraińcy?**

Blendi Fevziu – **Hoxha: krwawy dyktator Albanii**

Rafał A. Ziemkiewicz – **Dziaders i „Dziady”**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Na wojennej ścieżce

Wielu zna to osobliwe uczucie, kiedy podczas złego snu na naszych oczach dzieje się z nami coś bardzo niebezpiecznego, a my możemy to jedynie obserwować. W koszarze to, co najważniejsze, dokonuje się poza nami. Mam podobne wrażenie, obserwując rozwój wypadków na Ukrainie. Z tygodnia na tydzień, a teraz wręcz z dnia na dzień, ryzyko eskalacji wojny rośnie. Najpierw mobilizacja w Rosji i ogłoszenie pseudoreferendów na podbitych ukraińskich ziemiach, potem zniszczenie gazociągów Nord Stream 1 i 2. Czy zrobili to sami Rosjanie? Wielu analityków tak uważa. Jeśli tak było, to można się spodziewać, że następnym celem ataku może stać się nowo uruchomiony Baltic Pipe. Skoro mamy do czynienia z wojną na wyniszczenie, w której wszystkie chwytaki są dozwolone, to nie da się tego wykluczyć. Zresztą również w przypadku, gdyby za zniszczenie odpowiadały inne podmioty, Radek Sikorski wskazał na Amerykanów, skutek – potencjalne zagrożenie dla całego światowego systemu dostaw gazu – jest ten sam.

O ile nie można na razie ogłosić, kto dokonał zniszczeń gazociągów, to można dostrzec, że rosyjscy politycy coraz częściej mówią o użyciu broni atomowej. Nie są to chyba pogrózki, o czym najlepiej świadczy zachowanie byłej kanclerz Niemiec, Angeli Merkel. Według niej groźby prezydenta Rosji należy traktować poważnie. „Nie lekceważenie ich, ale traktowanie ich poważnie nie jest oznaką słabości, lecz oznaką mądrości politycznej, która pomaga zachować pole manewru” – stwierdziła. Czy przejawem tej mądrości są posunięcia Zachodu?

Do tej pory Stany Zjednoczone przeznaczyły na pomoc militarną

Ukrainie kilkadziesiąt miliardów dolarów – prawie tyle, ile na zbudowanie Bundeswehry zamierza wyłożyć kanclerz Olaf Scholz. Państwa Unii nałożyły na Rosję siedem pakietów sankcji, ósmy jest przygotowywany. Sankcje z pewnością uderzyły w Rosję, ale z każdym dniem widać, że w jeszcze większym stopniu niszczą one gospodarkę europejską. Można sądzić, że czeka nas dramatyczny okres niepokojów i rozruchów społecznych.

Dzięki gigantycznej pomocy wojskowej i finansowej Ukraina przetrwała atak Rosji i przeprowadziła udaną kontrofensywę. Paradoks polega na tym, że porażki rosyjskich wojsk konwencjonalnych sprawiają, iż Moskwa może być bardziej skłonna do użycia broni jądrowej. Najgorsze, że do tej pory nie wiem, jaki jest naprawdę cel działań zachodnich. Obalenie reżimu Putina (jak sugerował premier Mateusz Morawiecki)? Doprowadzenie do rozpadu Rosji (nadzieja gen. Bena Hodgesa)? Odzyskanie przez Ukrainę wszystkich terenów zajętych przez Moskwę od 2014 r., łącznie z Krymem, Donieckiem i Ługańskiem, co obiecuje prezydent Wołodymyr Zełenski i co zdaje się wspierać prezydent Andrzej Duda? Łatwo zauważyć, że osiągnięcie każdego z tych celów oznaczałoby prowadzenie wojny na pełną skalę, być może przy użyciu broni atomowej. Czy o to chodzi? Gdyby politycy kierowali się rozsądkiem, to oprócz instrumentów nacisku ekonomicznego i militarnego posługiwaliby się jednocześnie narzędziami dyplomatycznymi. Tego drugiego czynnika w ogóle nie widzę. Waszyngton liczy na to, że problem rozwiąże się sam.

Ogół polskich komentatorów zachowuje się tak, jakby możliwych konsekwencji takiej

polityki nie chciał dostrzegać. Kilka tygodni temu mówiłem, że przedłużanie wojny nie leży w polskim interesie. Im trwa ona dłużej, tym bardziej rykoszetem dostaje polska gospodarka. Dramatyczne osłabienie złotego, skoki inflacji, rosnący pesymizm firm to tylko sygnały alarmowe. Podobnie rośnie niebezpieczeństwo wciągnięcia Polski do konfliktu. W sytuacji, w której przekształcił się on w wojnę jądrową, łatwo zauważyć, że jesteśmy także jedną z potencjalnych ofiar, o czym zresztą wspominają już niektórzy rosyjscy propagandyści. Jest tak po pierwsze ze względu na samą geografie i sytuację strategiczną. Jeśli między NATO i Rosją dojdzie do frontalnego zderzenia, to Polska może stać się głównym teatrem działań zbrojnych. Jest też tak ze względu na potencjał wrogości do Polaków w Rosji.

Czy właściwą odpowiedzią na te zagrożenia jest prowadzona przez Warszawę polityka, zgodnie z którą Polska konsekwentnie występuje w roli najbardziej radykalnego zwolennika sankcji i najgłośniejszego orędownika sprawy ukraińskiej? Trudno mi dostrzec w tych działaniach roztropność. Postępując w taki sposób jak do tej pory, Polska nie ma praktycznie pola manewru. Uprawia politykę „wszystko albo nic”. Nie dąży do ograniczenia konfliktu. Nie próbuje nawet, obawiam się, zyskać na czasie choćby po to, by się lepiej uzbroić. Przyczyny są dwie. Po pierwsze – przekonanie o słabości Moskwy. Cóż, roztropność mówi, by nigdy nie lekceważyć przeciwnika. Po drugie – zaufanie do Stanów Zjednoczonych, przeświadczenie, że z ich poparciem nic nam nie grozi. Tu też doświadczenie uczy czego innego. ©



TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

SPOKOJNIE JAK NA WOJNIE

W stronę trzeciej wojny światowej?

18 PIOTR SEMKA

MOBILIZACJA KRUSZEJĄCEGO MOCARSTWA

20 ŁUKASZ WARZECHA

EMOCJE NA BOK

22 WOJCIECH GOŁONKA

CZY KTOŚ ZATRZYMA WOJNĘ?

KRAJ

24 ROZMOWA Z WITOLDEM WASZCZYKOWSKIM

NALEŻY SŁUCHAĆ KONSERWATYSTÓW

Sankcje na Polskę większe niż na Rosję

28 TOMASZ ROWIŃSKI

ROMANTYCZNY RYCERZ W TVP



32 ZUZANNA DĄBROWSKA

KTO WIESZA CHRZEŚCIJAŃSKIE BILLBOARDY?

34 ŁUKASZ ZBORALSKI

BIEDAKRADZIEŻE

KULTURA

36 TOMASZ Z. ZAPERT

OD KSIĘDZA DO PANA BOGA

23 września na niebiańską scenę odszedł Franciszek Pieczka

39 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

KRYPTONIM POLSKA

40 PIOTR GOCIEK

OSZUKAĆ SYSTEM, CZYLI KLASIKA KINA W SIECI

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 MARCIN ROMANOWSKI

PROJEKT „ODZYSKAĆ EUROPE”

UE musi się zmienić

52 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

SŁOWA BEZ ZNACZENIA

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI

PAPIEŻ KONTRA KARDYNAŁOWIE

HISTORIA

56 JERZY DĄBROWSKI

DINTOJRA

Śmierć Trockiego

ŚWIAT

60 OLIVIER BAULT

„JESTEM GIORGIA”

Włoski triumf prawicy

64 MACIEJ PIECZYŃSKI

KIM JEST OŁEKSIJ ARESTOWYCZ, DORADCA PREZYDENTA ZEŁEŃSKIEGO

66 WITOLD REPETOWICZ

IRAŃSKIE REWOLUCJE



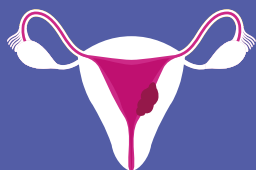
EKONOMIA

68 JAKUB WOZINSKI

ŁUPKI: REAKTYWACJA?

Niedobór surowców

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK (11), GMYZ, GOCIEK (14), ZYCHOWICZ, KOPER (59), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (72), KOMUDA (78), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), NOWAK (81), CEJROWSKI (82)



Rak endometrium rozwija się w błonie wyściełającej macicę nazywanej endometriumⁱ.

Objawy podmiotowe i przedmiotoweⁱ



Krwawienie z pochwy lub upławy niezwiązane z miesiączką



Krwawienie z pochwy po menopauzie



Trudności lub ból podczas oddawania moczu



Ból podczas stosunku płciowego



Ból w okolicy miednicy

U kogo i jak często występuje



Rak endometrium to **szósty co do częstości występowania** rak rozpoznawany u kobiet na całym świecie i **najczęstszy nowotwór złośliwy** żeńskiego układu rozrodczegoⁱ.



Każdego roku na świecie wykrywa się **417 000 nowych przypadków zachorowań**ⁱⁱ.



Liczba rozpoznanych raka endometrium na świecie zwiększa się w ostatnich latach. W okresie od 2000 do 2010 r. uległa ona podwojeniuⁱⁱⁱ.



Rak endometrium cechuje się **trzecim najwyższym wskaźnikiem śmiertelności** spośród wszystkich złośliwych nowotworów układu rozrodczegoⁱⁱ.



Rak endometrium występuje najczęściej **u kobiet po menopauzie**; mediana wieku pacjentek wynosi **61 lat**^{iv}.

Trudności w leczeniu choroby zaawansowanej lub nawrotowej



Niezbędna jest kontynuacja badań nad nowymi metodami leczenia pacjentek z zaawansowaną lub nawrotową postacią choroby, u których doszło do progresji w trakcie lub po chemioterapii zawierającej pochodne platyny, ponieważ — jak wynika z literatury — rokowania w tej grupie są niekorzystne^v.

W przypadku raka endometrium obserwuje się największą częstość występowania zaburzeń naprawy niedopasowania genów (dMMR) i niestabilności mikrosatelitarnej (MSI-H) spośród wszystkich nowotworów^{vi, vii}.

W przypadku nowotworów z dMMR częściej występują mutacje, co powoduje, że z większym prawdopodobieństwem można u takich pacjentek uzyskać odpowiedź na leki mające wpływ na receptor programowanej śmierci 1 (PD-1) i ligand dla receptora programowanej śmierci 1 (PD-L1)^{vi, vii}.

i. Endometrial Cancer Treatment (PDQ®)-Patient Version. National Cancer Institute. <https://www.cancer.gov/types/uterine/patient/endometrial-treatment-pdq>. Dostęp: styczeń 2021 r.

ii. Sung H, Ferlay J, Siegel R i wsp. Global cancer statistics 2020: GLOBOCAN estimates of incidence and mortality worldwide for 36 cancers in 185 countries. CA Cancer J Clin. 2021. doi:10.3322/caac.21660

iii. Lortet-Tieulent J, Ferlay J, Bray F, Jemal A. International Patterns and Trends in Endometrial Cancer Incidence, 1978-2013. JNCI: Journal of the National Cancer Institute. 2017;110(4):354-361. doi:10.1093/jnci/djx214

iv. TV Ajithkumar. Oxford desk reference. Oxford: Oxford University Press. 2011.

v. Endometrial Cancer Treatment (PDQ®)- Health Professional Version. National Cancer Institute. <https://www.cancer.gov/types/uterine/hp/endometrial-treatment-pdq>. Dostęp: styczeń 2021 r.

vi. Bonneville R, Krook M, Kautto E i wsp. Landscape of Microsatellite Instability Across 39 Cancer Types. JCO Precis Oncol. 2017;(1):1-15. doi:10.1200/po.17.00073

vii. Le DT, Uram JN, Wang H i wsp. PD-1 blockade in tumors with mismatch-repair deficiency. N Engl J Med. 2015;373(20):1979-1979. doi:10.1056/nejmc1510353

TYGODNIK LISKIEGO
DO
RZECZY
ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

 Cezary Gmyz, Piotr Gociel, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
 Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

 Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowski,
 Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Cocić (*Brusela*),
 Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
 Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwiel,
 Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (*Rzym*),
 Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Leniczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
 Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
 Katarzyna Pinkos, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
 Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
 Błażej Torzeński, Szezech Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski,
 Małgorzata Wolczyk, Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski,
 Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska**,
 Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj,
 Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski,
 Łukasz Żygadło.

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),

Marta Michałowska, **Jakub Tański** (skład),

Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)

 Fotoedycja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Trzask**

 Korekta: **Anna Zalewska**, **Magda Zubrzycka-Wemerowska**,

Agata Błaszczak-Stefaniak
RYSONOWNICY: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztofa**

 Okładka: **Sefa Karacan/Anadolu Agency/Getty Images**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

 Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW


Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, **Agnieszka Jabłońska**,
Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**
MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl, tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
 prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
 pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 54 000 egzemplarzy
DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
 ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez **RUCH SA**:

 Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
 składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

 e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
 Klienta, „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
 w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

 © 2017 Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Mowa-trawa

A cóż to się z mową naszą dzieje? Z mową, która do każdego z nas niegdyś należała? Z mową ojczystą, że patetycznie rzecz ujmę? Patrzymy bezzadani i bezzinni, jak tonie nieszczęsna w groźnym bagnie bezsensownej gadaniny. I nikt nawet nie usiłuje walczyć z bzdurnym bełkotem burzącym porządek zastanego świata. Może powstanie coś nowego?

Nowy wspaniały świat?

Skąd ta powszechna akceptacja – nie dla neologizmów, lecz wręcz dla nowotworów językowych? Dla zdumiewających argumentów lingwistycznych?

Przykładem służę: w numerze 31.

„Polityki” (str. 15) dowiadujemy się, „jak mówić: homoseksualność, biseksualność [to podkreśla czerwonym wężym mój stary, biedny – widać głupi – komputer – przyp. J.G.] [...] Jak nie mówić: homoseksualizm, biseksualizm, transseksualizm (-izmy nasuwają skojarzenia z chorobami, patologiami czy ideologiami)”. Koniec cytatu.

Wiem do czego zaliczamy obecnie humanizm, idealizm, a nawet pozytywizm? Do patologii czy do ideologii? A może do jednostki chorobowej? I właściwie dlaczego ideologie są zaliczane do jednej grupy z patologiami i chorobami?

Nikt nie protestuje? Wszyscy się zgadzają? Żadnych sprzeciwów?

Przyczyna jest prosta: każde usłyszaną twierdzenie uznajemy w pierwszym momencie za prawdziwe. Pisał już o tym w XVII w. filozof Baruch Spinoza, człowiek mądry niesłuchanie, lecz głęboko nieszczerliwy, bo wszędzie obcy. Twierdził on mianowicie, że etykietką „fałsz” możemy opatrzyć cudzą wypowiedź dopiero po dodatkowym, niekiedy sporym wysiłku intelektualnym, a większości ludzi – po prostu – nie chce się ustawicznie myśleć. Z tego właśnie powodu 70 proc. każdego społeczeństwa zaakceptuje zawsze absolutnie wszystko. Można o tym fenomenie przeczytać w amerykańskim studium „O tyranii” (Timothy Snyder, 2017, wyd. polskie: Znak Horyzont, Kraków 2017).

I tak lenistwo umysłowe stało się po stronie tych, którzy bzdury plotą,

plotą czasem z bezmyślności, a czasem z premedytacją. Zgubne niechciewstwo poparło liczne grono dworaków Królowej Bzdury, panującej globalnie i bezwzględnie. I nie ma wielkiej tragedii, gdy dwórki-szczębiotki bawią się rozkosznie w infantylne igraszki lingwistyczne, dotyczące np. słowa „historia”.

Niektórzy wiedzą, że jest to słowo rodu greckiego, inni uczyli się jedynie amerykańskiego i ci inni wymyślili rzecz następującą: w słowie „history” sylaba „hi” poprzedza „story”, a więc może dotyczyć jedynie męskiej narracji („jego story”), a przecież istnieją także damskie opowieści rzewnej treści, przeróżne „jej stories”.

Po głębokim namyśle utworzono „herstory”, co przekłada się na półpolski jako „herstoria”, choć w naszym języku słowo „storia” jako żywo nie egzystuje.

Nie tylko o purystów językowych szczególnie zachwyty budzi „jej herstoria”, jej jejstoria, o, jej, jej... Postawię taką herpotezę, że to hersteria lingwistyczna dam (a może „damów”) się uzewnętrznia i „stanęła posągą człowieka na posądzę świata”.

Pytanie jednakowoż nasuwa się takie: A co z osobami binarnymi? Czy mają swoją „hihersorię” czy też „herhistorię” i właściwie dlaczego mają mieć więcej (sylab) niż inni? Trudny problem stoi przed współczesną Europą. Ile będzie się jeszcze musiała nauczyć przeciętna osoba uczniowska? Nie będą w stanie pomóc jej (?) w tym osobniki wyjściowe zwane niegdyś „rodzicami”, zajęte obecnie trudnym problemem swojej cisplciowości.

Bieda, panio, bieda...

Powiedziałam, co wiedziałam, wzięłam smartfon, odleciałam!

Granice naszego języka to granice naszej rzeczywistości – znane twierdzenie Wittgensteina. Dziś te granice wyznacza zwycięska kopolalia, czyli przymusowe wypowiadanie słów wulgarnych. To jest nasza nowa wolność i wygoda: za pomocą trzech-czterech słów można wyrazić wszystko. Niegdyś był to książkowy przykład choroby psychicznej. Wystarczy poczytać jakieś starsze wydanie podręcznika psychiatrii klinicznej, w nowszych bywa pomijany, to zbyt wielu byłoby chorych, prawdziwa pandemia, z którą nikt nie walczy.

I pomyśleć, że Arystoteles nazywał niewolnika „mówiącą rzeczą”, bo niewolnikowi zawsze i wszędzie można było

jego nieistotnej paplaniny zabronić. Tym też różnił się od wolnego obywatela.

A kimże teraz jesteśmy, jeśli wolno nam używać coraz mniejszej liczby słów? I kto o tym decyduje? Referendum jakieś było?

Po Murzynie i Cyganie zabroniono rzeczownika „Eskimos” (piszę ze strachu wszystko dużą literą).

Kto wie, jakie następne rzeczowniki pospolite staną się nagle obelgami? Co jeszcze wymyślą anonimowi, niepełno-sprytni cenzorzy?

A może od razu ogłosić jedyną słuszną listę słów poprawnych politycznie? A jeśli lista ta znów ulegnie skróceniu? Jak wówczas uniknąć ostracyzmu lub wręcz procesu sądowego?

nie chodzi”. Tak stwierdził w „Obecności mitu” Leszek Kołakowski. I miał, niestety, rację.

Joanna Gralińska

Komentarz do tekstów na temat imigracji

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem w „Do Rzeczy” teksty Rafała A. Ziemkiewicza („DRz” nr 36/2022) i Łukasza Warzechy („DRz” nr 38/2022) na temat imigracji.

W tekstach zabrakło mi dokładniejszego skupienia się na rozróżnieniu imigrantów od uchodźców. Ukraińców uciekających przed wojną miesza się

Co do imigracji zarobkowej, to byłbym bardzo ostrożny, jeśli chodzi o „turystów Łukaszenki” z północnego Iraku. Ziemkiewicz przytacza relację Otoki-Frąckiewicza, który twierdzi, że są to w dużej mierze ludzie zamożni, chcący przyjechać do Europy w celach zarobkowych. Kłóci się to niestety z relacją niemiecko-libańskiego reżysera Imada Karima, który nakręcił ciekawy dokument pt. „Niemiecki kryzys migracyjny Polski” (Karimowi pomagał Cezary Gmyz). Rozmówcy Karima deklarują co prawda chęć podjęcia pracy w Niemczech (ciekawe, dlaczego właśnie w Niemczech), ale rzeczywistość jest brutalna, bo okazuje się, że chcieć nie znaczy móc i zdecydowana większość imigrantów ląduje nad Renem na zasiłku socjalnym. Dzieje się tak nierzadko, bo kwalifikacje przybyszów okazują się niewystraszające dla technologicznie zaawansowanego rynku pracy. Posłuży się własnym doświadczeniem. Wziąłem jakiś czas temu udział w konferencji dotyczącej integracji imigrantów na rynku pracy w Niemczech w Wuppertalu. Przedstawiciel landowego oddziału Urzędu Pracy przytoczył przykład zawodu mechanika samochodowego. Mówił, że dziś pierwszą czynnością fachowca jest podłączenie komputera, a imigranci z Bliskiego Wschodu i Afryki nierzadko są półanalfabetami (nie tylko technologicznymi).

Ponadto pamiętajmy, że północny Irak jest w większości zamieszkały przez Kurdów. Oczywiście Kurdowie są nękani przez Państwo Islamskie, bo jazydzi są dla muzułmanów kimś gorszym niż niewierni. Kompatybilność ich kultury z europejską jest jednak bardzo ograniczona. Kurdyjskie dziewczynki są również wydawane za mąż przez głowy rodziny i zdarzają się niestety morderstwa rytualne na kobietach, które „poplamiały honor rodziny”. Do tego na zachodzie Europy toczą się wręcz wojny gangów między społecznością kurdyjską i muzułmańską.

Uważam, że dla dobra kraju i jego gospodarki powinniśmy zadbać o dwie kwestie. Po pierwsze, zachęcić Polaków mieszkających poza granicami do powrotu do ojczyzny. Po drugie, stworzyć system wzorowany na zielonej karcie, czyli selektywne wydawanie wiz dla imigrantów do zawodów, w których brakuje rąk do pracy. Ale powinni oni mieć potwierdzone odpowiednie kwalifikacje oraz wykazać się znajomością języka polskiego.

Serdecznie pozdrawiam
Wojciech Wilczek, Niemcy



Niewolnika bowiem interesuje wyłącznie samozachowanie: byle nikomu nigdy niczym się nie narazić (to już Hegel, moi drodzy, to już Hegel).

Przymilno-niewolnicza chęć przypodobania się zawsze i wszystkim jest żałosna, do niczego dobrego nie prowadzi, ponieważ jest to „prześlizgiwanie się przez życie w koleinach tępej paplaniny, w dobrodusznej atmosferze zgody, które dostępuje w pełni zawsze tam, gdzie o nic nikomu

z imigrantami zarobkowymi z Azji. A to zasadnicza różnica. Jeśli chodzi o pierwszą grupę, to jesteśmy w stanie podjąć odpowiednie kroki, aby takową imigracją sterować. W drugim przypadku z wiado-myh powodów jest to niemożliwe. Prawdopodobnie większość Ukraińców będzie chciała wrócić do ojczyzny, ale musimy być przygotowani na to, że im dłużej będzie trwała wojna, tym więcej Ukraińców będzie chciało zostać w Polsce na stałe.



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Morawiecki **redivivus**

Premier przetrzymał próbę wysadzenia go z siodła, co oficjalnie podkreślił Jarosław Kaczyński na wyjazdowym spotkaniu klubu PiS w Pułtusku. Nieformalną twarzą próby zamiany premiera był Jacek Sasin. Kto jeszcze stał za frakcją próbującą dokonać zmiany? Zwolennicy premiera wskazują na marszałek sejmu Elżbietę Witek, która była wymieniana jako ewentualny następca Morawieckiego. Pojawiały się też opinie, że za chęcią zmiany stoi tzw. zakon PC, ale ten podział nie jest do końca trafny. Morawiecki, jak to już było w paru poprzednich kryzysach, wykorzystuje to, że nikt inny nie potrafi tak jak on żonglować piłeczkami znajomości ekonomii, isticie czarodziejską skutecznością w wyszukiwaniu pieniędzy na wsparcie budżetu i wreszcie – z powodu umiejętności poruszania się po europejskich salonach dyplomatycznych.

Ale wszystko wskazuje na to, że zakończy się misja rządowa Michała Dworczyka. Dworczyk podchodzi do swojego odejścia z rządu w bardzo spokojny sposób: „To była wspólna decyzja, zamykam pewien etap swojej działalności publicznej”. To z jego punktu widzenia rozsądna

polityka. Nietrudno sobie wyobrazić sytuację, w której objąć może np. zadania organizacji kampanii wyborczej PiS.

Prócz odejścia Dworczyka w rządzie nastąpią przetasowania i tak naprawdę żaden z ministrów nie może być pewny utrzymania swojej funkcji. Taki sens miały wypowiedziane w Pułtusku słowa Kaczyńskiego o tym, że „wszyscy zajmujący jakiegokolwiek kierownicze stanowiska – czy to w rządzie, czy w partii – muszą być do pełnej dyspozycji”. Na wyjaśnienie czeka sprawa Jacka Kurskiego, o którym znów mówi się jako o kandydacie na jedno z ważnych ministerstw.

Spotkanie w Pułtusku było ciągiem dalszym cyklu rozmów wychowawczych Jarosława Kaczyńskiego ze swoimi posłami. Prezes PiS irytował się, że na spotkaniu pewnych posłów nie było, i kądśliwie pytał, czy nieobecni nie wierzą w swoją reelekcję. Każdy, kto zna styl takich zgryźliwych uwag naczelnika, wierzy, że nie wróżą one dla zainteresowanych niczego dobrego. Szczególnie że już niedługo prezes rozpocznie przymiarki do nowych list wyborczych. Irytację Kaczyńskiego

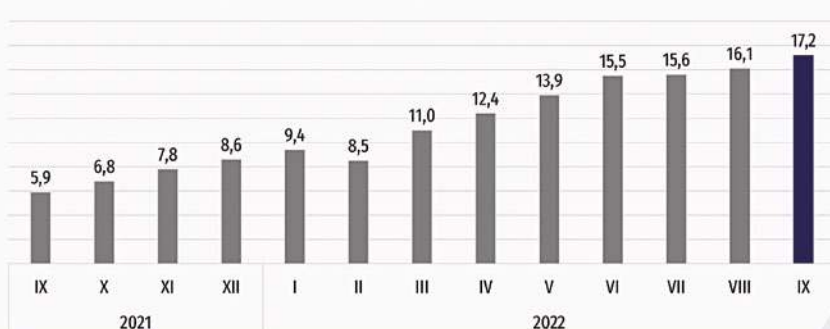
wywołało też to, że w głosowaniu nad zniesieniem immunitetu Grzegorza Brauna z Konfederacji dwóch posłów PiS z tylnych rzędów – Mariusz Gosek i Maria Kurowska – zagłosowało przeciw, a trzech wstrzymało się od głosu, w tym wiceminister klimatu i środowiska Jacek Ozdoba z Solidarnej Polski. Kaczyńskiemu mogło się to skojarzyć z taktyką SP niepalenia mostów z Konfederacją. A prezesa PiS rusofilskie nastawienie Grzegorza Brauna bardzo zdecydowanie odrzuca.

Tak czy inaczej rozpoczyna się sezon jesienno-zimowy, w którym Morawiecki będzie musiał wykazać się sprawnością. Jeśli Polacy uznają, że mimo ograniczeń w dostawach surowców zima nie będzie chłodna, to spojrzą na PiS znacznie przyjaźniejszym okiem. Częściowo robotę na tym polu ułatwia opozycja, która ogłosiła, że zimą Polacy będą mieli lodowate mieszkania. Jeśli PiS wykaże, że były to kolejne zwidy i katastrofizm Tuska, Hołowni i Kosiniaka-Kamysza, to PiS będzie miał szansę wyjść w dobrym stylu na ostatnią prostą przed wyborami sejmowymi. Morawiecki kolejny raz okazał się niezbędny. © ©

@GUS_STAT @GłównyUrządStatystyczny Główny Urząd Statystyczny @gus_stat Główny Urząd Statystyczny GUS

Ceny towarów i usług konsumpcyjnych (szybki szacunek)

zmiana w % do tego samego miesiąca poprzedniego roku



INFLACJA PRZEBIŁA 17 PROC.

Ze wstępnych szacunków, przedstawionych przez Główny Urząd Statystyczny w ubiegłym tygodniu, wynika, że we wrześniu ceny były w Polsce wyższe średnio o 1,6 proc. niż w sierpniu. Z kolei w porównaniu z podobnym okresem w poprzednim roku ceny były wyższe aż o 17,2 proc. Takiego wskaźnika inflacji nad Wisłą nie było od ponad dwóch dekad. Ostatni raz inflację na podobnym poziomie odnotowano w Polsce w 1997 r. (w styczniu tamtego roku wskaźnik wyniósł 18 proc.).

(luz) © ©

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY

FUNDACJA  STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI **2022**

**JUBILEUSZOWA X EDYCJA
WYJĄTKOWYCH NAGRÓD
W KATEGORIACH:**

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: [DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI](https://dorzeczy.pl/straznik-pamieci)

PARTNERZY GŁÓWNI



PARTNERZY



STRABAG
TEAMS WORK.



WSPÓŁORGANIZATOR





RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Stalkerka

Wiadomość, że moja londyńska stalkerka Rupa Huq została zawieszona przez Partię Pracy za rasizm, nie mogła oczywiście ujść mojej uwadze – nawet gdyby nie trafiła do „headline’ów” brytyjskich mediów. Nie będę też ukrywał, że sprawiła mi ona pewną satysfakcję.

To już drugi wypadek, kiedy Huq podpadła w swojej partii – kilka lat temu chciano ją wylać za antysemityzm. Rozpętanie kampanii nienawiści i donosów przeciwko organizacji Polska Niepodległa oraz zaproszonemu akurat przez nią na spotkania autorskie polskiemu pisarzowi – czyli mnie – było właśnie pomysłem na zrzucenie z siebie odium. Bardzo skutecznym, niestety. Dzięki uruchomieniu tej kampanii, obej-

mującej inspirowanie zastraszania wspomnianej organizacji przez policję, apele licznych namówionych przez posłankę „autorytetów” do rządu o wpisanie mnie na listę osób zagrażających porządkowi publicznemu w UK, a w końcu wykreowanie siebie samej w lewicowych mediach nie tylko na głównego „sygnałistę” zagrożenia „polskim ekstremizmem”, lecz także na ofiarę „polskich rasistów”, kariera Rupy Huq ocalała.

Nie na długo, bo pani Huq jest bardzo cwana, ale, delikatnie mówiąc, niezbyt mądra. Przyszło jej do głowy zaatakować nowego brytyjskiego ministra skarbu oskarżeniem, że jest „tylko powierzchownie czarny”. To zapożyczenie z języka skrajnej lewicy w USA, gdzie ruch BLM od dawna głosi, że nie wszyscy czarni są czar-

ni, tylko ci „rasowo uświadomieni” (stąd, np. czarnych kongresmenów Republikańców nie dopuszczono do tworzonego parlamentarnego klubu mniejszości rasowych). Pani Huq wydawało się, że jeśli pójdzie za tym wzorem, oskarżając, że pod czarną skórą Kwasiego Kwartenga kryje się biały patriarchalny cis-heterosuprematysta, znowu zyska poklask. Cóż, okazało się, że „Wesoła Anglia” (i coraz weselsza), gdzie postkolonialny kac każe uznawać za rasizm nawet określenie „czarna kawa” (!), jeszcze do tego nie dojrzała.

Przy swoim sprycie Huq jakoś się znowu wyłga. Ale zarówno to, że od kilku kadencji zasiada ona w brytyjskim parlamencie, jak i to, jakie ma tam kłopoty, wiele mówi o degradacji byłego mocarstwa. ©©

OD POZACZĄTKU

Mechanizm wynarodowienia



MAREK JUREK

Unia Europejska stanowi potężny mechanizm wynarodowienia, systematycznie osłabiający narody od niej zależne. Im większe poczucie zależności – tym ten mechanizm działa skuteczniej. Zmian dokonuje stopniowo, nie poprzez spektakularne przełomy. I dlatego społeczny wpływ tego mechanizmu jest bagatelizowany, a nawet negowany. Działa z jednej strony poprzez wykorzenienie, z drugiej – poprzez przeniesienie lojalności. Proponuje nową konsumpcyjną tożsamość, a w sferze polityki domaga się posłuchu. Nieposłusznych marginalizuje, z punktu oskarżając ich o nastawienie „antyuropejskie”. Żaden, nawet najbardziej nacjonalistyczny ruch w Europie nie

zarzuca tak odruchowo, tak łatwo swym przeciwnikom nastawienia antypolskiego, antyfrancuskiego, antybrytyjskiego. Ta kolektywna świadomość, specyficzny „patriotyzm UE”, zasługuje na osobną analizę.

W „100 godzinach samotności” pisałem o epidemicznej amnezji, po której część społeczeństwa traci kontakt ze swoimi religią, tradycją, wychowaniem. Dobrze ilustruje to przypadek Platformy Obywatelskiej. Przed wstąpieniem do Unii PO ogłosiła w swej deklaracji ideowej, że Dekalog stanowi fundament cywilizacji Zachodu, a jego najważniejsza społeczna dyspozycja to prawna obrona życia, które powinno być chronione „tak jak w Polsce”. Żeby

umocnić się w tej postawie, Platforma – jak podkreślała jako pierwsza partia polityczna na świecie – udała się na pielgrzymkę do papieża, do serca świata katolickiego, do progów apostołskich. Oczywiście można zakładać tu hipokryzję, ale łatwiejszym wyjaśnieniem jest może bezrefleksyjność, może interesowność (różnie w wypadku różnych osób), ale autentyczny udział w ówczesnym narodowym consensusie.

Po 18 latach przynależności do Unii, po uzyskaniu w niej stanowisk przewodniczącego Rady i Parlamentu postawy te poszły w zapomnienie. A deklarację ideową Platforma zapomniała tak kompletnie, że nawet zapomniała ją zmienić. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Ale z Panie teraz nie
Depatdlawiczu!!
Matuzka Rasię
chce was
zmobilizować...

k r y s z t o p a & e s z w e d - j



PIOTR KOWALCZYK
Z RYZMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Naród włoski **znów** pobłądził

Przyczyny klęski wyborczej lewicy prominentny działacz Partii Demokratycznej ateista Walter Verini wyjaśnił krótko: „Włosi nie zawsze dokonują mądrych wyborów. Lud czasami wybiera Barabasa zamiast Jezusa Chrystusa”. W 1953 r., po robotniczych protestach, rozczarowanie narodem wyraziły władze NRD. Bertolt Brecht poradził wówczas niemieckim komunistom, by rozwiązali naród i wybrali sobie jakiś inny.

Włoska lewica powinna z tej rady skorzystać, bo za granicą ma o wiele więcej zwolenników niż w kraju. Pan kanclerz tuż przed wyborami przyjął wodza lewicy Enrica Lettę i udzielił mu wsparcia, a szef niemieckiej SPD zawyrokował, że tylko wybór lewicy uchroni Italię przed powrotem

faszyzmu. Ursula von der Leyen uspokajała naród włoski, że w razie czego przyjdzie mu z odsieczą sankcjami. Oburzyło to nawet Lettę i byłego lewicowego premiera Mattea Renziego. Światowe media podniosły larum, że Giorgia Meloni jest reinkarnacją Duce.

Sprawy mają się jednak nieco inaczej. Jedyna włoska partia postfaszystowska Forza Nuova nie mogła samodzielnie wystartować w wyborach, bo nie zebrała 36 tys. podpisów, czyli poparcia 0,07 proc. dorosłych Włochów. Mimo to cały postępowy świat wyruszył na wojnę z upiorami włoskiej zamierzczej przeszłości.

Natomiast w Italii ze swoim narodem, który tak fatalnie pobłądził, zerwał pupil lewicy pisarz Roberto Saviano („Gomorra”). Ogłosił, że się z kraju wyprowa-

dza. Przestrzegł przy okazji, że centroprawica ma już gotową listę ludzi do wykończenia. Poważnie.

Można i trzeba żyznać się na haniebne prorosyjskie wypowiedzi Berlusconi czy Salviniiego paradującego w koszulce z portretem Putina. Niepokój mogą budzić związki Meloni z Węgrami Orbána. Tyle że po raz kolejny zespół pravicowych poglądów i sprzeciw wobec dalszej unijnej integracji kojarzone są z faszyzmem, wykluczając w ten sposób wszelką dyskusję. Można też twierdzić, że gdyby wygrała lewica, do Italii zawitałby stalinizm. Ale obie hipotezy są tak samo głupie jak ci, którzy w nie wierzą. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

**O WYBORACH WE WŁOSZACH
TAKŻE NA STR. 60**

KAMILA
BARANOWSKA

NA PRÓŻNO

JAK GRAŻYNA
BIZNESU

Szerokim echem w sieci odbił się wywiad, którego Grażyna Kulczyk udzieliła „Gazecie Wyborczej”. Narzeka w nim na dzisiejszą młodzież, która nie chce pracować „dzień i noc”, tak jak wyobrażałaby to sobie pani miliarderka. „Lubię młodych, od zawsze otaczam się nimi w pracy, inaczej przestałabym się uczyć” – mówi. „Oczywiście jest przepaść w podejściu do wielu spraw, pewnie musi być. My byliśmy jedną z pierwszych rodzin, które po transformacji tak mocno pracowały na sukces. Wiara w lepsze jutro pozwalała nam na dokonywanie rzeczy niemożliwych. Pracowaliśmy dzień i noc, sprawiała nam to ogromną



FOT. WPAHOTO / EAST NEWS

frajdę. [...] Dziś w oczach przedstawicieli młodego pokolenia nie widzę tego błysku, zapachu. Zarówno pokolenie Z, wcześniej X, milenialsi...” – narzeka. Nie podoba się jej, że „młodzi zerkają na zegarek, nie chcą pracować dłużej, niż przewiduje ustawa”, a ona potrafiła pracować po 20 godzin bez patrzenia na zegarek. „Jesteśmy w trakcie robienia czegoś fantastycznego, a ktoś nagle wychodzi do domu. Nie dlatego,

że się źle czuje czy że ma dziecko, tylko po prostu, wyczerpał swój czas pracy” – opowiadała pani Kulczyk. „Młodzi chcieliby, żeby efekty były zaraz, głównie finansowe. A to nie przydaje nam tej wartości, o którą tak naprawdę w człowieczeństwie chodzi” – zauważyła. Dziwna ta młodzież. Chce wychodzić z pracy po jej zakończeniu i jeszcze zarabiać godziwe pieniądze. Rzekiwiście, brzmi jak koszmar miliarderki.

TYLKO CIAŁO.
ALBO AŻ

Celebrytka Anna Wendzikowska lekko się oburzyła, że jakiejś fance nie spodobało się jedno ze zdjęć wrzuconych przez nią na Instagram. Konkretnie chodziło o pachę celebrytki, która z jakichś względów nie wzbudziła zachwyty. Potrzebna była szybka reakcja Wendzikowskiej, która postanowiła wytłumaczyć, że pewne sprawy są ważniejsze niż uroda i wygląd. – Ciało to tylko ciało. Jest ważne, bo to dom naszej duszy, ale cholera, są większe wartości. Wszystkich nas czeka i starość, i śmierć, więc to inne aspekty niż uroda tego ciała powinny mieć znaczenie. Niech nas niesie w zdrowiu i równowadze jak najdłużej, ale nie przeceniamy go. My, kobiety, nauczymy się dmuchać nawzajem w swoje skrzydła, bo mnie krytyka nie powali, za stara jestem na to i zbyt doświadczona, ale jest na tym świecie mnóstwo wspaniałych, wrażliwych, młodych osób, którym to może złamać samoocenę na lata... – zaapelowała. Czyli za każdym razem, gdy wrzuca na Insta swoje roznegliżowane zdjęcia, robi to po to, by pokazać światu, jak bardzo ciało jest nieważne? Brzmi logicznie.

CIĘŻAR FEMINIZMU

Aktorka i celebrytka Anna Mucha, goszcząc w programie Kuby Wojewódzkiego, skrytykowała swoją młodszą koleżankę z show-biznesu, jedną z popularniejszych celebrytek, Julię Wieniawę. Poszło o kasę. Otóż Mucha uważa, że kobiety zarabiają mniej od mężczyzn i trzeba to zmienić, a tymczasem Julka w jakimś wywiadzie przyznała, o zgrozo, że jest zadowolona ze swoich stawek i honorariów. – Ja nie chcę tutaj żadnej wojenki, ale jeżeli Julia Wieniawa mówi, że wynagrodzenia i honoraria są OK, bo ona dobrze zarabia,

to znaczy, że daleką drogę musi przejść – stwierdziła Mucha. – Julka, to był błąd, ponieważ możesz nie zdawać sobie sprawy z tego, ale ani nazwisko Wieniawa, ani nazwisko Mucha nie broni cię w tym kraju przed zarabianiem mniej od twoich kolegów, którzy w tym samym czasie za tę samą pracę i za tę samą rolę zarabiają więcej – upominała Wieniawę. Oby pani Mucha nigdy nie odkryła, że jej słabe stawki to nie efekt bycia kobietą, ale czegoś zupełnie innego, i że akurat Wieniawa kosi pieniądze większe niż niejeden facet w show-biznesie. Jej feminizm mógłby tego ciężaru nie udźwignąć.

EDZIA I RYTUAŁY

Edzia Górniak podczas instagramowego czatu ze swoimi fanami została zapytana przez jednego z nich, czy chodzi do Kościoła. – Czasem chodzę – odpowiedziała. – Bo kościół wymaga uzdrowienia. Jest zniszczony i obciążony historią, kłamstwami, sztucznie wykreowanymi religiami i rytuałami – stwierdziła. O sztucznie wykreowanych rytuałach mówi ta sama Edzia, która niedawno twierdziła, że wśród nas żyją „bioroboty, hybrydy i reptilianie” oraz że „nie każdy, kto wygląda jak człowiek, ma duszę”; bo tak naprawdę „ma tylko kombinizon biologiczny”, ale „nie ma połączenia z pierwotną świadomością”. Tak, ktoś tu z pewnością pilnie wymaga uzdrowienia.

TYLKO DLA
OGARNIĘTYCH

Celebrytka Natalia Siwiec postanowiła, nie po raz pierwszy zresztą, powymądrzać się na temat narkotyków, tym razem jednak w kontekście dzieci. O ile przyznaje, na szczęście, że wszelkie substancje psychoaktywne są dla dzieci bardzo groźne, o tyle chwilę później dodaje, że absolutnie nie wszystkie środki są tak samo złe. – Najlepiej, żeby dzieciaki i młodzież spróbowali takich substancji jak najpóźniej – mówi celebrytka. – Te substancje są dobre, ale dla ludzi, którzy już są ogarnięci. Ktorzy gdzieś tam mają rozwinięty mózg, psychikę, wszystko inne – poucza Siwiec. Czyli nie dla niej. To w sumie chyba dobra informacja, prawda? ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak wiecie, iż jesteśmy postępowi i nowocześni, to nie uznajemy czegoś takiego jak autorytety. Niestety, zapatrzony w autorytety jest nasz autorytarny Nowy z Tarnowa, który ostatnio ewidentnie postanowił wzorować się na Jacku Sasinie.

Pewnie słyszeliście, iż Sasin ogłosił, iż rząd będzie chciał wprowadzić podatki od nadmiarowych zysków spółek. Trochę się baliśmy, iż to będzie dotyczyło również kooperatyw spożywczych i innych naszych inicjatyw, ale jednak dotyczy to spółek liczących więcej niż 250 pracowników, no a przecież my nie mamy pracowników, tylko frendów z kolektywu.

W każdym razie jest końcówka miesiąca, czas wypłat, cieszymy się, iż będzie na kraftowe piwko i kraftowego burgerka, a i może wystarczy na kraftowe frytki. Jednak Nowy zarządził audyt, posprawdzał nasze wynagrodzenia i stwierdził, iż niestety odnotowaliśmy nadmiarowe zyski, bo kraftowe piwko i burgereki raz na miesiąc to już zbytek, no ale dobra, on na to machnąć ręką może, no ale jednak te frytki to przegięcie pały.

No i od każdego z nas pobrał, jak to nazwał, „daninę solidarnościową”, która zostanie przekazana jako akt ofiarny naszego korpo na rzecz Skarbu Państwa, iżby nadal można było utrzymywać

niskie ceny w poselskiej restauracji oraz finansować wszelkie nagrody – 13., 14., 15., a nawet 20., bo od każdego zainkasował po stówie.

Tuż po otwarciu przekopanej Mierzei Wiślanej państwo zorganizowało kolejny pokaz megalomanii i myślenia mocarstwowego nieprzystającego do jego faktycznej pozycji i uruchomiło gazociąg Baltic Pipe.

A my się pytamy – czy to w ogóle bezpieczne? Czy ktoś to sprawdzał, kon-

wiele organizacji pozarządowych walczących o równość, świadomość i postęp wciąż pozostaje niedofinansowanych. Przecież to jest wstyd.

Jesteśmy przerażeni tym, co się właśnie dzieje w Europie. Chodzi nam o kors o galopujący postęp faszystu i marsz skrajnej prawicy w drodze po władzę, co właśnie stało się we Włoszech.

Oglądamy sobie wystąpienia tej całej Giorgii Meloni i nie możemy się nadziwić, jakim cudem w XXI w. w środku Europy do głosu dochodzą takie wsteczne siły, które afirmują pojęcia rodziny, a jednocześnie krytycznie odnoszą się do gender.

Dlatego też ogłaszamy bojkot espresso, pizzy (no, może jednak w ograniczonym zakresie), makaronu, lodów, Serie A i Fiata, a na wakacje polecimy do Hiszpanii, gdzie jeszcze jest w miarę normalnie.

I tak sobie myślimy, że dobra już – niech te Włochy się kiszą w tym swoim konserwatywnym sosie, po co nam oni w Eu-

ropie? Dlaczego w ogóle mielibyśmy się nimi martwić? Co w końcu oni takiego wnieśli do wspólnej historii, postępu i europejskiego dziedzictwa? ©©



trolował? Wiadomo, czy można z tego bezpiecznie korzystać? Poza tym skoro gazu i tak ma nam zabraknąć, a tak mówią, to po co to wszystko?

No i znów – wydajemy mnóstwo publicznych pieniędzy na takie oto inwestycje w infrastrukturę, podczas gdy wciąż istnieją inne palące potrzeby, gdy



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ
Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO**

PODSŁUCHANE

Pytania o dolce

**Mat, czy dolar trochę spadnie?
Bo nie wiem, czy kupować teraz, bo
będzie jeszcze drożej, czy czekać.**
Michale, eksperci mówią, że mamy obecnie do czynienia z tzw. perfect storm, w którym zmagamy się z tyłoma zbiegającymi się

jednocześnie perturbacjami, że one razem nakładają się na siebie i wzajemnie się wzmacniają.

Ale to mówiłeś cztery dni temu na konferencji. Ja cię pytam teraz konkretnie, prywatnie, doradź mi, bo mi oszczędności topnieją.
W październiku osiągamy poziom ok. 2 mln ton węgla energetycznego, z którego odsiewamy jakieś pół miliona ton, reszta nie jest marnowana, będzie służyła

polskiej energetyce i polskiemu ciepłownictwu.

Ja cię pytam o dolce! Ty się dobrze czujesz?

Zdecydowaliśmy się zamrozić ceny energii elektrycznej dla gospodarstw domowych do 2 tys. kWh rocznie...

Halo, pani Jolu, proszę przysłać lekarza do gabinetu premiera. Mamy problem. Coś się zacięło. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Gdyby Macierewicz obowiązywało prawo, to już dawno by siedział”.

RADOSŁAW SIKORSKI, europoseł KO,
na Twitterze

Niektórzy pytają: Czy było blisko wymiany premiera? Cóż, w sumie tak. Bo pod koniec ubiegłego tygodnia miał się w tej sprawie zebrać komitet polityczny PiS. Miał, ale czasu mało, więc przed tym posiedzeniem spotkanie odwołano. Rozpoczęto za to publiczne odwoływanie Dworczyka.

Sprawa jest skomplikowana, więc wyjaśnię część pierwszą. E-maile były denerwujące, owszem, ale nie aż na dymisjonowanie. Za to w sytuacji, kiedy nie udało się odwołać Mateusza, antymorawieccy wzięli sobie na cel jego człowieka.

Jednocześnie temat wymiany premiera nie jest zamknięty. Wedle najnowszej koncepcji miało by to się odbyć po zimie. Zima wedle prognoz ma być krótka i ciepła. Choć nie tak, jak sierpień, w którym to miesiącu (na początku) informowaliśmy, że w gronie kandydatów na premiera jest rozważana także marszałek Elżbieta Witek. No więc na początku października informujemy, że teraz to jest nawet bardzo rozważana.

Wracając do ministra Dworczyka – mało kto pamięta, że rok temu informowaliśmy o poszukiwaniach nowego miejsca pracy dla tego utalentowanego człowieka. W spółkach. A konkretnie w KGHM. Które miał zablokować minister od spółek. Czyli Sasin. Ułożyliśmy z okazji rocznicy taki oto wiersz: „Walka o spółki, gdy się raz zaczyna, z dziada przechodzi na ojca, z ojca – na Sasina”.

Skoro już o manewrach wewnątrz obozu rządzącego – to wiewiórki ćwierkają, że trzymający się długo na dystans europoseł Achim Brudziński przeszedł na pozycję zdecydowanie antymorawieckie. Ktoś może zapytać: Dlaczego to ważne? Jeśli zapyta, to znaczy, że niewiele wie o tym, co ważne w PiS.

Tymczasem we Włoszech. Premierem zostanie Giorgia Meloni, liderka partii Bracia Włosi. Co wywołało paniczne obawy o powstanie osi Rzym-Warszawa. Cóż, obawy są spóźnione, gdyż Naczelnik Jarosław przyjął już był Giorgię w Warszawie na ciepłej rozmowie jakoś tak na początku roku 2019.

Zmienne bywają koleje wojny i polityki – kiedy Naczelnik zacięśniał relacje z Meloni, jej partia miała 4 proc. poparcia w sondażach, a część frakcji profesorskiej PiS pukała się w czoła, uważając, że Bracia Włosi to margines marginesów i trzeba wszystko inwestować w relacje z Ligą Mattea Salviniiego, która wtedy miała poparcie dużo większe. Cóż, dziś jest odwrotnie. Co tylko przypomina, że w polityce najważniejsze jest inwestowanie w osoby, a nie w sondaże.

Nie od parady byłoby przypomnienie, że Meloni ma jeszcze inne związki z PiS – jest szefową Partii Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. Co ciekawe, jej kandydaturę wysunął swego czasu pewien polski europoseł. Nic więcej nie powiem.

Po wygranej prawicy we Włoszech niektórzy polscy eurodeputowani zaczęli być indagowani przez kolegów z innych krajów, czy nie wsparliby wniosku o odwołanie Komisji Europejskiej z naszą ulubioną Niemką Ursulą von der Leyen na czele. Marzenie ściętej głowy, ale i tak będzie zabawnie. Włoskie wiewiórki twierdzą, że jednym z głównych negocjatorów Rzymu z Brukselą będzie młody, obiecujący polityk Silvio Berlusconi. Jeśli ktoś uważa go za faszystę, to przypominamy, że jego ludzie zasiadają w tej samej frakcji, co ludzie Tuska.

Kiedy Berlusconi zbyt będzie zajęty organizowaniem spotkań z młodymi kobietami nad basenem, poświęconych wspólnemu czytaniu książek, sprawy europejskie koordynowane mają być przez jego człowieka numer dwa w Forza Italia, czyli Antonia Tajaniego. Tak, zapamiętajcie to nazwisko! Był niedawno szefem europarlamentu! Bo, rozumiecie, są dobrzy faszyci i źli faszyci. Tajani miał wtedy opinię dobrego. Ale teraz znów jest zły.

Tymczasem najbardziej znanym na świecie Polakiem od spraw międzynarodowych został Radek Sknerus Sikorski. Wszystko dzięki jednemu tweetowi, w którym twierdzi, że Nord Stream 2 wysadzili w powietrze Amerykanie. Niektórzy zastanawiają się, na pasku którego wywiadu chadza jaśniepan z Chobielina. Odpowiadamy – od ludzi tak niestabilnych służby każdego kraju trzymają się z daleka.

Àpropos służb. Pamiętacie jeszcze minister w Kancelarii Prezydenta Bognę Jankę? Prywatnie żonę Igora o tym samym nazwisku? Otóż wkrótce po jej dymisji na jej temat zaczęto rozpuszczać plotki, jakoby miała problem z uzyskaniem certyfikatu bezpieczeństwa uprawniającego do dostępu do informacji niejawnych. Nasze wiewiórki twierdzą jednak, że certyfikat uzyskała koncertowo. Problem polega na tym, że nosi on tę samą datę, co data jej dymisji.

Moglibyśmy powiedzieć, że Bogna została z tym certyfikatem jak Himilbach z angielskim, ale tak nie jest. Jak bowiem ustaliliśmy, niebawem będzie jej on znowu potrzebny w związku z objęciem kolejnej funkcji publicznej, do której jest on jej niezbędny. Na razie tylko tyle możemy napisać.

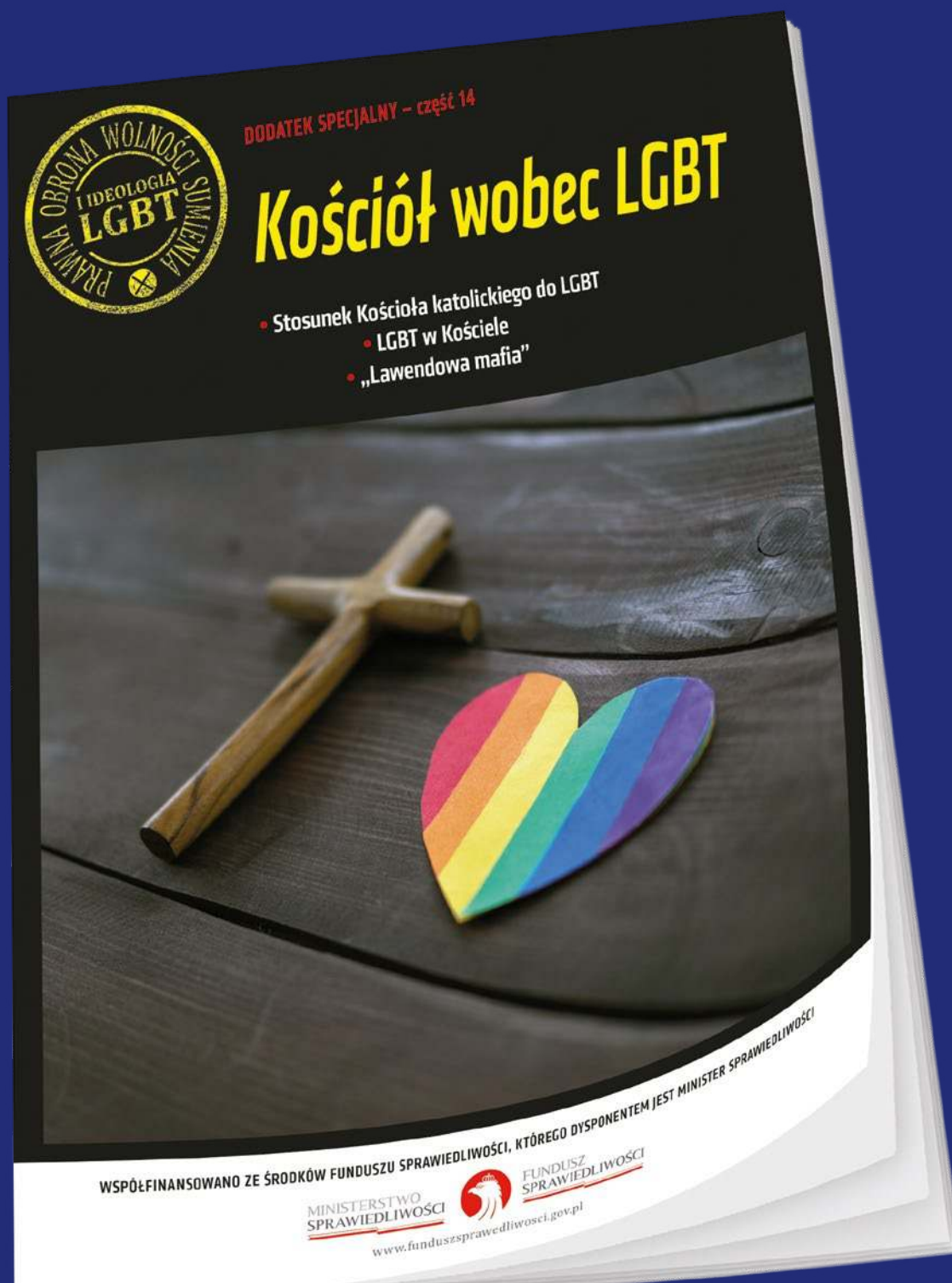
Na koniec akcent ekologiczny. W Parlamencie Europejskim nakazano oszczędzanie energii. W związku z tym temperaturę ustalono na 17 st. C. W związku z czym wszyscy niemożliwie marzną. W związku z czym jedni siedzą w kurtkach, a inni wykupili w brukselskich sklepach farelki. I się dogrzewają. Jako że nie są to urzędnika nadmiernie energooszczędne, składamy mądrości europarlamentu głęboki hołd. ☹☹

dwaj panowie



FOT. ROBERT CAROZINSKI

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!
tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl 27f8e70daa

Spokojnie jak na wojnie

Dochodzenie, kto jest winien obecnemu konfliktowi, nie ma większego sensu. Można powiedzieć, że Rosja, która nie jest w stanie pogodzić się z utratą mocarstwowości i próbuje za wszelką cenę, właściwymi sobie zbrodniczymi metodami, odbudować utracone wpływy. Można powiedzieć, że Ukraińcy, którym – jak kiedyś Polakom, co cały cywilizowany świat miał im za złe – zamarzyło się być niepodległym narodem i państwem. Można też, że Amerykanie, którzy narodowe aspiracje Ukrainy uwzględnił w swojej polityce i postanowili wykorzystać dla swych mocarstwowych interesów, tak jak kiedyś wykorzystali niepodległościowe aspiracje narodów Europy Środkowej do pokonania ZSRS. Historia uczy, że ostateczna ocena zależy od tego, kto ostatecznie obecną wojnę wygra.

Porównanie potencjałów, stopnia organizacji Zachodu, możliwości gospodarczych i mobilizacyjnych, procesów demograficznych i migracyjnych nie pozostawia wątpliwości, że długofalowo rywalizacji z Zachodem Rosja wygrać nie może. Nie mogłaby nawet, gdyby zyskała jednoznaczne, silne poparcie Chin, a te nie mają przecież żadnego powodu, by cokolwiek dla obrony Rosji poświęcać. Przeciwnie, upadek Rosji jest im na



Rafał A. Ziemkiewicz

Trzecia wojna światowa trwa już od dłuższego czasu, jedynie specyfika współczesnej cywilizacji utrudnia wyznaczenie momentu, w którym się zaczęła. Ale powody były te same, co zwykle: jedne państwa słabną, inne rosną i trzeba na nowo poustawić światową „hierarchię dziobania”. Historia pokazała, że mimo wszelkich starań, za każdym razem wspartych przekonaniem, że ludzie się od poprzedniego razu zupełnie zmienili, nigdy jeszcze w takiej sytuacji nie udało się wojnie zapobiec

rękę, bo jakkolwiek kontynent azjatycki jest największy na świecie, to nie jest w stanie pomieścić jednocześnie Wielkiej Rosji i Wielkich Chin; tym bardziej że te ostatnie wskutek popełnionych błędów złapały ostatnio zadyszkę. Podobnie inni potencjalni sojusznicy, których próbuje Rosja porwać do wielkiej konfrontacji z Ameryką – Turcja, Iran, Indie... Każdy z tych krajów ma swoje do ugrania, ale jeśli wiąże je coś z Rosją, to tylko interesy doraźne.

Oczywiście na wojnie nigdy nie należy otrząbiać zwycięstwa, zanim się je odniesie, ale Rosja naprawdę nie ma na co liczyć

poza demoralizacją społeczeństw Zachodu i ich brakiem woli do znoszenia wyrzeczeń. Bieg wydarzeń pokazuje jak dotąd, że jakkolwiek wszystkie jej inwestycje w procesy rozkładowe we wrogich społeczeństwach zaprocentowały, to nie aż tak, jak na to liczono.

PYTANIA BEZ ODPOWIEDZI

Rozumiem jednak, że kiedy Polacy pytają samych siebie, czy będzie wojna światowa, jest to w istocie pytanie o to, jak bardzo może się rozszerzyć konflikt i jak bardzo my możemy w nim uciepieć (co wydaje mi się aberracją – nikt w Polsce nie zadaje

sobie pytania przeciwnego, a ważniejsze-go: Ile możemy na nim zyskać?). A więc czy Putin posunie się do użycia broni jądrowej? Czy Ameryka i mniej lub bardziej niechętnie trzymające jej stronę kraje zachodnio-europejskie przestraszą się i ustąpią? Czy siły zbrojne Białorusi zaangażują się po stronie Rosji? Czy nasze terytorium też jest zagrożone czy grozi nam „tylko” obniżenie stopy życiowej?

Na te pytania nie sposób udzielić pewnej odpowiedzi; nie robią tego nawet dysponujący znacznie większą od dziennikarskiej wiedzą analitycy pracujący dla sztabów i wywiadów. Mówimy tylko o pewnych prawdopodobieństwach. Decyzje podejmuje ludzie, a nie komputery – często takie decyzje, które bynajmniej nie są dla nich dobre, a nawet okazują się wręcz samobójcze. Nie możemy mieć pewności, czy Putin, który skopiował wiele zachowań Hitlera (życzeniowe obrachowanie sił, odsuwanie generałów i dowodzenie pododdziałami z bunkra oddalonego o setki kilometrów od frontu, szafowanie rozkazem „ani kroku w tył” etc.), nie wyda podobnych do niego rozkazów w duchu: „Skoro przegrałem, to niech Rosja zginie wraz z całym światem”, choć możemy uznać, że jest mało prawdopodobne, by takie rozkazy wykonano (w wypadku Hitlera zostały one zignorowane). Nie możemy też – i to moim zdaniem największy problem – przeniknąć sposobu myślenia przywódców Chin. Logika nakazywałaby im przyjąć elastyczną postawę, by przecze-kać czekającą ich kraj bessę. Ale obawiam się, że mogą myśleć w podobny sposób jak generałowie kajzera, którzy w 1914 r. parli zdecydowanie do wojny, oceniając, że z każdym rokiem stosunek sił między Niemcami a koalicją rosyjsko-francuską (w wejście do wojny Anglii nie wierzyli) będzie się zmieniał na ich niekorzyść, więc nie ma na co czekać, „zróbmy to teraz”.

WSZYSTKO MOŻLIWE, ALE...

Może się zdarzyć, że upokorzona i przegrywająca Rosja zrobi coś szalonego i nieodwracalnego, może się to zdarzyć nawet w czasie, który upłynie pomiędzy oddaniem przeze mnie niniejszego tekstu redakcji a jego opublikowaniem. Ale uważam to za mało prawdopodobne z kilku powodów.

Po pierwsze, Ameryka – a to ona będzie decydować – zbyt wiele już zainwestowała w wykrwawienie Rosji, żeby uległa atomowemu szantażowi. Przede wszystkim sama jest bezpieczna. Nie chce

Może się zdarzyć, że upokorzona i przegrywająca Rosja zrobi coś szalonego i nieodwracalnego.

Ale uważam to za mało prawdopodobne

udawać bardziej kompetentnego w sprawach wojskowych, niż jestem, ale według mojej wiedzy sowieckie strategiczne siły jądrowe nie były od lat modernizowane, natomiast amerykańskie systemy obronne – tak. Nie wydaje mi się możliwe, aby Rosja była w stanie skutecznie uderzyć rakietą z głowicą jądrową w Los Angeles czy Nowy Jork; nawet jeśli ma jeszcze sprawne rakiety teoretycznie do tego zdolne, to Amerykanie raczej będą w stanie je przechwycić. Putin jest w stanie użyć taktycznej broni jądrowej na Ukrainie, być może również uderzyć w któryś z krajów europejskich. Parafrazując lorda Farquada ze „Shreka”, byłaby to ofiara, którą Ameryka jest gotowa ponieść. Tym bardziej że taki ruch Putina w pewnym sensie rozwiązałby Ameryce ręce i usprawiedliwiłby w oczach świata wszelkie jej działania mające na celu przywrócenie świata i samej Ameryce poczucia bezpieczeństwa, z zasadzeniem atomowych grzybów na terenie Rosji włącznie.

Po drugie, nawet jeśli Putin – co wydaje się najbardziej prawdopodobne – poprzestanie na odgrazaniu się, Ameryka może go wykorzystać, i w ten czy inny sposób zrobi to, do stopniowego spacyfikowania wielkich korporacji, a tym samym i sponsorowanej przez nie rewolucji „wokeizmu”. Wojna sprzyja silnej władzy. Coś, co wcześniej wydawało się problemem nierozwiązywalnym, w warunkach stanu wyjątkowego można załatwić jednym cięciem (Naomi Klein nazwała to swego czasu „doktryną szoku”). Państwo amerykańskie, choć na co dzień tego nie widać, opiera się na silnych strukturach, które potrafią wyciągać wnioski z potknięć spowodowanych, hasłowo mówiąc, „nadmiarem demokracji”. Po wojnie w Wietnamie, przegranej nie tyle z Wietnamem czy nawet ze Związkiem Sowieckim i z Chinami, ile z własnymi mediami, częściowo przez nie spenetrowanymi, częściowo pozbawionymi w tym czasie instynktu państwowego, dyskretnie i skutecznie zdołano przykrócić przesadną wolność

słowa na tyle, że w żadnym następnym konflikcie Ameryka już takich problemów nie miała.

POCZĄTEK KONTRREWOLUCJI?

Spodziewam się więc, że najpierw w USA, a stopniowo w Europie Zachodniej, pod wpływem wojny na Ukrainie, znacznie się kontrrewolucja. Kolejne państwa będą odkrywały w szaleństwach politycznej poprawności, genderyzmu i „polityki klimatycznej” działania rosyjskiej (a może i chińskiej) agentury, modne zacznie być wzmacnianie państwa poprzez wzmacnianie władzy, „przepraszanie” się z pojęciem narodu i interesów narodowych.

Wszystko to oczywiście niesie ze sobą wiele różnorakich zagrożeń. Nasz polski problem polega jednak na tym, że zgodnie z naszą inteligencją tradycją uważamy wskazywanie różnych zagrożeń i protestowanie przeciwko nim za wartość samą w sobie. Przystroga Romana Dmowskiego, że „polityka nie polega na głośnym deklarowaniu, czego się chce, i równie głośnym protestowaniu przeciwko temu, czego się nie chce”, wciąż pozostaje u nas aktualna. Polityka polega na odróżnieniu tego, czego nie jesteśmy w stanie zmienić, od tego, co w jakimś stopniu od nas zależy, i elastycznym reagowaniu na zdarzenia w taki sposób, aby ponosić jak najmniejsze szkody i wyciągać jak największe zyski.

Czy mamy szansę na elity polityczne, które staną na wysokości tego wyzwania? Trudno być optymistą, ale próbuję. Mam wrażenie, jakbyśmy mieli w Polsce jednocześnie dwa rządy. Jeden, który sprawnie potrafi zdiagnozować pewne problemy i zareagować – ten, który zbudował gazoport i Baltic Pipe, obronił granicę z Białorusią i przekopał Mierzeję Wiślaną. I drugi, który potyka się o własne sznurowadła, „kopertowe wybory”, „polskie łady” i raz za razem daje się robić eurokratom w trąbę czy raczej w KPO. Który jest prawdziwy? A do tego mamy całkowicie niezdadną do rządzenia państwem opozycję liberalno-lewicową i niemogącą się uwolnić od oszołomstwa Konfederację. Rozziew między wyzwaniami a poziomem klasy politycznej jest straszny. Ale, pocieszam się, kto w styczniu 2022 r. przewidywałby, że ukraiński prezydent, aktor komedii, zawdzięczający wyborcze zwycięstwo wsparciu jednego z oligarchów, okaże się takim mężem stanu i narodowym przywódcą?



Piotr Semka

W czasie drugiej wojny światowej Rosjanie wygrywali dzięki nowoczesnemu sprzętowi z USA i szafowaniu życiem żołdatów. Teraz żaden z tych czynników nie działa

Ukraińska ofensywa, która odbiła dużą część Charkowszczyzny i część terenów niedaleko Chersonia, zmusiła Władimira Putina do zmiany tonacji i opowiadania o tym, co dzieje się na Ukrainie. Przez sześć miesięcy wcześniej sugerowano, że jest to akcja porządkowa; broń Boże, nie żadna wojna. Postawę tę najlepiej wykpiwali ci rosyjscy dowcipnicy, którzy sugerowali, że słynne dzieło Tołstoja „Wojna i pokój” powinno zmienić nazwę na „Specjalna operacja wojskowa i pokój”.

Teraz niekoronowany władca Rosji, ogłaszając mobilizację, postanowił uderzyć w nowe tony i włączyć pseudorepubliki ludowe z Ługańska, Doniecka i Chersonia po zmanipulowanych referendum do Federacji Rosyjskiej.

Putin postanowił sięgnąć do retoryki wojny ojczyźnianej – świętego konfliktu, do którego stanąć muszą wszyscy Rosjanie i od którego zależeć będzie „być albo nie być” Federacji Rosyjskiej. Dość groteskowe było przy tym ukrywanie, że rosyjskie oddziały dostały w kość od Ukraińców, co maskowano opowieściami o wejściu do boju komandosów amerykańskich, brytyjskich, a nawet jednostek polskich.

LOGIKA III RZESZY

W jakimś sensie Putin postanowił powtórzyć logikę propagandy wojennej z czasów III Rzeszy. Przez pierwsze trzy lata Joseph Goebbels lansował narrację o Wehrmachcie, który za pomocą blitzkriegu niemal bez wysiłku zajmuje kolejne państwa Europy z Rosją na czele. Gdy jednak doszło do klęski stalingradzkiej i nie dało się już ukrywać niepowodzenia, propaganda III Rzeszy zaczęła lansować hasło „wojny totalnej”, od której ma zależeć los Niemców. I wtedy zaczęło się straszenie, że albo wszyscy Niemcy wezmą na serio udział w wysiłku wojennym, albo kraj zaleje dzicz bolszewicka.

Mobilizacja kruszejącego mocarstwa



FOT. ADBE STOCK

Czy mobilizacja w Rosji odmieni oblicze tej wojny? W wielu miejscach odezwały się głosy, że tym razem Rosja może powtórzyć manewr z drugiej wojny światowej, kiedy to sama przewaga ilościowa armii sowieckiej przechyliła losy wojny na rzecz Stalina. Jeszcze inni wskazują, że jeżeli Rosjanie podchwycą mit świętej wojny ojczyźnianej, to rosyjska taktyka może ulec wzmocnieniu.

Nie lekceważąc Rosji, którą nigdy nie jest łatwo do końca oszacować w jej sile i w morale społeczeństwa, można jednak wskazać, że mobilizacja była przyznaniem się Putina do porażki. Bo nie sposób oderwać obecnego ruchu „mobilizacyjnego” od logiki całego konfliktu w jej fazie rozpoczętej od 24 lutego br.

Rzecz w tym, że Ukraina korzysta obecnie z konsekwencji swojej odwagi, którą zaprezentowała od pierwszego dnia nowej fazy wojny. Atak 24 lutego zbudowany był na nadziei, że państwo ukraińskie się rozsypie, a jego wojska ulegną mitowi ogromnej przewagi rosyjskiej. Tak się nie stało. Ukraińcy od samego początku nowej fazy wojny wykazali się najwyższymi walorami bojowymi. Ważną rolę odegrało też wysłanie przez Polskę na potrzeby Ukraińców ogromu czołgów bez zastanawiania się, czy osłabiona w ten sposób Polska nie będzie sama zagrożona

w równie dużym stopniu. Ten odważny gest pomocy pozwolił zatrzymać plan natychmiastowego zajęcia Kijowa oddziałami stacjonującymi na terenie Białorusi i zlikwidował efekt blitzkriegu.

Zachód na czele z Ameryką i Wielką Brytanią tym razem potrafił zapewnić Ukrainie szybki dostęp do broni, która pozwoliła zatrzymać Rosjan. Sprawność logistyczna US Army budzić musi najwyższy podziw. Ukraina odniosła też – mimo rozmaitych wątpliwości niektórych państw europejskich – spory sukces dyplomatyczny w postaci wprowadzenia szerokiego wachlarza sankcji wobec Rosji. Te pierwsze sukcesy pociągnęły za sobą kolejne. To niezwykle ważna w dyplomacji i polityce premia za zdecydowanie.

Ponieważ Amerykanie działali szybko i bez wahania, to także państwa, które stały obok tego konfliktu, szybko zorientowały się, że jankesi nie żartują. Z tego powodu Chiny ani nie wspomogły Rosjan bronią, ani nie zdecydowały się na wyłamywanie się z ładu sankcji przeciwko Moskwie.

Za to wojna wykazała słabość rosyjskiej armii zawodowej. W odróżnieniu od jednostek NATO jest to struktura niemal feudalna z generałami tworzącymi na papierze fikcyjne jednostki, ze stanami sprzętu, które są w tylko pięknie wyglądającymi liczbami w sprawozdaniach,

i z kadrą pozbawionych inicjatywy, przyzwyczajonych wyłącznie do ślepego posłuszeństwa oficerów. Zryw patriotyczny formalnie wyglądał dość efektownie, ale jak czas pokazał, ograniczył się jedynie do malowania na koszulkach i na murach rosyjskich miast propagandowej litery „Z” – symbolu inwazji.

Ten okres został zwieńczony ukraińską ofensywą, która jasno wykazała, że skończyła się faza aktywności Rosjan, a zaczęła się faza dociskania wojsk rosyjskich przez wojska ukraińskie. I jak to bywa w logice konfliktów wojennych, to Rosjanie zostali zmuszeni do działań nadzwyczajnych, a nie Ukraińcy. Napadnięci na dodatek nauczyli się grać bardzo brutalnie z Rosjanami, czyli opanowali język, który rosyjscy dowódcy rozumieją jako jedyny. Taką prestiżową wisienką na torcie sukcesów wojsk ukraińskich było wynegocjowanie wziętych do niewoli bojowników obrony Ażowstału. Ukraińcy nie chwalili się, jak wymusili na Rosjanach zwrócenie swoich bohaterów, ale musiał to być jakiś dotkliwy argument siły, który przewyciężył typową dla Kremla logikę zemsty. To, że okoliczności tej sprawy nie wyszły dotąd na jaw, świadczy o sprawności Kijowa.

MOBILIZACJA – I CO DALEJ?

Mobilizacja ma objąć 300 tys. żołnierzy w pierwszym rzucie, ale w teorii może dotyczyć nawet 25 mln mężczyzn w sile wieku. Te liczby mogą oczywiście oddziaływać na wyobraźnię.

Weźmy choćby tę liczbę 300 tys. Rosjan, którzy mają być zmobilizowani w pierwszym rzucie. To znacznie więcej niż 200 tys. żołnierzy, którzy rozpoczęli wojnę 24 lutego. Jednak liczba żołnierzy nie musi być ważniejsza od ich jakości.

Armia rosyjska w ciągu ostatniej połowy roku wytraciła dużą część najlepiej wyszkolonej zawodowej kadry armii rosyjskiej. Jeżeli przyjdzie teraz do armii 300 tys. nieostrzelanych i dawno już niepamiętających służby wojskowej rekrutów, to minie sporo czasu, zanim nauczą się oni tego, co już umieli wytraceni dotąd zawodowi żołnierze rosyjscy.

No dobrze. Ale założmy, że w krótkim czasie półtora miesiąca wojenkomaty wyślą na front 300 tys. rekrutów. Już słychać informacje, że ci nieszczęśnicy kierowani są prosto z łapanek brankowych na front. Owszem, wypełnią oni luki w wyszczerbionych oddziałach rosyjskich, ale doświadczenia frontowego nie nabędą

w ciągu paru tygodni. Ci, którzy od lutego ginęli z rąk Ukraińców, mieli za sobą bardzo często walki w Syrii czy – jak w wypadku oddziałów wagnerowców – interwencje w krajach afrykańskich. A nowi wszystkiego uczyć się będą od zera. Pytanie więc, w jakim stopniu Rosjanie będą kierować nowo złapanych rekrutów wprost na front, a w jakim stopniu będzie z nich tworzona siła uderzeniowa do kontrofensywy rosyjskiej.

Idźmy dalej. Założmy, że zostanie stworzona taka armia rezerwowa. Czy Putin jest w stanie wyposażyć ją w wystarczającym stopniu w nowe czołgi, w nowy sprzęt radiolokacyjny, urządzenia łączności i rakiety chociażby na takim poziomie, jakim dysponowali Rosjanie w lutym? Czy Rosjanie będą w stanie szybko zmienić stopień wyszkolenia promujący swobodę działania i inicjatywę dowódców niższego i średniego szczebla? I wreszcie najważniejsze pytanie: Czy masowa mobilizacja nie stworzy scenariusza z lat wojny 1905 r., która była katalizatorem niepokojów wewnętrznych w Rosji?

Jedno jest pewne. Najbardziej wartościowi, wykształceni i operatywni młodzi ludzie w dużej mierze już uciekli z Rosji, zalewając Gruzję, Armenię, Kazachstan czy inne republiki środkowej Azji. Mobilizacja uruchamia patologię w postaci ucieczki w choroby, łapówkarstwa zapychającego kieszenie urzędników wojenkomatów i wreszcie – wskrzesza zjawisko samookaleczeń. To nie koniec pełzającego wpływu mobilizacji powszechnej na stabilność Rosji. Branka wywołuje niezadowolenie mniejszości narodowych, które podejrzewają, że to właśnie one będą „uprzywilejowane” w działaniach władz przy wsadzaniu w kamasze. Już czytamy o protestach w Dagestanie, którego mieszkańcy mają przekonanie, że rosyjskie władze traktują ich młodzież jako mięso armatnie. Czy do takiego samego wniosku nie dojdą kazańscy Tatarzy, Jakuci, Baszkirzy czy Buriaci?

Problemy związane z ucieczką młodych ludzi za granicę ujawniają też ograniczenia potęgi Rosji. Coraz mniej byłych republik sowieckich w środkowej Azji obawia się Moskwy i liczy się z jej interesami. Jeśli już spoglądają, to raczej na Chiny. Dobrym przykładem jest postawa Kazachstanu, który mimo nacisków Rosji odmawia wydawania młodych, którzy uciekli na teren tego kraju w obawie przed branką. Władze kazachskie podkreśliły, że powołanie do rosyjskiego wojska nie może być powodem do żądań przeka-

zania młodego człowieka, który schronił się na terenie państwa Kazachów.

PALEC NA ATOMOWYM SPUSZCIE

Ostatnim argumentem Rosjan jest akcentowana w mniej lub bardziej wyraźny sposób groźba ataku jądrowego. Ale tutaj też Ameryka przygotowała się dość solidnie do takiego scenariusza. Prezydent Joe Biden dwukrotnie i bardzo wyraźnie przestrzegł Rosjan przed konsekwencjami takiego kroku. Amerykanie bardzo dokładnie monitorują wszelkie ruchy dotyczące rosyjskiej broni jądrowej.

Co więcej, Rosjanom przedstawiono konkretne przykłady działań, które Ameryka podejmie w razie użycia – nawet na ograniczoną skalę – broni atomowej. Jedną z takich ripost ma być natychmiastowe zniszczenie całej rosyjskiej floty czarnomorskiej.

O tym, że amerykańskie groźby oddziałują na rosyjskich generałów, świadczą informacje, że przemówienie Putina z 21 września, w którym zapowiedział mobilizację, miało być intencjonalnie wygłoszone dzień wcześniej i miało zawierać bardzo wyraźne pogroźki atomowe wobec Ukrainy. Jednak sprzeciw części najwyższych generałów wobec użycia takiego typu ostrzeżeń spowodował, że przemówienie przesunięto na kolejny dzień i znacznie je osłabiono.

Jeżeli podsumować wojny toczone przez Sowietów w XX w., to w czasie wojny domowej w Rosji komuniści wykorzystywali zadawnione urazy rosyjskich chłopów i robotników przeciwko klasom posiadającym. W czasie drugiej wojny światowej Rosjanie wygrywali dzięki nowoczesnemu sprzętowi z USA w połączeniu z szafowaniem ludzkim życiem żołdatów z Amii Czerwonej. Teraz żaden z tych czynników nie działa. Najnowszy sprzęt dostają nie Rosjanie, ale Ukraińcy, a młodzi mieszkańcy Federacji Rosyjskiej porywani do wojska znacznie bardziej cenią swoje życie niż bojcy, którzy ginęli tysiącami pod rozkazami Żukowa czy Koniewa.

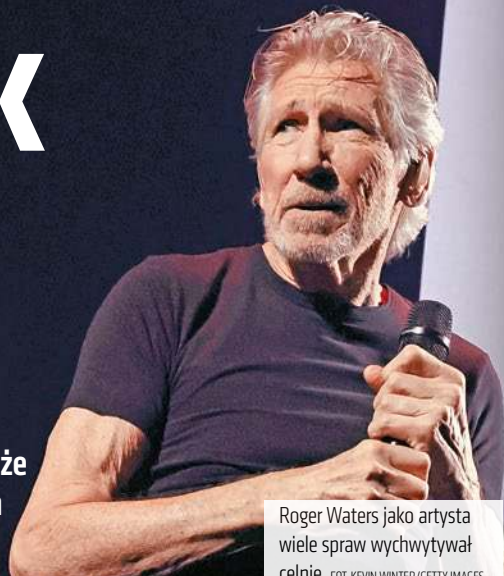
Pokłady rosyjskiego patriotyzmu, na które tak liczył Putin, limitowane są przez strach przed śmiercią w zupełnie nikomu w Rosji niepotrzebnej wojnie. I wszystkich tych negatywnych czynników mobilizacja nie zrównoważy. Bo powoływanie ludzi pod broń ma największy sens, kiedy chcą oni walczyć. A młodzi Rosjanie może by i poparli wojenkę na Ukrainie, ale nie wtedy, kiedy grozi ona oddaniem własnej głowy.

Emocje na bok



Łukasz Warzecha

Powiedzmy wprost: po pierwsze – jesteśmy bliżej niekontrolowanej eskalacji, która sprawia, że wojna lokalna, jaką jest ta na Ukrainie, może się zmienić w wojnę co najmniej regionalną. Po drugie – taka eskalacja miałaby dla Polski absolutnie katastrofalne następstwa



Roger Waters jako artysta wiele spraw wychwytywał celnie. FOT. KEVIN WINTER/GETTY IMAGES

Roger Waters nie ma ostatnio w Polsce dobrej prasy. Swoją krakowski koncert dawny lider Pink Floyd musiał odwołać po tym, jak wokół burza. A jednak hejt na Watersa jako na artystę – kompozytora i autora tekstów – jest przesadzony. Waters wchodzący w rolę politykiera ma swoje idiosynkrazje, ale jako artysta wiele spraw wychwytywał celnie.

Na bardzo dobrej muzycznie płycie „Amused to Death” z 1992 r. umieścił utwór „The Bravery of Being Out of Range”, czyli „Odwaga bycia poza zasięgiem”. Ten wątek przewija się przez większą część tego koncepcyjnego albumu i mówi o tym, jak łatwo toczy się wojnę, jeśli samemu pozostaje się nieosiągalnym dla przeciwnika. Waters śpiewa:

*Kocham te laserowo kierowane bomby,
Naprawdę wspaniale naprawia się nimi zło,
Walisz w cel i wygrywasz grę
Zza ściany trzy tysiące mil dalej.*

Można na Watersa – i słusznie – śłać gromy za jego lewackie wybryki, ale w tym utworze sprzed 30 lat ujął znakomicie problem naszej sytuacji, w której nie jesteśmy – wbrew tromtadracji niektórych – podmiotem, a tylko przedmiotem gry. W dużej mierze dlatego, że sami na taką swoją marną pozycję zapracowaliśmy. A także dlatego, że tak się teraz sami pozycjonujemy.

CORAZ BLIŻEJ ESKALACJI

Można odnieść wrażenie, że duża część polskiej elity politycznej postanowiła zamknąć oczy, zatkać uszy i jak najgłośniej powtarzać, że „Rosja się wali, Putin upadnie, walczymy z Putinem. Sława Ukraini!”

z magicznym przeświadczeniem, że zmieni to rzeczywistość. Otóż – nie zmieni.

Powiedzmy wprost: po pierwsze – jesteśmy bliżej niekontrolowanej eskalacji, która sprawia, że wojna lokalna, jaką jest ta na Ukrainie, może się zmienić w wojnę co najmniej regionalną. Po drugie – taka eskalacja miałaby dla Polski absolutnie katastrofalne następstwa, nawet gdyby jakimś cudem zniszczenia i wojenna pożoga nie dotknęły nas fizycznie. To byłby już dla nas nie krach, ale armagedon gospodarczy. Zaprzepaszczenie większości dorobku ostatnich trzech dekad. Zdegradowanie nas na 20, 30 lat do roli pariasa. Po trzecie – główny animator konfliktu po naszej stronie, czyli Waszyngton, jest właśnie „out of range” – bezpieczny „trzy tysiące mil stąd” i dlatego jego interes nie jest tożsamy z naszym. W naszym, polskim interesie są w tej chwili przede wszystkim uniknięcie eskalacji oraz próba wygaszenia samego nią zagrożenia, na ile możemy na to mieć wpływ.

Napiszę teraz coś, za co w polskiej debacie zostaje się natychmiast z automatu wykleśniętym, ale trudno – ktoś to napisać musi: ceną za osiągnięcie tych celów może być oddanie Rosji tego, co zdołała zagrabić i prawem kaduka przejąć. Co wcale nie musi oznaczać jej zwycięstwa w dłuższym okresie. Wręcz przeciwnie.

Podstawową osią sporu realistów z partią wojny czy też „partią wielkiej Polski” jest to, że oponenci w swoich rachubach uparcie pomijają krótką i średnią perspektywę. W magiczny sposób przeskakują też nad potencjalnymi negatywnymi scenariuszami konfliktu i oto – czary-mary – jesteśmy nagle za 20 lat w Polsce zasobnej i bezpiecznej, a Rosji w zasadzie nie ma.

To zasadniczy błąd w rozumowaniu, przypominający nieco myślenie reformatorów, tworzących Konstytucję 3 maja. Ustawa zasadnicza z 1791 r. przy wszystkich swoich wadach miała faktycznie szansę ustawić Polskę na nowych torach. Problem w tym, że stałoby się to w perspektywie kilku dekad, a cztery lata po uchwaleniu Ustawy Rządowej Polski już nie było.

Aby Rzeczpospolita istniała nadal jako względnie sprawne państwo, za dwie czy trzy dekady trzeba jej zapewnić przetrwanie w perspektywie roku, dwóch, pięciu. I tu tkwi problem, bo to właśnie w takiej niedługiej perspektywie czyhają na nas najgorsze niebezpieczeństwa, z zagrożeniem rozłaniem się wojny na czele oraz z potężnym tąpnięciem gospodarczym, które już się zaczyna. To ostatnie – znowu bardzo niepopularna teza – ma swoje źródło m.in. w sankcjach, które nałożyliśmy chyba bardziej na siebie samych niż na Rosję, a których efektywność – co po prostu zadziwiające – nie podlega żadnej ocenie. Są i być mają, bo są słuszne moralnie – i tyle.

EMOCJE NA BOK

Jesteśmy na skrajnie groźnym etapie konfliktu. O tym piszą analitycy i komentatorzy w większości krajów Zachodu. W Polsce natomiast mówienie o tym jest w złym tonie – dopuszczalna jest jedynie najbardziej optymistyczna wersja propagandy.

Spójrzmy na sytuację bez emocji. Rosja nie osiągnęła swoich pierwotnych celów. Zredukowała je zatem – przynajmniej na razie – do ograniczonej części terytorium Ukrainy, ale tutaj wydaje się twardo zdeterminowana. Cały cyrk z rzekomymi

referendami w czterech ukraińskich obwodach jest częścią realizowanego szybkiego planu uznania ich za część rosyjskiego terytorium. Tak aby każdy atak na te obszary można było uznać na Kremlu za atak na samą Rosję. Być może to jest ostateczny cel na jakiś czas – nie wiemy, ale jest to możliwe.

Wiemy natomiast, że po mobilizacji Putinowi pozostaje w zasadzie już tylko jeden środek eskalacyjny: użycie taktycznej broni jądrowej, najpewniej przeciwko Ukrainie. Taki jest dziś konsens wśród ekspertów. I tutaj polski obóz jastrzębi, poza typowym dla siebie kozakowaniem („Putina nie można się bać!”), popada w wewnętrzne sprzeczności. Po pierwsze – natrząsa się z mobilizacji, jej przebiegu, jakości żołnierza nie dostrzegając, że jeśli ma rację – co bardzo możliwe – i mobilizacja nie przyniesie Putinowi pożądanego efektu, to będzie mógł sięgnąć już tylko po atomowy guzik. Po drugie – twierdzą, że tak się nie stanie, odwołując się do faktycznie racjonalnych argumentów. Jednocześnie jednak twierdzą – i tu również mają rację – że sam rosyjski atak na Ukrainę był nieracjonalny. To znaczy – był nieracjonalny w zachodniej logice, natomiast miał swoje uzasadnienie w specyficznej logice kręgu Putina. Dlaczego w takim razie na tym etapie konfliktu, rozwijającego się nie po myśli Kremla, poziom racjonalności miałby wzrosnąć? Można spodziewać się raczej czegoś przeciwnego, szczególnie że dla Putina jest to już dosłownie walka o przetrwanie, być może także po prostu o przeżycie w całkiem dosłownym sensie. Wziąwszy wszystko to pod uwagę, ukraińskie sukcesy paradoksalnie zwiększają, a nie zmniejszają ryzyko wybuchu konfliktu regionalnego i eskalacji.

Pozostaje nadzieja, że coś może się wydarzyć pomiędzy wydaniem polecenia o odpaleniu pocisku a jego realizacją. Tak, możliwe jest, że taka decyzja katalizowałaby przewrót – ale nie mamy absolutnie takiej pewności. Nie możemy, rozważając postępowanie Polski, zakładać jedynie wariantu dla nas najkorzystniejszego. Zdziwiający jest, że w ramach „uspokojenia” najważniejsi polscy politycy, z prezydentem na czele, karmią nas opowieściami o druzgocącej odpowiedzi NATO – aczkolwiek konwencjonalnej. Tak jakbyśmy leżeli na globie w miejscu Nowej Zelandii albo przynajmniej Kanady.

Polska od początku wojny ustawiła się jako zwolennik najtwardszej linii. I od początku był to błąd, ale teraz ten błąd

staje się jeszcze groźniejszy w obliczu stanu konfliktu, można by zatem oczekiwać rewizji naszego stanowiska. A przynajmniej weryfikacji jego dotychczasowych skutków, które nie powalają. U fundamentów jastrzębiej postawy stoi absurdalne mniemanie, że Stany Zjednoczone, które w tej chwili realizują w Europie własny interes rękami sowicie wspieranych przez siebie Ukraińców, zadbają o dobro Polski. Sprawa z migami-29 pokazała jednak, że Waszyngton nie ma żadnych oporów, aby grać hazardowo bezpieczeństwem swoich sojuszników. Szczególnie jeśli na to pozwalają – choć akurat w tamtej jednej sytuacji polska elita wyjątkowo wykazała się trzeźwością osądu.

Co może być ceną za uniknięcie teraz eskalacji o trudnych do ogarnięciach konsekwencjach? Pamiętajmy bowiem, że użycie w wojnie nawet niewielkiego ładunku jądrowego oznaczałoby złamanie tabu i mogłoby ośmielić do działania inne kraje, dysponujące takim uzbrojeniem, by wspomnieć Indie, Pakistan i Koreę Północną. Otóż ceną może być nawet tylko dorozumiane porozumienie z Kreml w sprawie faktycznego, acz nieformalnego uznania takich granic Rosji, jakie wyznaczają obecne fikcyjne referenda. Tak, tę cenę musiałyby zapłacić Ukraina, ale proszę wybaczyć – ważniejsza powinny być dla nas Polska i nasze bezpieczeństwo.

Tu jastrzębie natychmiast stwierdza, że to zaproszenie Rosji do dalszej agresji. Otóż – wcale nie. Po pierwsze – Rosja, co twierdzą przecież sami członkowie partii wojny, jest wojną na Ukrainie również wyczerpana. Kontynuacja agresji w perspektywie nawet kilku lat wydaje się mało prawdopodobna. Po drugie – dałoby to Putinowi tzw. złoty most, po którym mógłby przejść, ogłaszając zwycięstwo. Bez takiego gestu możemy mieć pewność, że konflikt będzie trwał. Po trzecie – siły Zachodu, a zwłaszcza odporność Polski, nie są nieograniczone. Nie mamy nieskończonych zasobów uzbrojenia, które można by przekazywać Ukrainie, która zresztą również potrzebuje wytchnienia, bo jest krajem zrujnowanym gospodarczo. Sankcje, powiedzmy sobie szczerze, niszczą naszą gospodarkę. A bez niej nie będzie nas stać na zbrojenia. Po czwarte – Putin ma 70 lat. Co prawda, gdyby wierzyć pojawiającym się regularnie w zachodnim medialnym przekazie opowieściom o jego problemach zdrowotnych, powinien już od kilku miesięcy tkwić pod ziemią. Nie jest jednak wieczny, a wojna wygrana tylko pozornie

będzie stanowić ogromne obciążenie dla jego autorytetu. Jeśli zakładamy – chyba trafnie – że w Moskwie rośnie grupa rozczarowanych, to pauza może dać im okazję do podjęcia skutecznego działania. W tym samym czasie Europa i Polska powinny ratować się przed krachem gospodarczym, który uczyni z nas łatwiejszy cel dla Rosji. Nawet wracając do zakupów surowców z Rosji, choć w możliwie ograniczonym zakresie.

Spójrzmy wreszcie na szerszy obraz. Dla Waszyngtonu najważniejszy jest teatr wschodni. Uderzenie w Rosję jest pośrednim uderzeniem w Chiny i cały obóz BRICS (Brazylia, Chiny, Indie, Rosja, RPA). Jednak w połowie października w Pekinie zacznie się XX zjazd KPCh, na którym swoją władzę będzie chciał skonsolidować Xi Jinping, mający ewidentnie autorytarne ambicje. Chiny zajmują w konflikcie na Ukrainie postawę kunktatorską, ale dla przypartego do muru przez wewnętrznych przeciwników Xi eskalacja w Europie może być ostatecznie korzystna jako czynnik odciągający uwagę Ameryki od Azji. Pekin wcale więc nie musi być czynnikiem mitygującym. Możliwe jest również, że wynik wyborów do Kongresu w połowie listopada wymusi na administracji Bidena złagodzenie jastrzębiego kursu. USA mają w końcu całe mnóstwo problemów. Arabia Saudyjska coraz bardziej wymyka się z ich strefy wpływów, umowa z Iranem, która miała dostarczyć światu więcej ropy, spełza na niczym. Turcja gra na dwa albo nawet trzy fronty. Nasze przekonanie o niepohamowanej sprawczości Ameryki jest mocno przesadzone i nie miejmy złudzeń – najpierw musimy sami zadbać o siebie, zanim zadba o nas sojusznik, którego przyzwyczailiśmy do tego, że jesteśmy na każde jego pstryknięcie palcami.

SMUTNY WNIOSEK

Wojna o zasięgu większym niż lokalny jest zatem niestety dzisiaj znacznie bardziej prawdopodobna niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich 32 lat – choć szczęśliwie nie jest nieunikniona. Nasze możliwości zmniejszenia zagrożenia są bardzo ograniczone, ale nie są zerowe. Z pewnością nie pomaga tutaj natomiast zrobienie z Polski najzaciętszego wśród jastrzębi.

Niektórzy lekkomyślnie rzucają frazesem, że „nie można się bać”. To nonsens: ja, owszem, jak najbardziej się boję. Kto się nie boi w takiej sytuacji, ten po prostu nie ocenia jej racjonalnie i może nas łatwo pociągnąć na dno.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Po pozbawionej przełomu letniej fazie wojny na Ukrainie sytuacja, wraz z początkiem września, nabrała nagłej dynamiki na różnych płaszczyznach, od niespodziewanych sukcesów ukraińskiej armii do ostrzeżeń wysyłanych w ostatnich dniach przez NATO do państw członkowskich, by te zbroiły się na wojnę.

Niedawno na łamach „Do Rzeczy” twierdziłem, że Ukrainę czeka sprawdzian swych wielokrotnych zapowiedzi letniej ofensywy, podczas gdy lato skłaniało się właśnie ku końcowi. W tym czasie nasi wschodni sąsiedzi odnieśli huczne, nieoczekiwane zwycięstwo na froncie północnym, zaskakując świat i samą Rosję. Prawdą jest, że ukraińska kontrofensywa na południu spaliła na panewce, pochłaniając prawdopodobnie wiele ofiar wśród ukraińskich żołnierzy, za to nagle i świetnie wybrane uderzenie na północy wywołało wśród Rosjan popłoch, tak że nawet u prokremlowskich komentatorów można było usłyszeć komentarze: „Piorunujące ukraińskie natarcie, spektakularna porażka Rosji”.

Tymczasem po sukcesie ukraińskiego kontruderzenia, które umożliwiło odbicie sporych terenów wokół Charkowa i przywróciło siły zbrojne Ukrainy „do gry” w Donbasie, gdzie przejęły inicjatywę na kilku odcinkach frontu, sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg studiował optymizm, zapowiadając przed nami jeszcze długą wojnę. W rzeczy samej, na reakcję Rosji nie trzeba było długo czekać i w pewnym sensie wydarzenia, które miały następnie miejsce, były nie mniej spektakularne niż sama ukraińska ofensywa, choć w innym wymiarze.

ANEKSJA I ATOM

Rosja ogłosiła mobilizację na poziomie 300 tys. rezerwistów, mających zasilić oddziały i rezerwy frontowe tudzież złuzować dla tego celu kontraktowych żołnierzy z rozsianych po Rosji jednostek wojskowych. Jak wskazują niektóre analizy, może ona jednak objąć w praktyce nawet milion dodatkowych żołnierzy, co spotęguje i tak już dotkliwe straty ludzkie w szeregach obrońców Ukrainy, a także, na dłuższą metę, może dać siłom rosyjskim możliwości operacyjne względem krajów bałtyckich czy Polski, których dotąd nie posiadały. Odnoszę wrażenie, że kpiarze skupieni na szydzeniu z nagłaśnianych nieudolności Rosjan w procesie mobilizacji tych jej groźnych konsekwencji w ogóle nie dostrzegają bądź dostrzec nie chcą.

Czy ktoś zatrzyma wojnę?

Gaz wydobywający się z uszkodzonego rosyjsko-niemieckiego gazociągu w Bałtyku FOT. EAST NEWS



Wojciech Golonka

„Najgorsze” zaczęło nagle wisieć w powietrzu. Perspektywa rozlania się konfliktu – czyli trzecia wojna światowa – przestała być odległą hipotezą

Trzysta tysięcy zmobilizowanych żołnierzy to dwa razy więcej, niż liczą obecnie polska armia zawodowa i obrona terytorialna razem wzięte.

Na tym jednak nie koniec, gdy idzie o nagłą zmianę dynamiki: jest też zapowiedź „referendów” w sprawie przyłączenia do Rosji czterech częściowo okupowanych obwodów Ukrainy, tj. terenów, które stanowią 15–20 proc. terytorium całego kraju. Oprócz stałej, z pewnością zaplanowanej od dawna aneksji Kremlowi chodzi o uniemożliwienie ich odbicia przez siły ukraińskie, ponieważ po przyłączeniu tych terytoriów władze rosyjskie będą traktowały

atak na nie jako wypowiedzenie wojny Federacji Rosyjskiej, uzasadniające jeszcze mocniejsze środki militarne z jej strony niż te stosowane w ramach „operacji specjalnej”, z opcją atomową włącznie.

Tu znowu dyskusje, „czy Putin blefuje?” tudzież, co gorsza, głosy wyrażające, że należy się zmierzyć i z taką perspektywą, zdają się nie pojmować, na czym polegałaby rozlana w świecie atomowa zagłada, w której nie ma wygranych. Dość powiedzieć, że tym razem to Stany Zjednoczone zaczęły przeżywać muskuły, grożąc Rosji bezwzględными działaniami odwetowymi na wypadek wykorzystania przez nią atomu.

Cały problem w tym, że możliwość wykorzystania broni jądrowej nie jest w rosyjskiej doktrynie wojennej żadnym novum, istnieje od dekad i była nawet sednem motywacji do działalności szpiegowskiej płk. Kuklińskiego. Ponadto zachodzi istotny wątek natury psychologicznej: władze Rosji są przedstawiane na Zachodzie jako ludzie nieobliczalni i porównywani do najbrutalniejszych dyktatorów, z hitlerowską włącznie; z drugiej strony, gdy idzie o opcję atomową, przypisuje im się nagle znamiona rozsądku i odpowiedzialności, a więc z góry zakłada, że to tylko blef. Porównywanie współczesnej Rosji do III Rzeszy jest bez sensu, i to z wielu powodów, ale skoro już, to warto uświadomić sobie, że ówczesne samobójcze niemieckie przywództwo, gdyby mogło za sprawą atomu dokooptować do swej klęski także Stalina i Churchilla, gdyby mogło do ruin Berlina dołączyć i zgłiszcza Moskwę i Londynu, z pewnością by z takiej opcji skorzystało.

W filmie dokumentalnym Olivera Stone'a Władimir Putin skomentował kwestię atomowej wojny – niszczącej cały świat – tak: „Jaki byłby dalszy sens istnienia reszty świata bez Rosji?”. A zatem im bardziej Federacja Rosyjska czułaby się zagrożona w swej egzystencji, tym bardziej może stać się dla wszystkich groźna.

USZKODZONE GAZOCIĄGI

Ostatni, w końcu, trwający wątek wspomnianej nowej dynamiki – i daj Panie Boże, aby w najbliższym czasie nie wywołał on łańcucha reakcji – to uszkodzenie infrastruktury podwodnych gazociągów Nord Stream 1 i 2 na dnie Bałtyku (możliwe, że nie do naprawienia, jak donosi prasa, jeśli słona woda morska dokona ich korozji od środka). Od tego, kto dokonał podobnego sabotażu w przededniu zimy – czy Stany Zjednoczone, które już groziły unieruchomieniem tych gazociągów, czy Rosja, czy może inne państwo, któremu może zależeć na eskalacji tego konfliktu – bardziej należy się zastanowić nad jego możliwymi konsekwencjami. Co będzie, jeśli podobny terroryzm przeniesie się na inną krytyczną infrastrukturę? Co by się stało, jeśli ktoś uszkodziłby kable łącz internetowych na dnie Atlantyku łączące Europę z Ameryką Północną? Co by się stało, jeśli konfrontacja przeniosłaby się do kosmosu i oznaczała wzajemny sabotaż? Zaburzenia w dostępie do systemów bankowych (z problemem wypłacalności gotówki włącznie), paraliż systemów GPS, o armagedonie energetycz-

nym nie wspominając – to wszystko są realne scenariusze, jeśli sabotaż gazociągów Nord Stream wywołałby dalszą reakcję.

Z drugiej strony widać było wyraźnie, że dotychczas zarówno USA, jak i sama Rosja zachowywały pewną powściągliwość, która miała nie dopuścić do ich bezpośredniej konfrontacji w tej ich i tak zastępczej wojnie. Ameryka odwoływała ćwiczenia balistyczne, a ku rozgoryczeniu Ukrainy starannie selekcjonuje, jakie uzbrojenie jej dostarcza. Rosja z kolei, mimo zniszczeń natury wojennej, nie dokonuje np. systematycznych bombardowań miast ukraińskich w głębi kraju celem złamania oporu władz i narodu, co przecież było powszechną praktyką w czasie drugiej wojny światowej, a w szczególności nie podjęła ona zdecydowanych działań uderzających w masowe dostawy broni na Ukrainę od państw NATO. Jednak podobna, obopólna powściągliwość nie musi trwać wiecznie. Przede wszystkim z powodu obecnej stawki, znacznie wykraczającej poza kwestię rosyjskojęzycznej ludności Ukrainy czy jej naturalnych zasobów.

SZERSZA UKŁADANKA

Rok po inwazji Iraku przez Stany Zjednoczone i ich koalicjantów wiceprezydent USA Dick Cheney ogłosił na gali American Enterprise Institute w 2004 r. początek jednobiegunowej ery amerykańskiej hegemonii. Trzy lata później, na monachijskiej konferencji bezpieczeństwa, prezydent Władimir Putin wypowiedział tej hegemonii wojnę. Jakkolwiek by patrzeć na rozwój sytuacji od tego czasu, poszczególne wydarzenia (Gruzja, Libia, Syria, Majdan, Krym, Donbas...) są mimo wszystko częścią tej właśnie rywalizacji o jedno- bądź wielobiegunowy porządek świata, o utrzymanie bądź podważenie amerykańskiej hegemonii.

Nie jest też kwestią przypadku, że do obozu Rosji otwarcie przystąpiły Chiny, w ostatnim czasie wielokrotnie krytykujące jednobiegunowy porządek świata, a wiele krajów, w tym regionalnych potęg – Indie, Iran, Pakistan, Turcja, poszczególne kraje arabskie i azjatyckie – zachowuje względem tego niepokornego duetu życzliwą neutralność, która w praktyce oznacza współpracę ekonomiczną dopuszczającą pewne perspektywy strategiczne. Innymi słowy, wojna na Ukrainie jest elementem szerszej układanki, która w swych podstawowych ramach jest jak najbardziej zarzewiem konfliktu światowego. Zresztą nie bez powodu różne analizy z ostatnich

latach wskazywały, że dla Stanów Zjednoczonych wybija ostatnia godzina możliwości militarnego pokonania Chin, które wciąż rosną w siłę.

Ale jest i drugi, jeszcze bardziej niebezpieczny czynnik – zawodność ludzka. Przekonane o swych racjach, trzy dynastie, które rozpętały pierwszą wojnę światową – Romanowów, Habsburgów i Hohenzollernów – zostały przez nią bezlitośnie zmiecione. Mniemanie, że można wzajemnie eskalować konflikt, unikając najgorszego, jest iluzją, która w obliczu wojny może przynieść najgorsze. Człowiek jest bowiem istotą skończoną, niezdolną do zmierznięcia wszystkich możliwych konsekwencji swych czynów. Jak zaznaczyła Tulsi Gabbard, była kongresmenka, a zarazem oficer rezerwy armii Stanów Zjednoczonych, komentując w programie Tuckera Carlsona sabotaż gazociągów Nord Stream – rozwój tego, co się rzeczywiście wydarzy w ramach eskalacji wojennej, jest nie do przewidzenia, ale to, co zawsze wiadomo, to to, że wojna przyniesie zniszczenie i cierpienie.

Nie bez powodu, aby uniknąć najgorszego, Donald Trump wezwał rząd USA do unikania dodatkowych napięć oraz zaproponował swoją mediację w negocjacjach, które miałyby zapewnić porozumienie wszystkich stron, „czego wyczekuje cały świat”. Cały świat? Niektórzy marzą o rozczłonkowaniu Federacji Rosyjskiej i jej dziejowej klęsce, czyli marzą właśnie o wariacie apokalipsy, w którym rosyjska doktryna wojenna przewiduje przycisk atomowy. Post factum z perspektywy historii łatwo wskazać, które dokładnie przyczyny doprowadziły do wybuchu konfliktów światowych, ale nie ma wątpliwości, że pierwszą i drugą wojnę światową poprzedziła atmosfera napięcia, w której te przyczyny dojrzały do ostatecznego wybuchu.

Pozostaje pytanie, czy mocni tego świata, pozwolą tym zarzewiom trzeciej wojny światowej, jak nazwał je Franciszek (choć nie tylko on), przerodzić się w otwarty konflikt, czy uda się je zgasić, a przynajmniej ograniczyć w zarodku? Można oczywiście odpowiedzieć, że jakiegokolwiek zadowalające porozumienie nie jest możliwe bez pokonania Rosji, aczkolwiek trudno obecnie dostrzec szanse pobicia Moskali, które nie odczekałyby się rykoszetem dla wszystkich zainteresowanych. Dyplomacja zamiast wojny światowej jest wciąż rozsądniejszym rozwiązaniem.



RYSZARD GROMADZKI: Co zwycięstwo prawicy w wyborach we Włoszech oznacza dla Polski? Czy wynik włoskich wyborów poprawi naszą pozycję w konflikcie z Komisją Europejską?

WITOLD WASZCZYKOWSKI: Uważam, że to zmieni radykalnie naszą sytuację w Radzie Europejskiej, ponieważ obecność pani Meloni jako premiera na czele dużego europejskiego mocarstwa pozwoli nam obronić się przed procedurą artykułu 7. Pani Meloni jest politykiem proatlantyckim, konserwatywnym, wyznającym tradycyjne wartości, a także politykiem mającym zdroworozsądkowe podejście do roli instytucji europejskich. W związku z tym nie je-



Z Witoldem Waszczykowskim, europosem PiS, byłym ministrem spraw zagranicznych rozmawia Ryszard Gromadzki

Należy słuchać konserwatystów



FOT. EMILIE GOMEZ/EP/UE

Włosi nie mogą zmienić swojego komisarza. Myślę jednak, że znaczenie tego państwa w Europie będzie teraz miarkowało zachowanie Komisji, zachowanie pani Ursuli von der Leyen. Elektorat państw UE ma ewidentnie dość motywowanych ideologicznie eksperymentów społecznych i gospodarczych. Znajduje to odzwierciedlenie właśnie w wynikach kolejnych wyborów, które spotykają się z paniką na europejskich salonach. Europejska lewica już zdążyła określić nowe koalicje w Szwecji i we Włoszech mianem faszystów. My znamy to z historii, bo podobnie postępowali członkowie PZPR i stalinowcy, dla których faszystą i reakcjonistą był każdy na prawo od Mao.

Do poważniejszych zmian na poziomie biurokracji unijnej nie dojdzie jednak przed 2024 r., kiedy odbędą się kolejne wybory do PE. Losy ewentualnej i bardzo potrzebnej reformy UE będą zatem zależeć od wyborców.

Jednak szefowa Komisji Europejskiej w związku z rozstrzygnięciem wyborczym we Włoszech groziła Italii zastosowaniem podobnych „instrumentów dyscyplinujących”, których Bruksela używa już wobec Polski czy Węgier. To realna groźba?

Unia Europejska mniej więcej od 2009 r. przeżywa różne kryzysy. Był kryzys finansowy, kryzys migracyjny, następnie ciężki kryzys spowodowany brexitem, pandemia, debaty wokół klimatu i ekologii, a teraz wojna na Ukrainie wywołana przez Rosję. Okazywało się, że instytucje europejskie, szczególnie Komisja, z żadnego z tych kryzysów nie wyciągały wniosków, nie podejmowały żadnej refleksji, tylko uparcie dążyły do tego samego, a więc „więcej Unii w Unii”, „więcej Europy w Europie”. Mówił to były przewodniczący Komisji Juncker, teraz mówi to pani von der Leyen.

Jest pytanie, na razie bez odpowiedzi, bo na razie instytucje unijne milczą po wyborach we Włoszech, czy ten sygnał najpierw ze Szwecji, gdzie wybory wygrała centroprawica, a teraz z Włoch, gdzie także zwyciężyła centroprawica, spowoduje jakieś otrzeźwienie w tych instytucjach. Czy nastąpi odejście od tej usilnie lansowanej skrajnie lewicowo-liberalnej ideologii aplikowanej we wszystkich dziedzinach naszego życia. Czy znowu, jak to było podczas poprzednich kryzysów, będą parli do narzucenia jeszcze szybszego marszu w kierunku narzucenia federacji, czyli hegemonii niemieckiej i dominacji ideologii gender.

Rząd premier Beaty Szydło, w którym miałem zaszczyt uczestniczyć, z sukcesami opierał się atakom Brukseli

Byłaby szansa, by instytucje unijne, szczególnie Komisja, się zreflektowały. Tak jak powiedziała pani von der Leyen w przypadku agresji rosyjskiej na Ukrainę, że „należało słuchać Polski”, tak może warto teraz powiedzieć, że należy słuchać konserwatystów i stworzyć jakąś politykę zrównoważoną, a nie jednostronną, lewicowo-liberalną.

Podkreśla pan w wypowiedziach publicznych, że Polska powinna w twardy sposób przeciwstawiać się tej lewicowo-liberalnej polityce Unii, realizowanej przez Komisję Europejską, tak jak robił to rząd premier Szydło. Tymczasem w ostatnich latach polski rząd prowadzi politykę kompromisu i ustępstw wobec Brukseli. Czy nie zaszło to za daleko? Czy jesteśmy w stanie odwrócić skutki tej polityki?

Przypominałem, że rząd premier Beaty Szydło, w którym miałem zaszczyt uczestniczyć, z sukcesami opierał się tym atakom, ponieważ podejmowaliśmy z nimi debatę, ale odrzucając uzurpowane przez nich prawo do ingerencji w obszary, które nie są objęte traktatami i innymi prawnie wiążącymi dokumentami. Okazało się, że po rekonstrukcji rządu instytucje europejskie uznały, iż Polska osłabia swoje stanowisko, i to wtedy, po odejściu nas z rządu, uruchomiono procedurę artykułu 7. Rząd podjął dialog, przyjął kompromisowe stanowisko, ale okazywało się, że im bardziej szliśmy na porozumienie i spotkanie się w połowie drogi, tym bardziej instytucje europejskie żądały, żeby było, jak było. No i doszliśmy do takiej sytuacji, że prezes Kaczyński powiedział: „Dość!”.

Teraz mamy do wyboru: wrócić do tej postawy, którą zajmował rząd premier Szydło, i powiedzieć, że ingerencje w wymiar sprawiedliwości, ochronę środowiska czy energetykę są nieuprawnione, nie mają podstaw w prawie europejskim, co będzie trudne, bo wchodząc w ten dialog przyznaliśmy pośrednio Komisji Europejskiej prawo do ingerowania w te obszary, albo twardo bronić swojego stanowiska i wetować tam, gdzie można, inne programy Komisji, szczególnie ideologiczne, te, które godzą w naszą energetykę, które

steśmy skazani tylko na wsparcie ze strony Węgier, które też są na celowniku unijnych instytucji, ale możemy liczyć na Włochy rządzone przez gabinet pani Meloni. Jej partia jest naszym sojusznikiem w ramach Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w Parlamencie Europejskim.

W samym Parlamencie Europejskim nie spodziewam się jakichś dużych przesunięć. Być może jacyś posłowie od Mattea Salviniiego zdecydują się dołączyć do EKR albo współpracować z nim.

Zwycięstwo centroprawicy w wyborach we Włoszech nie będzie miało bezpośredniego wpływu na Komisję Europejską, bo

powodują wzrost kosztów produkcji w Polsce, i przez groźby wetowania lub spowalniania po prostu handlować, używając takiego kolokwializmu, bo przecież dyplomacja to też jest swoisty „handel końmi”. Takie podejście wymaga jednak pewnej determinacji. Nie wiem, czy rząd jest na to gotowy.

Rząd premiera Morawieckiego stać na tak daleko idącą rewizję polityki, którą przez ostatnie lata konsekwentnie firmował?

Zapowiedział to prezes Kaczyński, lecz działań ze strony rządu jak do tej pory nie widzę. Może jakaś działalność jest w przygotowaniu. Premier zapowiada wystąpienie z wnioskiem o rozpoczęcie wypłat z KPO, czyli funduszu odbudowy pocovidowej. Być może wtedy rozpocznie się jakieś nowe otwarcie w relacjach z Unią.

Rozumiem, że rząd obawia się, iż twarde stanowisko wobec Brukseli spowoduje kontrakcję instytucji europejskich, a to się odbije natychmiast na naszej reputacji, na pewno odbije się to na ocenach ze strony agencji ratingowych, bo takie mamy doświadczenie z poprzednich lat. Właśnie w ten sposób obalono rząd Berlusconi. Bez względu na to, czy on nam się podobał czy nie, zastosowano wobec niego szantaż polityczny i ekonomiczny i zmuszono go do odejścia. Teraz próbuje się to zrobić wobec nas. Stygmatyzując nas, określając nas jako państwo nieprzestrzegające rządów prawa, liczy się, że agencje ratingowe podniosą koszty naszych pożyczek, a inwestorzy zagraniczni przestaną w Polsce inwestować. Odcinając nas do tego od KPO i podważając możliwości budżetu, uniemożliwi się rządowi realizację programu, z którym doszedł do władzy. Ta działalność Komisji jest bardzo czytelna. Musimy się przed tym bronić, gdyż – jak pokazały ostatnie lata – liczenie, że spotkamy się w połowie drogi, jest naiwnością.

Antypolska dzielność Komisji Europejskiej jest szczególnie obłudna i szkodliwa w kontekście trwającej obok nas wojny. Nasze wsparcie dla Ukrainy, materialne, wojskowe i humanitarne, jest powszechnie w świecie postrzegane jako kluczowe dla Ukraińców. Karanie sankcjami Polski jest więc sabotowaniem ukraińskiej obrony. Wytknąłem to ostatnio w czasie debaty plenarnej Josephowi Borrellowi. Szef unijnej dyplomacji udaje jednak, że sprawy nie mają związku, opowiadając się tym samym za dalszym nakładaniem sankcji na Polskę przez Brukselę na poziomie przewyższającym sankcje nałożone na Rosję.

Do tego mamy bezprecedensowy kryzys energetyczny, który nie tylko uderza w podstawy bytu tysięcy polskich firm, lecz także pustoszy portfele milionów gospodarstw domowych... To stawia rząd PiS w bardzo trudnej sytuacji przed przyszłorocznymi wyborami.

Rząd podjął działania zaradcze w tym obszarze. Od kilku lat naszą receptą na zmianę sytuacji jest reforma systemu ETS, czyli opłat za certyfikaty emisji CO₂, który stał się przedmiotem spekulacji i windowania ich cen itd. Niestety, w ostatnim przemówieniu o stanie Unii pani von der Leyen w ogóle się do tego nie odniosła. Nie wróciła też do kwestii węgla i energetyki jądrowej. Trwa nadal przy bardzo ideologicznej koncepcji ratowania energetyki poprzez źródła odnawialne, „zielone łady” i podatki od korporacji itd.

Jak pokazały ostatnie lata, liczenie, że spotkamy się z Komisją Europejską w połowie drogi, jest naiwnością

Myślę, że tu trzeba by zacząć montować koalicję, ze wsparciem Włoch, być może Szwecji, gdzie też władzę zdobyli konserwatyści, i zacząć naciskać na zmianę polityki energetycznej, bo oprócz Putina, którego słusznie pani von der Leyen wskazała jako winowajcę tego kryzysu, błędy polityki unijnej były ewidentne. Trzeba też na to wskazywać i domagać się reformy.

À propos energetyki. Czy zbyt pochopnie nie wprowadziliśmy embarga na rosyjski węgiel, nie mając planu B?

Spotkaliśmy się z brutalną wojną, agresją rosyjską na Ukrainę porównywalną ze sposobem prowadzenia wojny przez Hitlera 80 lat temu. Wyobraża sobie pan, że wtedy też pojawiłyby się głosy, że być może Hitler brutalnie postępuje z Polską czy z Żydami, ale żyć trzeba, trzeba z nim handlować. No nie! Cały świat prędzej czy później stanął przeciwko Hitlerowi.

Nie akceptuję dylematów, że możemy mieć trochę uszczuplony bilans handlowy bądź energetyczny i w związku z tym musimy iść na kompromis z agresorem. Wiemy dobrze, że ta agresja nie skończy się na Ukrainie, a nawet na Donbasie, jeśli tylko będziemy próbowali relatywizować

tę agresję i mrugać okiem do Putina, to on będzie szedł dalej. Następni będą Bałtowie i Polska. Scenariusze wojny z Bałtami i z Polską Rosjanie wielokrotnie ćwiczyli w ramach manewrów „Zapad” z Białorusią, nawet włączając w to symulację ataku nuklearnego. Nie możemy pozwolić sobie na relatywizowanie i uprawianie kompromisów w polityce energetycznej, bo doprowadzimy do ataku na nasz kraj.

Napaść Rosji na Ukrainę rozpoczyna nową epokę w dziejach Europy? To punkt zwrotny, koniec względnej stabilizacji i bezpieczeństwa, którego doświadczaliśmy przez 30 lat po upadku Związku Sowieckiego?

Na pewno doszło do totalnej kompromitacji Rosji i upadku mitu tego kraju jako mocarstwa militarnego. Gdyby nie bestialstwo i okrucieństwo, którego doświadczają Ukraińcy, mielibyśmy do czynienia z tragikomedią. Rosjanie „wojują” w spodniach marki Abibas, kradną muszle klozetowe, są zdemoralizowani i często pijani. Z kolei dowództwo to banda skorumpowanych nieudaczników. Jako siła konwencjonalna Rosja to co najwyżej drugorzędna armia. Stąd desperacja i nuklearne groźby Putina, którym Zachód nie może ulec, byłoby to bowiem zaproszenie do dalszej eskalacji.

Czy to nowa epoka w naszych dziejach, to zależy od tego, jak ta wojna się skończy dla Ukrainy za kilka miesięcy bądź kilka lat. Od tego, czy dojdzie do jakiegось zgniłego kompromisu w sytuacji, kiedy Europa będzie zmęczona, Ukraińcy będą zmęczeni. Nie dostaną wsparcia i zostaną zmuszeni do oddania części swojego terytorium. A to będzie oznaczało, że będziemy żyli nadal przez następne lata bądź dekady w strachu, że Rosja, kiedy odbuduje swoją potęgę, pójdzie dalej, będzie zabiegać o dalsze zdobycze.

Natomiast jeśli dzisiaj pomożemy Ukrainie i ona pokona Rosję, nie poprzez zdobycie Moskwy, ale wygnanie najeźdźców ze wszystkich terytoriów łącznie z Krymem, to wtedy będziemy mówić, że wkracamy w inną politykę, w inną epokę, gdzie agresor jest napiętnowany, gdzie agresji się przeciwstawia, i każdy przyszły agresor będzie wiedział, że przegra, bo świat nie pozwoli mu na brutalne zmiany granic i niszczenie narodów. To, jak potoczą się losy nasze, Europy, a może i większej części świata następnej dekady, zależy od tego, jak zakończy się konflikt rosyjsko-ukraiński.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Zaśniło

„Blask prawdy” rozbłyśnie w tym roku w sercach młodych stypendystów Dzieła, a także wybrzmi jako hasło przewodnie XXII Dnia Papieskiego. To święto upamiętniające postać papieża Polaka będziemy obchodzić już 16 października

Fundacja Dzieło Nowego Tysiąclecia została powołana przez Konferencję Episkopatu Polski w 2000 r. jako wyraz wdzięczności dla Ojca Świętego Jana Pawła II. Fundacja od samego początku istnienia podejmuje opiekę nad utalentowaną i niezamożną młodzieżą z małych miejscowości, wychowaną w duchu nauczania św. Jana Pawła II. W ciągu ponad 20 lat swojej działalności objęła opieką kilka tysięcy osób z całej Polski. Obecnie ok. 2 tys. stypendystów tworzy ten niezwykle pomnik. Jestem dumna z bycia jego częścią.

Nazywam się Paulina Muszyńska i jestem stypendystką Fundacji od czterech lat. Wychowywałam się w rodzinie chrześcijańskiej, jednak własną i świadomą drogę wiary rozpoczęłam, dopiero przygotowując się do sakramentu bierzmowania. Podeszłam do tego z pokorą i rozumą, otwierając się na wszelkie owoce mojej nowej, w końcu w pełni chcianej relacji z Bogiem. Wezwanie do Kościoła w tamtym momencie odmieniło moje życie. Jedną z większych zmian było zyskanie chęci pogłębiania wiedzy, co poskutkowało otrzymaniem promocji do

wymarzonej szkoły średniej. Po chwili radości pojawiła się jednak przeszkoda. Kończąc gimnazjum, mieszkalam na wsi u mojej starszej siostry, która z powodu ciężkiej choroby naszej mamy stworzyła dla mnie i młodszego rodzeństwa rodzinę zastępczą. Od budynku wyśnionego technikum dzieliło mnie 50 km przy jednoczesnym braku funduszy na codzienne dojazdy. Jednak Bóg czuwał, a wraz z nim dobrzy ludzie. Znajoma rodzina zgodziła się przyjąć mnie na stancję do czasu ukończenia przeze mnie szkoły. Przeprowadziłam się, a wdzięczność dawała mi energię do realizacji celów. Szybko zostałam przewodniczącą samorządu uczniowskiego, każdy semestr kończyłam z czerwonym paskiem i licznymi wyróżnieniami, wolny czas spędzałam na wolontariatach, akcjach społecznych i przy stworzonym przez siebie szkolnym kole fotograficznym, które pozwalało mi dzielić się pasją z innymi. W drugiej klasie technikum dowiedziałam się o Fundacji. Dzięki stypendium mogłam pozwolić sobie na zakup własnego aparatu fotograficznego, częstsze dojazdy do domu rodzinnego i kupno podręczników. Cieszyłam

się z comiesięcznych wpłat, ułatwiały mi życie. Ale tym, co dawało mi prawdziwą radość, była wspólnota. Teraz, po czterech latach budowania mojego życia ze wspólnotą i z formacją Dzieła, chcę lśnić blaskiem prawdy. Blaskiem moralności, czystego sumienia i wolności, o których pisał Jan Paweł II w encyklice „Veritatis splendor”.

16 października Fundacja połączy się w modlitwie z obecnym papieżem, a także rozpocznie zbiórkę, z której środki zostaną przeznaczone na stypendia dla zdolnych uczniów i studentów z całej Polski. Wsparcie programu stypendialnego można okazać, wysyłając SMS o treści STYPENDIA pod numer 74 265 (4,92 zł z VAT) lub odwiedzając stronę: www.dzielo.pl.

stypendystka Paulina Muszyńska

Blask prawdy

XXII Dzień Papieski
16 X 2022

Pomóż zdolnej i niezamożnej młodzieży z małych miejscowości. Wyslij SMS „STYPENDIA” pod numer 74 265 (4,92 zł z VAT)

FUNDACJA DZIEŁO NOWEGO TYSIĄCLECIA
www.dzielo.pl



Tomasz Rowiński

Mateusz Matyszkowicz jako redaktor „Frondy” uważał za porażkę, gdy ktoś sięgnie po pismo i powie: „Tego się spodziewałem”. Czy jako prezes TVP zdoła wydobyć ją z prząsności i przekraczającego rozsądek propagandowego zacięcia?

Mateusza Matyszkowicza, od niedawna prezesa TVP, musiałem zapewne poznać ok. roku 2008. Nie pamiętam zupełnie, kiedy to mogło się stać dokładnie i w jakich okolicznościach. Na pewno niedługo po tym, gdy sam dołączyłem do redakcji kwartalnika „Christianitas” Pawła Milcarka, a Mateusz związał się z wydawaną przez Dariusza Karłowicza, Marka Cichockiego i Dariusza Gawina „Teologią Polityczną”. Bez wątpienia stało się to przed rokiem 2010 i katastrofą smoleńską.

W tamtych czasach my, wówczas redaktorzy młodszego pokolenia, piszący i pracujący w zajmujących się intelektualną problematyką niszowych czasopiśmie (można tu wymienić inne jeszcze tytuły, jak np. krakowskie „Pressje” czy ówczesny „Znak”, ale nie tylko), praktycznie wszyscy się znaliśmy. Najpierw z tekstów, z czasem z widzenia lub debat, na których się spotykaliśmy, potem nieraz po prostu się kolegowaliśmy i współpracowaliśmy przy różnych projektach.

W tamtym czasie międzyrodowiskowe dyskusje nie trwały jeszcze na Facebooku (który dziś jest już przebrzmiałą pokoleniowo platformą). Podobnie czasy świetności Twittera miały jeszcze nadejść. Pisało się i komentowało na pierwszej odsłonie, wówczas blogowego, portalu Salon24.pl, który założył Igor Janke, dziś autor podcastu „Układ otwarty”.

Był to moment, gdy grube papierowe periodyki wydawane przez inteligencję jeszcze przez chwilę miały znaczenie w debacie publicznej, ale już rodziła się nowa rzeczywistość mediów społecznościowych, która całkowicie zmieniła sposób obiegu opinii i przetasowała środowiska. Mówiąc żartobliwie – poznaliśmy się z Mateuszem Matyszkowiczem

Mateusz Matyszkowicz na początku września został prezesem TVP

FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP



Romantyczny

czem w „dawnych czasach”, a jeśli nie tak dawnych, to przynajmniej „innych”. Wtedy też, jak sądzę, dojrzała w Mateusza determinacja, która doprowadziła do dzisiaj sprawowanej funkcji.

POKOLENIE SZKLANEGO SUFITU

Pamiętam pewną rozmowę, którą odbyliśmy w okresie naszych najintensywniejszych kontaktów, gdy obaj działaliśmy na pokładzie kwartalnika „Fronda”. Mateusz mówił wtedy, że jego marzeniem jest móc żyć z pisania. Sądzę, że było to marzenie wielu ludzi w naszym kręgu. Pisać rzeczy, które nie są pozbawione sensu, które dla nas samych są sensowne, i móc jednocześnie normalnie funkcjonować, nie być wyrobnikiem w korporacji, trybikiem w maszynie. Część naszego pokolenia miała takie

marzenia. Dzisiejszy prezes TVP zakończył w tamtym czasie swoją zawodową przygodę z pewną korporacją i – jak mi się zdawało – był mocno przekonany, że marzenia są ważne.

Wątki z tej rozmowy, odnoszące się do sytuacji społecznej młodszego pokolenia prawniczych inteligentów, okazały się w myśleniu Mateusza Matyszkowicza trwałe. Można je znaleźć choćby w napisanym nieco później, bo w 2013 r., razem z Samuelem Pereirą, tekście „Do Braci Lemingów”.

„Lemingi przyjechały do wielkiego miasta spełnić swój sen, a spotkały rozczarowanie. Ścieżki awansu zablokowane przez pokolenie, które karierę zrobiło w latach 90. Oferty zarabiania na umowach śmieciowych. Pieniądze wypłacane nieregularnie” – pisali autorzy w tekście



rycerz w TVP

opublikowanym na portalu „Teologii Politycznej”.

Tekst ten nie mniej niż o lemingach był po prostu o ludziach, którzy urodzili się ok. roku 1980 i życie zawodowe zaczęli w Polsce ukształtowanej przez ciągle aktywne pokolenie lat 60. Szczególnie dla inteligencji z tej generacji rok 1989 był niczym wejście do Reymontowskiej „ziemi obiecanej”, w której w młodym wieku można było osiągnąć bardzo wiele. Mając 20 lat, można było zostać redaktorem w ważnym tytule prasowym, a ok. trzydziestki objąć stanowisko redaktora naczelnego. Mateusz Matyszkowicz dość szybko – jak to dziś pamiętam – sformułował diagnozę o kondycji naszego pokolenia jako tego, które nieuchronnie będzie się odbijać od szklanego sufitu, który powstał po

upadku komunizmu i ukształtowaniu się nowych elit.

Sądzę, że wpływ na takie postrzeganie świata przez dzisiejszego prezesa TVP mogły mieć, oprócz zwykłej obserwacji, np. nieprzyjemne – jak mówiono – okoliczności jego rozstania się ze środowiskiem „Teologii Politycznej”, założonego i prowadzonego przez znanych intelektualistów z pokolenia „ziemi obiecanej”. Było to niewątpliwie dla Mateusza Matyszkowicza środowisko ważne, a nawet pod wieloma względami formacyjne. Dziś sądzę, że obok przywiązania do inteligenckich marzeń dążenia Mateusza kształtowała ambicja, by wyzwolić się z uwarunkowań „drugiego” pokolenia III RP.

Mateusz Matyszkowicz pochodzi z Żywca, gdzie urodził się w 1981 r. W tym też mieście ukończył I Liceum

Profesor Legutko to jedna z najważniejszych postaci w biografii Matyszkowicza – na uczelni i w początkach drogi zawodowej

Ogólnokształcące, szkołę z tradycjami, w której uczyli się również m.in. biskupi Tadeusz Pieronek, Tadeusz Rakoczy, a także zamordowany przez milicję za działalność opozycyjną Stanisław Pyjas. Był finalistą, a potem zdobywcą pierwszego miejsca olimpiady filozoficznej, co otworzyło mu drogę na studia w tej dziedzinie na Uniwersytecie Jagiellońskim. W czasach akademickich współpracował z prof. Janem Hartmanem przy wydawaniu „Ekspresu Filozoficznego”, a jednocześnie pisał recenzje wydawnicze zagranicznych książek dla wydawnictwa Znak. Wydane przez niego, niedługo po studiach w roku 2006, nakładem Ośrodka Myśli Politycznej tłumaczenie dzieła św. Tomasza z zakresu filozofii politycznej „De regno” („O królowaniu”), opatrzone obszernym komentarzem, wciąż pozostaje najlepszą polską edycją tego tekstu. Nieraz zdarzało mi się z niego korzystać.

ASYSTENT PROFESORA, REDAKTOR „FRONDY”

Miejsce wydania tłumaczenia dzieła Tomasza z Akwinu nie było przypadkowe. Założycielem Ośrodka Myśli Politycznej jest prof. Ryszard Legutko, jedna z najważniejszych postaci w biografii Mateusza Matyszkowicza – najpierw na uniwersytecie, potem w początkach drogi zawodowej.

Gdy prof. Legutko został wicemarszałkiem Senatu, Matyszkowicz pracował w senackiej kancelarii jako asystent. Przez moment był też doradcą ministra edukacji, gdy stanowisko to na trzy miesiące trafiło pod władzę krakowskiego filozofa, dziś europosła.

W Warszawie Matyszkowicz związał się ze środowiskiem „Teologii Politycznej”, której był aktywnym publicystą i redaktorem. Prowadził m.in. ukazujący się przez jakiś czas miesięcznik internetowy „Teologia Polityczna Co Miesiąc”. Wtedy też doświadczył pracy w korporacji. W roku 2010 nakładem wydawnictwa „Teologii Politycznej” wydał książkę

■ z felietonami pod znaczącym tytułem „Śmierć rycerza na uniwersytecie”. Na jej okładce można zobaczyć postać romantycznego rycerza marzyciela Don Kichota. „Pisanie ma w sobie coś z rycerstwa, bo [...] odsłaniamy twarz. I zamiast czaść się na przeciwnika od tyłu, uderzamy wprost, od frontu” – notował Matyszkowicz we wstępie.

Przejsię w czerwcu roku 2013 do kwartalnika „Frona” i objęcie tam stanowiska redaktora naczelnego, po Tomaszu Terlikowskim, było dla Mateusza Matyszkowicza okazją do wybicia się na niepodległość. Miał pomysł, by odświeżyć formułę pisma i zainteresować tym pomysłem większe media. Podobnie trzeba patrzeć na to, co robił w swoim programie „Literatura na trzeźwo”, który prowadził na antenie telewizji Republika. W obu przypadkach odsunął się w znacznym stopniu od sporów cywilizacyjnych dominujących konserwatywny dyskurs i zaczął konsekwentnie zajmować się kulturą. Robił to w sposób, który w mediach prawicowych nie był czymś zwykłym – unikał politycznych kontekstów. Być może wtedy zrozumiał, że bardziej niż pisanie prawicowej publicystyki interesuje go przebijanie pokoleniowego szklanego sufitu, który dostrzegał nad swoją głową. Słabo zagospodarowany obszar „kultury w wydaniu konserwatywnym” dawał wówczas szerokie możliwości realizowania ambicji, a także tworzenia treści dających zauważalną odrębność.

W czasach, gdy nasze relacje były równocześnie koleżeńskie i zawodowe – przez kilka lat pracowałem jako sekretarz redakcji kwartalnika „Frona” – Matyszkowicz wydawał się mieć rzeczywiście romantyczne podejście do tego, co robiliśmy. Redakcja „Frondy LUX” spotykała się w knajpach przy placu Zbawiciela, tuż koło słynnej instalacji z podpalaną wielokrotnie tęczą, i określała się mianem „hipster prawicy”. Mateusz tak relacjonował niedługo potem przyjmowaną przez siebie wówczas perspektywę: „My tęczę odbieraliśmy zgodnie z symboliką chrześcijańską, która była wcześniejsza niż ruch LGBT – mówił Anicie Czupryn z gazety „Polska. The Times». – Dla nas to symbol nadziei, przymierza Boga z ludem. Nie zgadzaliśmy się, aby ją nam odbierać. Fajne było napięcie między tęczą a stojącym przy placu kościołem. Tym, co nowe i co tradycyjne. To bardzo republikańskie, a przez to bardzo polskie. Zdarzały się

na »placyku« dyskusje z ludźmi o innych poglądach i często słyszeliśmy: »Ja się z wami nie zgadzam, ale działacie fajnie«”.

Grzegorzowi Szymaniakowi z „Dużego Formatu” w roku 2013 Matyszkowicz mówił, że trzeba się „zachowywać jak bohater romansu rycerskiego, a nie jak Lenin. Pić dobrą kawę i czytać Ewangelię, klasyków filozofii, dobrą prozę”. Choć projekt „Frondy LUX” był atrakcyjnym produktem, to można było odnieść wrażenie, że kontrowersyjna katolickość „Frondy” zamienia się w niej w konserwatywny dobrego smaku ubrany w modne ciuchy hipstera.

Gdy przypominam sobie artykuły i wywiady z tamtego czasu, trafiam na zdjęcia, którymi zilustrowany był materiał pt. „Hipster prawica rośnie w siłę: Kim są ludzie, którzy przejęli kwartalnik »Frona«?”. Kucamy na nim – od lewej – Samuel Pereira, ja i Mateusz Matyszkowicz, w tle widać tęczę i kościół pw. Najświętszego Zbawiciela. Pamię-

Objęcie stanowiska redaktora naczelnego „Frondy” było dla Mateusza Matyszkowicza okazją do wybicia się na niepodległość

tam, że Mateusz namawiał mnie gorąco, żebym wziął udział w tej sesji. Choć byłem sekretarzem redakcji – i, owszem, dobrze nam się pracowało – to jednak z ducha postmodernistyczna koncepcja hipsterskiego „anarchokonserwatyzmu”, która stała się wtedy hasłem „Frondy LUX”, wydawała mi się tylko ryzykowną intelektualną zabawą.

Pasowała jednak mediom. Te żywo zainteresowały się przemianami personalnymi i ideowymi we „Frondzie” pozostającej wtedy wciąż rozpoznawalnym tytułem. Rzeczywiście, stosunkowo krótki okres, kiedy Mateusz Matyszkowicz był redaktorem naczelnym kwartalnika, okazał się dla niego trampoliną – podobnie jak wspomniany program „Literatura na trzeźwo” – do TVP.

KARIERA W TVP

Pamiętam, jak opowiadał mi o swojej rozmowie z Jackiem Kurskim, który zadzwonił z propozycją przejęcia

TVP Kultura. Mateusz opowieść zakończył wtedy stwierdzeniem, że w takich sytuacjach się nie odmawia. Było to dla mnie trochę zaskakujące. Mateusz Matyszkowicz był w tamtym czasie publicystą wielu prawicowych tytułów, sądzę jednak, że gdy w przyjacielskim gronie redagował „Fronde”, zmienił swoje marzenie. Przestało nim być „życie z pisania”. Zaczął myśleć o możliwościach oddziaływania i kształtowania kultury. Nowa odsłona „Frondy”, nie tylko w sensie osobistym, okazała się bowiem sukcesem. Jeszcze raz wróćmy do czerwca 2013 r., kiedy mówił. „Jeśli ktoś sięgnie po »Fronde« i powie: »Tęgo się spodziewałem«, to będzie oznaczać, że ponieśliśmy klęskę. Niczego nie można się spodziewać”. Niektórzy twierdzą, że numer „Frondy LUX” w ciepłych słowach piszący o disco polo nie pozostał bez wpływu na jego transfer do TVP.

Można się zastanawiać, czy zaangażowanie Mateusza Matyszkowicza w postmodernistyczny i ironiczny styl „Frondy LUX”, na której łamach sprawy chrześcijańskie stawały się przedmiotem sympatycznej, inteligentnej i kulturalnej, ale jednak gry, nie sprawiły, że on sam zrelatywizował chrześcijański filozoficzny dystans wobec kuszących propozycji, które można otrzymać od władzy. Sprawy zwykle tak się układają, że troska o chrześcijaństwo stawia światu większe opory niż troska o kulturę. A może rzeczywiście zwyciężyła ambicja, by naprawdę wyrwać się z pokolenia uwiecznionego na niskim lub średnim stopniu kariery.

Tak moment nominacji nowego prezesa TVP opisywał jeden z członków Rady Mediów Narodowych – Robert Kwiatkowski. „Mateusz Matyszkowicz udawał, że jest zaskoczony, więc go zapytałem, czy wyrażał przedtem zgodę. Przyznał, że tak, potwierdzili to również Czabański i Lichocki. Powiedział, że to wielki zaszczyt i ukoronowanie marzeń i ambicji, »zresztą tak, jak pan wie, panie prezesie«, zwracając się do mnie”. Choć słowa o marzeniach mogły zapewne zostać przyjęte jako okrągła, grzecznościowa forma, to sądzę, że były szczere. Pasowały do ich autora.

Droga kariery Mateusza Matyszkowicza, od kiedy w roku 2015 został szefem TVP Kultura, jest dość dobrze znana. W roku 2017 został dyrektorem TVP 1, potem był jeszcze wicedyrektorem ds. repertuaru biura programowe-

go telewizji, a w roku 2019 wszedł do zarządu TVP. Od roku 2017 jest członkiem Polskiego Instytutu Rady Filmowej, a w 2018 r. objął przewodnictwo nad zespołem ds. dobrego imienia i historii Polski przy TVP. We wrześniu tego roku zastąpił Jacka Kurskiego na stanowisku prezesa telewizji publicznej. Zasadne pozostaje pytanie, czy uda mu się odciążyć na telewizji, kierowanej dotąd przez Jacka Kurskiego, piętno, które warte było ceny, jaką płaci każdy, kto wchodzi dziś do mediów państwowych, by sprawować tam kierownicze funkcje.

Profesor Jan Hartman, człowiek z politycznych antypodów prawicy, uważa oczywiście, że Mateusz Matyszkowicz „stał się PiS-owcem i karierowiczem. Niebezpiecznym, bo bardziej inteligentnym niż reszta”. Słowa te możemy przeczytać w obszernym tekście Piotra Głuchowskiego „Anarchista Pana Boga” z „Magazynu Gazety Wyborczej” (17–18 września). Opinie prof. Hartmana od lat jednak zniechęcają swoją skrajnością, także częstą retoryczną obrzydliwością. Wolę sądzić, przynajmniej na starcie misji nowego prezesa, że Mateusz Matyszkowicz wciąż posiada wolę zmiany, nieprzewidywalność, dzięki której

zdoła przynajmniej do pewnego stopnia wydobyć Telewizję Polską z jej prząsności i przekraczającego rozsądek propagandowego zacięcia. Czy to jednak rzeczywiście są zadania na miarę ambicji świetnie wykształconego krakowskiego filozofa, który chciał „konserwatywne wartości” atrakcyjnie podawać znudzonemu nimi światu? Trudne pytanie.

Być może nowy prezes TVP uważa, że droga, którą przeszedł, była konieczna, by telewizję móc zmienić, by stała się medium rzeczywiście dbającym o formację kulturalną narodu w zgodzie z tym, do czego została powołana. Można mieć jednak obawy, czy jeden człowiek, na chwiejnym stanowisku, nawet gdyby zachował wolę działania, może dokonać tak wielkiej rzeczy. Aby w to wierzyć, musiałby być bardzo ambitnym marzyicielem, romantykiem i rycerzem.

Czy te rozważania nie idą za daleko? Być może. Inaczej pisze się jednak o kimś zupełnie z zewnątrz, kimś obcym, a inaczej o osobie, z którą odbyło się sporo rozmów dotyczących idei, kultury, sposobów myślenia. Istnieje obawa, że człowiek, o którym piszemy, po prostu się zmienił i już nie jeste-

śmy w stanie uchwycić jego obecnych motywacji.

Sięgam do różnych tekstów z wypowiedziami Mateusza Matyszkowicza i trafiam na jego starego bloga na portalu Salon24.pl, gdzie zapisywał refleksyjne notatki ukryty pod nickiem. Czytam jedną z ostatnich, z roku 2010: „Niedaleko naszego domu biegają tory, jest nawet mały przystanek kolejowy i przejazd. Przy przejeździe rampa i sygnał, gdy powinna być opuszczana. Sygnał to szczególnie, rytmiczny, uparty, lecz nieśmiały i starczy. Powoli dzwoni, jak łyżka o garnek, jak dźwięk, który mnichom towarzyszy w ciągu dnia. Im oznajmia godziny modlitwy, pracy i posiłku. Dla nas nie oznacza nic. Po prostu jest, taki wytarty z jakiegokolwiek znaczenia”.

Mam szczerą nadzieję, że nie będziemy patrzeć na prezesurę Mateusza Matyszkowicza w TVP, gdy kiedyś dobiegnie ona końca, jako na wytartą i pozbawioną jakiegokolwiek znaczenia. Mam też inną jeszcze nadzieję, że prezes wróci kiedyś jeszcze do pisania, które – jak sam pisał – ma w sobie coś ze szlachetności rycerstwa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



**KUPUJ
TYGODNIK „DO RZECZY”
W PLACÓWKACH
„POCZTY POLSKIEJ”**

**Sprawdź listę punktów sprzedaży:
tygodnik.dorzeczy.pl/sprzedaz**





Zuzanna Dąbrowska

Od wielu miesięcy na ulicach polskich miast pojawiają się billboardy promujące wartości konserwatywne. Plakaty budzą oburzenie środowisk lewicowo-liberalnych. Za akcją stoi producent okien

Jesienią 2020 r., po wyroku Trybunału Konstytucyjnego zakazującego tzw. aborcji eugenicznej, można było zauważyć w Polsce pierwsze billboardy z przesłaniem pro-life. Ukazywały one wizerunek nienarodzonego dziecka z prostym hasłem „życie” w kilku językach, a także stópki 11-tygodniowego malucha znajdującego się w łonie matki. Kolejne plakaty niosły przesłanie podkreślające wartość stabilnego związku w rozwoju dziecka: „Kochajcie się mamó i tato”. Akcję finansowała fundacja Nasze Dzieci – Edukacja, Zdrowie, Wiara, nazywana w skrócie fundacją Kornice.

„To inicjatywa charytatywna, bazująca na trzech filarach: Edukacja – Wiara – Zdrowie. Jej celem jest wspieranie rodzin, jako naturalnego i najważniejszego środowiska wychowawczego dla człowieka” – taki opis można znaleźć na stronie internetowej fundacji. Organizacja zapewnia pomoc z zakresu zdrowia oraz jego profilaktyki, psychologii i coachingu, a także doradztwo pracownika socjalnego. Odpowiada za Wspólnotę Trudnych Małżeństw Sychar, wspiera działalność hospicjów perinatalnych oraz organizuje warsztaty m.in. z okazji Dnia Matki oraz Dnia Ojca.

PREZES KŁOSEK

Prezesem fundacji jest znajdujący się na 12. miejscu listy najbogatszych Polaków (ranking „Forbesa” 2022) Mateusz Kłosek, właściciel firmy Eko-Okna. W 2019 r. przedsiębiorstwo stało się europejskim liderem w produkcji okien z obrotami na poziomie 400 mln euro, wyprzedzając największego konkurenta, czyli francuską markę K-line. Jak podał „Forbes” na początku tego roku, majątek Mateusza Kłoska wzrósł o 457,9 proc. i wyceniany jest obecnie na 3,8 mld zł. W zestawieniu najbogatszych Polaków



Kto wiesza chrześcijańskie billboardy?

założyciel fundacji Kornice wyprzedził m.in. Rafała Brzoskę, twórcę niezwykle popularnej sieci paczkomatów InPost. To właśnie firma Eko-Okna finansuje działalność fundacji Kornice.

Jakie motywacje popychają jednego z najbogatszych ludzi w Polsce do finansowania konserwatywnych w wymowie kampanii? „Wartości rodzinne są fundamentem dla zdrowego społecznego rozwoju. Prowadząc przedsiębiorstwo produkcyjne, widzę, jak istotne znaczenie

ma stabilność, którą otrzymujemy tylko w rodzinie, jej wartości, wielodzietność” – przekonywał Kłosek w wywiadzie udzielonym portalowi DoRzeczy.pl. Z kolei w rozmowie z „Niedziłą” biznesmen wskazał, że od czasu, gdy przeszedł nawrócenie, wiara jest dla niego życiowym fundamentem.

„Na pewno wiara jest w moim sercu. Wcześniej było to takie tradycyjne przywiązanie do Kościoła, które wynosi się z domu. Świadomość wiary i wynikających z tego konsekwencji w życiu poja-

wiła się natomiast kilka lat temu. Dzisiaj mogę powiedzieć, że dla mnie wiara jest fundamentem, na którym buduję życie. To zmienia perspektywę. Uświadamia, po co są pieniądze, czemu służą, jaki sens ma prowadzenie działalności gospodarczej, rozwijanie firmy” – te słowa w dużym stopniu wyjaśniają, dlaczego szef Eko-Okien wykląda niemałe środki na promowanie tradycyjnych wartości, także wiary. Jedną z serii plakatów fundacji Kornice ukazuje Matkę Bożą z hasłem „Maria jest z nami”. Inna przypomina słynne słowa św. Jana Pawła II o Duchu Świętym: „Odnowi oblicze tej ziemi”. Mateusz Kłosek przyznał, że sam przeżył kryzys w małżeństwie i zrozumiał, że pieniądze i sukcesy zawodowe, bez bazy w postaci Boga i stabilnej rodziny, znaczą niewiele.

KRYŻY W HALI, KAPLICZKA W FIRMIE

Czterdziestoczworoletni zapewnia, że choć nowo przyjmowany pracownik jego firmy w żaden sposób nie musi deklaruować się jako osoba wierząca (w mediach krytycznych wobec działalności Kłoska pojawiły się sugestie, że przedsiębiorca wymaga swego rodzaju zobowiązania w tym zakresie), ponieważ najważniejsze są kompetencje i doświadczenie, to jednak na terenie firmy widoczne są znaki wiary – jest tam kapliczka, a w biurach oraz halach produkcyjnych wiszą krzyże. Pod koniec ubiegłego roku poświęcono ufundowany przez biznesmena klasztor Wspólnoty Niepokalanej Matki Wielkiego Zawierzenia. Kompleks mieści się w Pietrowicach Wielkich – gminie, której częścią się Kornice.

O akcji billboardowej pokazującej wartość życia przedsiębiorcy mówił tak: „To mój obowiązek. Nie mogłem postąpić inaczej. To była forma obrony osób najbardziej bezbronnych – dzieci nienarodzonych”. Przyznał, że idea wykupienia powierzchni plakatowej pojawiła się po przełomowym wyroku TK, który stwierdził, że wrodzona wada genetyczna nie jest zgodnie z konstytucją przesłanką do legalnego dokonania aborcji. W ubiegłym roku Kłosek otrzymał nagrodę Przyjaciół Życia, przyznawaną przez Polskie Stowarzyszenia Obrońców Życia.

Środki, jakie przeznacza fundacja Kornice na konserwatywne plakaty, robią wrażenie. Według wycień domu medialnego Media People, kampania pro-life oraz promująca małżeństwo mogła kosztować ok. 5,5 mln zł. W czerwcu i lipcu

Po raz pierwszy w dyskursie zdominowanym przez narrację liberalną pojawiła się kampania pokazująca inny, tradycyjny obraz świata

tego roku, czyli w czasie, gdy ukazały się billboardy z hasłem „Gdzie są TE dzieci”, fundacja wydała na reklamy outdoorowe ponad 26 mln zł (zgodnie z szacunkami Kantar Media).

Po raz pierwszy w naszym dyskursie zdominowanym przez narrację liberalną pojawiła się tak duża, robiona „na bogato” kampania pokazująca inny, tradycyjny obraz świata. Nie bez znaczenia jest fakt, że stoi za nią człowiek, który odniósł gigantyczny sukces, dzięki czemu odbiega od kreślonego przez postępowców obrazu konserwatysty–nieudacznika.

WŚCIEKŁOŚĆ

Kolejne akcje plakatowe budzą kolejne dyskusje. Nie tylko media liberalno-lewicowe, lecz także te określane jako branżowe prześcigają się w wyrażaniu oburzenia. I tak według portalu Gazeta.pl promowanie nierozdzielności małżeństwa jest szkodliwe, bo przecież w małżeństwach występuje przemoc. Serwis zarzucił, że fundacja forsuje trwanie w związku, w którym dzieje się źle. Pominęto jednak fakt, że Kornice promowały minicykl „Rozwód? SOS!”, w którym mediatorka związana z Polskim Forum Rodziców tłumaczyła, na czym polegają mediacje przy rozstaniu małżeństwa, i zachęcała do korzystania z tej formy pomocy. Na stronie organizacji można odnaleźć wiele materiałów pokazujących przykre konsekwencje rozwodów oraz informacje o tym, jak zwalczyć kryzys.

Podobną krytykę wywołały plakaty wskazujące (w oparciu o badania amerykańskie), że związki budowane na bazie wiary rozpadają się znacznie rzadziej niż te nieoparte na Bogu. Zgodnie z treścią billboardów, które pojawiły się na polskich ulicach pod koniec sierpnia, 50 proc. małżeństw cywilnych kończy się rozwodem, natomiast tych zawartych w Kościele – 33. proc. Tymczasem branżowy serwis Spidersweb.pl pisze o „niesławnej fundacji Kornice”, która „mówi Polakom, jak mają żyć”. „Niebotyczne kwoty przepalane są na oszpecające

miasta postery, które mówią Polakom, jak mają żyć. A oni i tak żyją jak wcześniej” – stwierdza portal, pisząc o „pladze billboardów”.

Z niemałą wściekłością spotkała się także seria plakatów ukazujących obrączki z hasłem: „Misja mężczyzny: dać świadectwo. Jezus”. Tu do akcji wkroczyła naczelną aktywistka III RP, czyli Maja Staśko. Lamentowała, że nie można przecież wskazywać, jaka jest misja mężczyzny, bo to wykluczające, a w XXI w. każdy może mieć misję, jaką chce. „Jasne, wywierajcie dalej presję na mężczyzn, to na pewno pomoże w kraju, gdzie mężczyznom blokuje się mówienie o emocjach, a okazywanie ich uznaje za niemęskie. 7x częstsze odbieranie sobie życia przez mężczyzn jest wystarczającym dowodem, że ta presja jest zabójcza” – stwierdziła na Twitterze. I dodała: „Mężczyźni umierają przez tę presję”. Aktywistka postanowiła udostępnić też wiadomości swoich obserwatorów, m.in. geja, który, choć sam przyznał, że jego temat małżeństwa nie dotyczy, to i tak był oburzony.

W spór z fundacją Kornice wszedł znany portal organizujący zbiórki charytatywne Pomagam.pl. W odpowiedzi na billboardy „Gdzie są TE dzieci” serwis przedstawił własne z hasłem: „TU jestem”, wskazujące na konkretne dzieci wymagające pomocy. Sugestia jest prosta: zamiast wydawać zbędne pieniądze na plakaty, wpłacajcie je na chore dzieci. – Parafrazując Johna F. Kennedy’ego, nie pytamy, gdzie te dzieci, tylko mówimy, co można dla nich zrobić. Zuzia, Bartuś i Emilka są tutaj i naprawdę można im pomóc, więc nie gadamy, tylko pomagamy! – powiedział Adam Sierociński z agencji reklamowej Feeders, która wspiera Pomagam.pl. Te argumenty trafiają jednak jak kulą w płot. Nawet nieprzychylna fundacji Kornice „Gazeta Wyborcza” opisała wiele działań podejmowanych przez Mateusza Kłoska na rzecz lokalnej społeczności Kornic (tam siedzibę mają Eko-Okna). W dobie epidemii koronawirusa firma przekazała szpitalowi w Raciborzu 2,5 mln zł, dzięki którym zakupiono m.in. ambulans. Przedsiębiorstwo sfinansowało remont Kuźni Raciborskiej. Sołtys Kornic Elżbieta Hermet przyznała z kolei, że Kłosek zawsze hojnie dokłada się do środków zbieranych podczas lokalnego festynu.



Biedakradzieże

Naprawdę trudny czas dopiero przed nami. Przecież na dobrą sprawę jeszcze nie zaczął się sezon grzewczy, jeszcze ludzie nie wykorzystali obniżonych cen energii (w limicie 2000 kWh), jeszcze nie zaczęły stawać zakłady, których produkcja przy pewnych cenach energii czy gazu stanie się nieopłacalna, jeszcze niezbyt wielu Polaków straciło pracę. Jeszcze także nie weszły w życie kolejne sankcje przeciw Rosji zaproponowane właśnie przez Komisję Europejską – a przecież skutki tych sankcji zawsze oznaczają wyrzeczenia dla Europejczyków (dziś trudno wciąż nawet ocenić, czy to daje jakiś efekt czy jest to wyrzeczenie bezsensowne).

Tymczasem już widać, że pieniędzy Polakom raptownie ubyło, że standard życia ulega pogorszeniu. Inflacja robi swoje – podwyżki cen przy tych samych pensjach pozwalają na mniej niż wcześniej.

I są już pierwsze namacalne efekty tego stanu rzeczy. Komenda Główna Policji podsumowała dane dotyczące kradzieży w sklepach. W pierwszych sześciu



Łukasz Zboralski

Wyższe ceny żywności, benzyny i energii spowodowały lawinowy wzrost kradzieży w Polsce. Handlowcy mówią wprost: ludzie zaczęli kraść jedzenie z biedy. I boją się zaplanowanej przez rząd zmiany, która podwyższy do 800 zł kwotę, do której kradzież uznawana będzie za wykroczenie, a nie przestępstwo

miesiącach tego roku odnotowano 17 219 przestępstw (a więc kradzieży towarów przekraczających wartość 500 zł). Rok wcześniej było ich 13 491. To oznacza wzrost kradzieży o blisko 28 proc. O prawie jedną trzecią! Najwięcej przypadków odnotowano na obszarze Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu – 3314 (rok wcześniej – 2243), Komendy Stołecznej Policji w Warszawie – 2391 (1815), KWP w Katowicach – 2101 (1708).

Nieco mniejszy wzrost – ale to wciąż wzrost! – KGP odnotowała w przypadku wykroczeń związanych z kradzieżą

sklepową (a więc kradzieży o wartości do 500 zł). W tym roku takich wykroczeń odnotowano 106 970, czyli o blisko 13 proc. więcej niż w analogicznym okresie roku poprzedniego (94 902). Najwięcej przypadków odnotowano na obszarze działania KWP w Katowicach – 16 797 (w ubiegłym roku – 15 388), we Wrocławiu – 12 238 (10 553) i w Warszawie – 9475 (9586).

JAK ZNIKA MASŁO

W kwietniu internauci na Twitterze drwili z Rosji – bo upubliczniono zdjęcia



FOT. AQUIRE-STOCK

Większy problem niż sieci mają właściciele małych sklepów. Im trudniej jest zastosować systemowe rozwiązania np. z czytnikami. Radzą sobie, jak mogą. Na przykład w Kielcach – jak odnotowały media – w wielu sklepach masło przeniesiono do lad chłodniczych (tak, by klient nie mógł dotknąć towaru i musiał prosić sprzedawcę) lub na stoiska, na których obsługują ekspedientki.

W rozmowie z telewizją Polsat właściciel jednego z kieleckich sklepów opowiadał, że zdecydował się na zmiany, gdy zauważył, że z zamawianych co dwa dni 30 kostek masła 20 zniknęło. Sprawdził nagrania z monitoringu. I zaskoczenie. – Masło kradły osoby w różnym wieku, ale przede wszystkim byli to emeryci – powiedział Szymon Siwonina.

Te obserwacje zgadzają się z wnioskami Polskiej Organizacji Handlu i Dystrybucji. „Coraz częściej łupem sprawców kradzieży padają produkty podstawowej konsumpcji, np. masło, pieczywo, co świadczy o tym, że w części przypadków decyzja o dokonaniu kradzieży może być spowodowana ekstremalnie trudną sytuacją materialną sprawcy tego czynu i wiąże się z podjęciem dramatycznych wyborów” – czytamy w oficjalnym komunikacie POHiD z 1 sierpnia tego roku. „Branża odnosi się do takich incydentów z należytą powagą. Sieci handlowe dokładają wszelkich starań, aby chronić klientów, zwłaszcza osoby o najniższych dochodach, przed nadmiernymi wzrostami cen żywności. Wyciągają też pomocną dłoń do osób w trudnej sytuacji materialnej i życiowej, oferując im – za pośrednictwem organizacji charytatywnych – wsparcie finansowe i produktowe. Należy jednak podkreślić, że próby kradzieży są w znacznym stopniu udaremniane dzięki skutecznym zabezpieczeniom antykradzieżowym, w które wyposażone są sklepy średnio- i wielkopowierzchniowe. Osoby dokonujące kradzieży zazwyczaj obierają sobie za cel mniejsze placówki, które nie dysponują takimi zabezpieczeniami”.

Producenci zaczynają też stosować w Polsce downsizing. Czyli ukrywają przed klientami wzrost cen produktu, stosując mniejsze opakowanie. I tak można już kupić 0,9 l oleju, a nie litr czy kostkę masła ważącą 170 g, a nie 200 g jak do tej pory.

Nie będzie dla nas żadnym pocieszeniem, że elektroniczne plomby antykradzieżowe pojawiły się także latem w skle-

pach spożywczych w Wielkiej Brytanii – zakładane m.in. na ser i masło. Zatem i Brytyjczyków tak dotknęły rosnące ceny żywności, że więcej z nich zdecydowało się na kradzieże. A przecież oficjalna inflacja na Wyspach to ok. 9 proc., czyli zaledwie prawie połowa polskiego wskaźnika...

UBĘDZIE PRZESTĘPSTW, PRZYBĘDZIE WYKROCZEŃ?

Oczywiście plaga kradzieży w sklepach spożywczych nie jest jedynym widocznym znakiem nagłego zubożenia społecznego. Są i – niestety – inne.

Od stycznia do czerwca KGP zanotowała też w Polsce wzrost kradzieży na stacjach paliw o 42,9 proc. (do 1543 w tym roku). Częściej zdarza się zuchwała kradzież paliwa – złodzieje podjeżdżają pod dystrybutor, tankują i z piskiem opon odjeżdżają. Monitoring nie jest tu dobrym zabezpieczeniem, bo zwykle do takich „akcji” zakłada się kradzione tablice rejestracyjne. Mało która obsługa mniejszej stacji będzie chciała też ryzykować życie czy zdrowie, by próbować samodzielnie zatrzymać rabusiów.

Od września niektórzy leśniczowie zauważają też problem z kradzieżą drewna. Brak węgla i drogi surowiec, który niezbędny jest do ogrzania domów, spowodował nasilenie rabunku m.in. w nadleśnictwach Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych. Złodzieje wycinają samodzielnie drzewa, a także kradną drewno z przygotowanych już w lasach stosów po wyrębach.

Tymczasem w Sejmie na ostatnie głosowanie czeka nowelizacja Kodeksu karnego. Oprócz wielu innych zmian (m.in. wprowadzenia konfiskaty pojazdów dla kierowców jeżdżących po pijanemu) projekt ten zmienia też próg wartości, od którego kradzież uznawana będzie za przestępstwo. Dziś przywłaszczenie cudzej rzeczy do wartości 500 zł to wykroczenie. Rząd zaplanował podwyższenie tego progu do 800 zł.

Handlowcy uważają, że w obecnej sytuacji łżejsze traktowanie kradzieży będzie stanowiło tylko kolejną pokusę do ich dokonywania. „Nasza branża stoi na stanowisku, że podniesienie progu kradzieży aż o 300 zł stanowi – w okresie kryzysu, który dotyka uczciwych Polaków – zachętę dla zawodowych złodziei i z tego powodu jest wątpliwe etycznie” – stwierdziła w komunikacie Renata Juszkievicz, prezes POHiD.

ze sklepów spożywczych, na których widać było, że masło ma tam specjalne zabezpieczenia antykradzieżowe, spotykane u nas na urządzeniach elektronicznych czy ubraniach. Z podobnych zabezpieczeń, m.in. na serach, śmiano się w kontekście Białorusi.

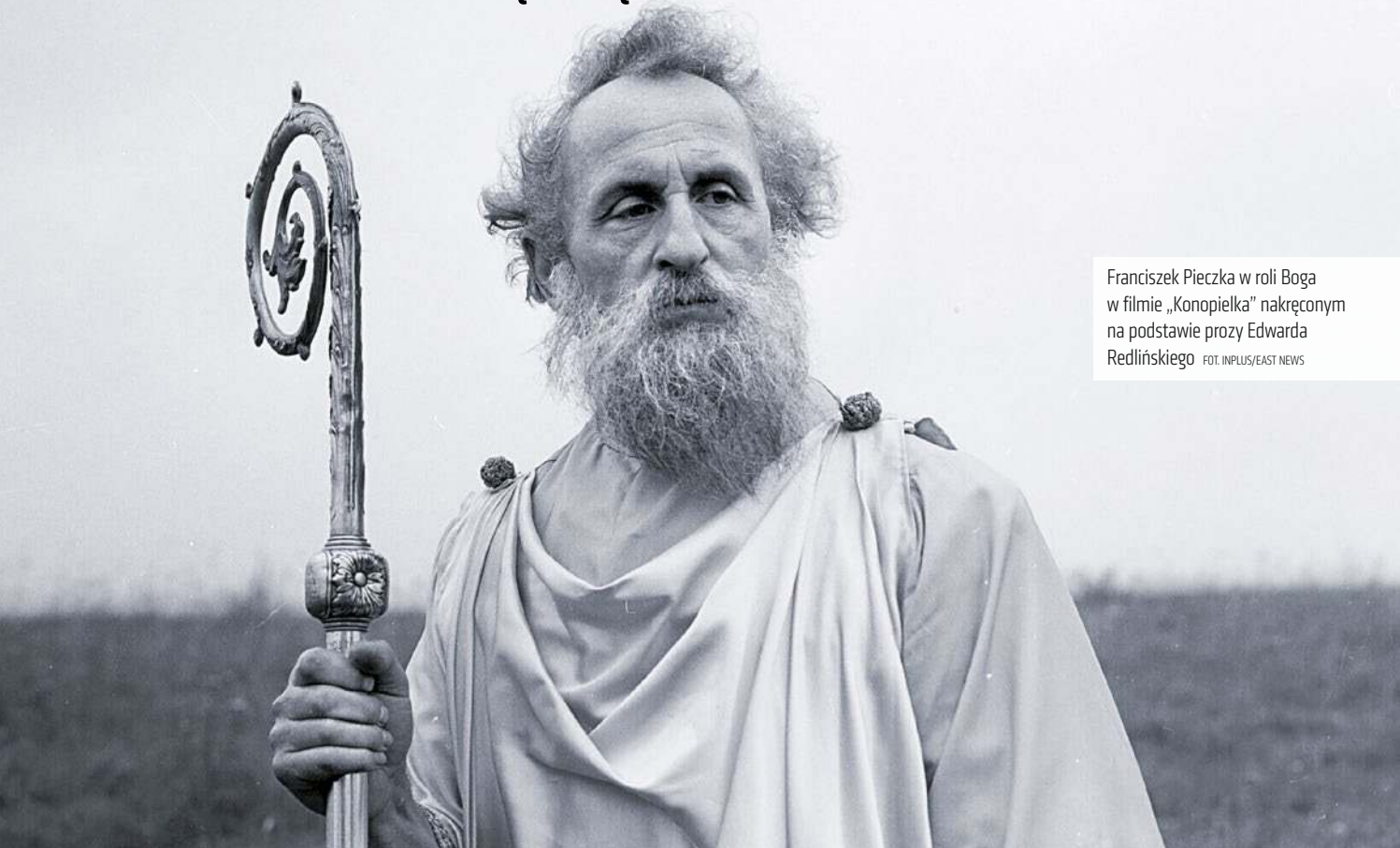
Tymczasem jeszcze w wakacje klienci niemieckiej sieci Kaufland w Polsce też zobaczyli na masle dodatkowe naklejki – były to właśnie zabezpieczenia antykradzieżowe (w technologii RFID w cienkie naklejki wbudowany jest układ, który otrzymuje zasilanie w pobliżu czujnika za pomocą fal określonej częstotliwości i wówczas wysyła zapisane w sobie dane). Przedstawiciele sieci przyznali mediom wprost, że wprowadzili zabezpieczenie z powodu licznych kradzieży.

„Część artykułów wyznaczonych do zabezpieczenia jest ustalana centralnie. Ponadto w zależności od potrzeb w wybranym sklepie systemem antykradzieżowym mogą zostać objęte produkty wskazane przez menedżera marketu. W przypadku próby kradzieży, gdy klient przekracza bramkę, zabezpieczenie uruchamia sygnał alarmujący pracowników marketu” – tłumaczyła portalowi Wiadomościhandlowe.pl Maja Szewczyk, dyrektor Działu Komunikacji Korporacyjnej w sieci Kaufland.

Dlaczego akurat masło? Wystarczy spojrzeć na cenę. Za kostkę trzeba płacić dziś kilkadziesiąt procent więcej niż przed rokiem.

Od księdza do Pana Boga

23 września na niebiańską scenę odszedł Franciszek Pieczka



Franciszek Pieczka w roli Boga w filmie „Konopielka” nakręconym na podstawie prozy Edwarda Redlińskiego FOT. INPLUS/EAST NEWS



Tomasz Z. Zapert

Rocznik 1928. Syn ziemi śląskiej. Dorastał we wsi Godów pod Wodzisławiem. Za młodu pasał bydło, przygrywał na organach w parafialnym kościele, fedrował węgiel. Studiując aktorstwo w warszawskiej Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej, kwaterował w domu akademickim przy pl. Narutowicza, dzieląc pokój – dwa łóżka piętrowe! – z kolegami z roku: Wiesławem Gołasem, Mieczysławem Czechowiczem i Zdzisławem Leśniakiem. „Bardzo szybko się ze sobą zżyliśmy. Chociaż nasza nauka przypadła na ponury i niebezpieczny okres, to nie mieliśmy przed

sobą sekretów. I tak Wiesiek opowiadał o swej AK-owskiej konspiracji w Kielcach, Mietek o aresztowaniu przez UB w tużpójennym Lublinie, Zdzisiek przywoływał sowieckie panowanie w Borysławiu, ja zaś przedstawiałem realia okupacji na Górnym Śląsku. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby wiadomość o naszych zwierzeniach dotarła do studiującej niżej koleżanki wyróżniającej się ideologiczną gorliwością. I to zarówno wtedy, jak i w III Rzeczypospolitej” – wspominał Pieczka.

Innym razem przekonywał, że kwartetowi artystów in spe fantazji nie brakowało: „Leśniakowi zamarzyło się np. kiedyś, a były to lata stalinowskie, abyśmy pomachali przed ambasadą amerykańską i głośno zapiali. Próbowałem im to wybić z głowy, ale po tygodniu namawiania uległem i rzeczywiście wy-

znaczono dnia o wyznaczonej godzinie przeszliśmy, pomachaliśmy i zapialiśmy. Cud Boski, że uszło nam to płazem”.

ADRESY MELPOMENY

Po odebraniu dyplomu aktorskiego z rąk samego Aleksandra Zelwerowicza zaangażował się do teatru jeleniogórskiego. Miał oferty z bardziej prestiżowych placówek w większych aglomeracjach, lecz obawiał się, że będzie tam głównie „dzierzył halabardę, przez co straci kontakt z rzemiosłem i popadnie w zgorzknienie”. Tymczasem w Jeleniej Górze grał dużo i często.

Kolejny przystanek stanowił Teatr Ludowy w Nowej Hucie, kierowany przez tandem małżeński – Krystynę Skuszanek i Jerzego Krasowskiego. O młodym aktorze zrobiło się głośno dzięki kreacji Smalla

w inscenizacji powieści Johna Steinbecka „Myszy i ludzie” oraz Regimentera w „Śnie srebrnym Salomei” Juliusza Słowackiego. Wkrótce upomniał się o Pieczkę krakowski Stary Teatr. Konrad Swinarski powierzył mu tytułową postać Woyzecka w dramacie Georga Büchnera, a Jerzy Jaroński rolę Krzyka w „Zmierchu” Izaaka Babla.

Wspinając się po szczeblach kariery, trafił do stołecznego Teatru Dramatycznego, aż w końcu zacumował – na ponad cztery dekady – w warszawskim Teatrze Powszechnym. I właśnie tam pod koniec lat 70. ujrzałem go na scenie po raz pierwszy. Jako milczący Wódz Bromden w „Locie nad kukułczym gniazdem” Dale’a Wassermana fenomenalnie kontrastował z ekspresją Patricka McMurphy’ego – w zjawiskowej interpretacji Romana Wilhelmiego.

W przybytku sztuki przy ul. Zamoiskiego Pieczka święcił też triumfy w innych legendarnych już dziś przedstawieniach: „Wrogu ludu” Henryka Ibsena, „Spiskowcach” Władysława Lecha Terleckiego, „Antygonie” Sofoklesa, „Ożenku” Mikołaja Gogola, „Śnie nocy letniej” Williama Szekspira, „Z życia glist” Pera Olova Enquisa, „Czarownicach z Salem” Arthura Millera oraz „Słonecznych chłopcach” Neila Simona, tocząc brawurowy pojedynek na miny, gesty i słowa ze Zbigniewem Zapasiewiczem.

AKTOR UDUCHOWIONY

W pamięci przeciętnego Polaka pozostały jednak przede wszystkim ekranowe dokonania Pieczki. Z Gustlikiem Jeleniem z załogi czołgu Rudy 102 na czele. Skądinąd wyborne aktorstwo i sprawna realizacja w znacznej mierze skutecznie kamuflują liczne zafałszowania historyczne serialu „Czterej pancerni i pies”. W jednej z sekwencji Pieczka wystąpił z Witoldem Pyrkoszem, sierżantem Wichurą, szoferem ciężarówki wojskowej, której nie mógł uruchomić. „Pyrkosz, Pyrkosz i nie jedziesz” – pouczył kierowcę, na co ów odparł: „A, bo mi Pieczka zgasła”...

„Bardzo mi się dobrze tę rolę grało i nie uważam, że przynosi mi ujmę – wspominał po latach Pieczka. – Nigdy nie zapisałem się do żadnej partii. Ojciec przestrzegał mnie przed polityką. A film był dla dzieci. Dopiero po emisji zorientowaliśmy się, że partia zauważyła gigantyczny odzew u widzów i zaczęła to wygrywać politycznie. Naszą czwórkę postanowiono wykorzystać, gdy przewożono prochy pomordowanych w Maj-

Kreację życia stworzył w fabularnym debiucie Leszczyńskiego – „Żywocie Mateusza”. Peanie hołdującym naturze

danku do Brześcia. Mieliśmy ściągnąć tłumy ludzi, ale zakazali nam dawania autografów. Tymczasem tylko przyjechałiśmy i skończyła się partyjna akademka. Na nasz widok dzieci oszalały. Czułem się jak na rockowym koncercie”.

Bezkonkurencyjnie wcielał się w osoby uduchowione, toteż często obsadzano go w rolach księży. Na przykład w „Dziurze w ziemi”, „Legendzie” czy „Przypadku Pekosińskiego”. Włoskim proboszczem był w zaadaptowanej przez Janusza Majewskiego powieści Tadeusza Brezy „Urząd”, polskim zaś w ekranizacji (Jan Rybkowski) „Chłopów” Władysława Reymonta. Miał też w dorobku rolę świętego Piotra („Quo vadis” – opus magnum Henryka Sienkiewicza w interpretacji Jerzego Kawalerowicza), a nawet samego Pana Boga („Konopielka” Witolda Leszczyńskiego, wedle prozy Edwarda Redlińskiego).

Moim zdaniem kreację życia stworzył w fabularnym debiucie Leszczyńskiego – „Żywocie Mateusza”. Peanie hołdującym naturze, powstałym na kanwie książki norweskiego pisarza Tarjei Vesaasa „Ptaki”. Ta nastrojowa przypowieść, pełna niedopowiedzeń, łączy w sobie motywy fabularne z elementami mistyki. Bohaterem jest człowiek z lekka upośledzony, nadwrażliwy, prostolinijski, żyjący w harmonii z otaczającą go florą i fauną. Razem z siostrą zamieszkuje chatę na odludziu – zdjęcia zrealizowano nad jeziorem Wigry. Panicznie bojący się samotności, lekceważony i wyśmiewany przez otoczenie postanawia rozstać się z życiem.

Na drugim stopniu filmowego podium Pieczki stawiam „Austerię”, dzieło literackie Juliana Strykowskiego przeniesione do kina przez Kawalerowicza. Pierwsze godziny pierwszej wojny światowej. Przy drodze do małego galicyjskiego miasteczka znajduje się oberża. Chronią się w niej żydowskie uciekinierzy zagrożeni kozackim pogromem. Zarówno zamożni, wyemancypowani Żydzi, jak i chasydzy. Karczmarz Tag, ludowy myśliciel, otacza ich troską i opieką. Zarazem ten egzystencjalny sceptyk ma świadomość

schyłku epoki. Przeczuwa, że za widnokregiem może czaić się zagłada.

Przyjmując kryterium sportowe, trzecie miejsce rezerwuję dla odtwarzanego przez Pieczkę bohatera filmu Henryka Kluby (scenariusz Wiesława Dymnego) „Słońce wschodzi raz na dzień”. To dramat społeczny, zrealizowany w konwencji ballady, przedstawiający proces komunizowania beskidzkiej osady. Haratyk, nieformalny przywódca wioski, organizuje jej funkcjonowanie po zakończeniu drugiej wojny światowej. Stawia tartak, otwiera szkołę... Rychło dochodzi do konfliktu z UB, który uważa go za wroga ludu, usiłując zmusić do posłuszeństwa. Zagrożony aresztowaniem ucieka do lasu. Nic dziwnego, że tak niepoprawny politycznie obraz zyskał zaszczytne miano „półkownika”. Premiera odbyła się pięć lat po kolaudacji, kiedy władzę przejęła ekipa Edwarda Gierka, starająca się zjednać Polaków pozorami liberalizacji w rozmaitych dziedzinach.

Na medal zasłużył Pieczka, nie tylko wcielając się w głównych bohaterów (trudno przemilczeć dyrektora kombinatu z „Blizny”, pełnometrażowego debiutu Krzysztofa Kieślowskiego). Któż nie pamięta z „Potopu” dialogu starego Kiemlicza z synami – Kosmą i Damianem: „Ociec, prac”. „Prac” – odpowiadał charyzmatyczny tata bliźniaków, co zdyskontowano u progu III RP w reklamie pewnego środka czyszczącego. Albo Muller – oszczędny i przedsiębiorczy niemiecki fabrykant – nuworysz z „Ziemi obiecanej”. Tudzież „Kosa”, chłoporobotnik budujący zapórę wodną w Bieszczadach, wspólnie z „Chudym i innymi”. A jeszcze Czepiec z „Wesela”, węglarz Cyga z „Matki Królów”, opętany Paszeko z „Rękopisu znalezionego w Saragossie”, weteran napoleoński ze „Szwadronu”, organizator zawodów sportowych z „Walkowera”, leśniczy z „Siekierzady”, dziadek z „Młynu nad Lutynią”, ojciec ze „Złodzieja”, Szulim z „Dwóch księżyców”... Hoffman, Wajda, Has, Machulski, Skolimowski, Domaradzki, Helak, Barański. Dane mu było współpracować z reżyserскими tuzami. A raczej inaczej – to oni o niego zabiegali.

ŚLĄSKIE ŚLADY

Szczególne miejsce w filmowej biografii artysty zajmują postacie związane z jego małą ojczyzną. Przede wszystkim Hubert Siersza, porywający i nieustępliwy szef strajkujących górników z „Perły w koronie” Kazimierza Kutza. A także

Franciszek Pasternik, senior rodu, którego losy na przestrzeni bez mała stulecia ukazywał serial „Blisko, coraz bliżej” Zbigniewa Chmielewskiego. Oraz syn powstańca śląskiego i przodownika pracy z „Paciorków jednego różańca”. Pieczka wielokrotnie akcentował, że: „Polacy zapomnieli, że Ślązacy wywalczyli Śląsk dla Polski sami, kiedy Piłsudski bił się pod Kijowem”. I ubolewał, że Wojciech Korfanty zamiast do historycznego panteonu

tego telewizyjnego tasiemca gaworzył na ławeczce opodal wiejskiego spożywczaka – wspierając się niewyszukanymi trunkami – z trzema innymi lokalnymi niebieskimi ptakami (Sylwester Maciejewski, Bogdan Kalus, Piotr Pręgoski). Owe konwersacje niekiedy weszły do języka potocznego, Japycz przyniósł będącemu już na emeryturze aktorowi renesans popularności, a cykl doczekał się również wersji kinowej – zatytułowanej „Ranczo Wilkowyje”.



Franciszek Pieczka bezkonkurencyjnie wcielał się w osoby duchowne, toteż często obsadzano go w rolach księży. Na zdjęciu jako duchowny w filmie „Dziura w ziemi” FOT. POLFILM/EAST NEWS

trafił do lamusa. „Ojciec brał udział we wszystkich powstaniach śląskich, a jego brat był po stronie niemieckiej. To są właśnie te zawiłości, często tragedie tamtych czasów, tamtych terenów [...] Choćbym kolejnych 50 lat żył poza Śląskiem, umrę jako Ślązak” – deklarował Pieczka.

Nawet drobiazgi – dajmy na to epizody sług w ekranizacjach powieści Stefana Żeromskiego „Wierna rzeka” (reż. Tadeusz Chmielewski) oraz „Syzyfowe prace” (reż. Paweł Komorowski) – intepretowane przez Pieczkę zapadały widzom głęboko w serca.

„Właściwie marzenia zawodowe udało mi się spełnić. No, może poza jednym. Chciałem sprawdzić się również w filmowej komedii. Zabrakło jednak okazji” – wyznał z okazji 75. urodzin. Trzy lata później zaistniał w serialu „Ranczo”. Jako Stacho Japycz przez dziewięć sezonów

Odrębną kwestię stanowi owocna współpraca Zmarłego z Janem Jakubem Kolskim. Poznanym w dzieciństwie, ponieważ jego ojciec – Roman Kolski – był montażystą „Czterech pancernych...” i zapoznał syna z „czołgistami”. Aktor doskonale się odnalazł w rustykalnej poetyce reżysera. Pojawił się aż w dziewięciu jego produkcjach. Chronologicznie: „Pogrzeb kartofla”, „Pograbek”, „Jańcio Wodnik”, „Cudowne miejsce”, „Szabla od komendanta”, „Grający z talerza”, „Historia kina w Popielawach”, „Jasminum” oraz „Serce, serduszek”.

Wspominał: „Kolski wykreował świat ludowej przypowieści, w której naiwność oleodruku sąsiaduje ze stosowną porcją ironii. Aktorom zaś umożliwił stworzenie pełnych postaci – pisząc dla nich pyszne, zwięzłe i jędrne dialogi. Przytoczę jeden, który szczególnie mi się podobał. Kiedy

Jańcio pyta Weronkę, po swoim niestawnym powrocie, czy gdyby raz jeszcze zechciał opuścić dom, znowu poprosiłaby go, żeby ją oszpecił i zapewnił sobie tym samym jej wierność, żona odpowiada nie wprost: – Widzisz, Jańcio, naszą kuchnię? Sam zobacz, wygasło pod kuchnią. Nie dołożyłeś drewna, Jańcio, bo uznałeś, że tylko ja od tego jestem”.

Po raz ostatni wystąpił przed obiektywem kamery pięć lat temu w baśni dziecięcej „Syn Królowej Śniegu”. Później „dał jeszcze głos” w dokumencie „Falenicka Atlantyda”, poświęconemu dziejom tej kiedyś podstołecznej wilegiatury, gdzie mieszkał przeszło pół wieku. Niemal tyle samo czasu spędził w małżeńskim stadle z Henryką, poznaną jeszcze za czasów akademickich. Dochowali się córki i syna.

Złoty medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, nagrody im. Cypriana Kamila Norwida i Przemysława Gintrowskiego, „Złoty Ekran”, „Wielki Splendor”, Polska Nagroda Filmowa „Orzeł”, Order Orła Białego – to najważniejsze z laurów, którymi go uhonorowano.

Teraźniejszość mocno go rozczarowała i drażniła: „Na stare lata chcę po prostu mieć święty spokój. Nie chcę się denerwować. Myślałem, że jak ludzkość poleci w przestrzeń kosmiczną i popatrzy na naszą błękitną planetę, to zmądrzeje. A okazuje się, że to wszystko nic. Ciągłe kłótnie, nie ma dyskusji, są tylko monologi, przekrzykiwanie się”.

Z podobnych powodów ignorował Internet: „To przykre czasy, w których można być anonimowym i bezkarnie komentować, często raniąc innych. Zawsze w takich momentach przypomina mi się dzieciństwo na wsi, gdzie były tzw. sławojki. Na jednej z nich widniał napis: »Proszę was z łaski nie robić na deski, patrzeć do góry i celować do dziury«. Tym właśnie są dla mnie te anonimowe komentarze”.

W rozmowie z Katarzyną Stoparczyk, zamieszczonej w książce pt. „Jak mieć w życiu frajdę”, konstatował: „Życie jest krótkie, a człowiek się kłóci o bzdety. Dziś myślę: »Po co?«. Trzeba było mówić więcej dobrych słów. Zostaje żal do siebie i czasu. [...] Ja się śmierci nie boję. Swoje przeżyłem. Już nie mam jakichś aspiracji ani życiowych, ani osobistych, ani zawodowych. Tylko proszę Boga, żeby odejść w miarę spokojnie, bez bólesci. No i żeby później spotkać się z małżonką. Tam, na górze. Może już przygotowała dla mnie jakie przyjęcie? To by było fantastyczne!”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Własku pod Białymstokiem grupa podpitych młodych mężczyzn obchodzi rocznicę urodzin Adolfa Hitlera. Są oni członkami Zrzeszenia Młodzieży Radykalnej, a „znakiem, który ich definiuje”, jest swastyka. Lider organizacji ubiera się w brązowy, skórzany płaszcz, ozdobiony „gapą”. Ideologia tego ugrupowania nietrudna jest do wyartykułowania. „Jesteśmy bohaterami, jak Żołnierze Wyklęci – głosi lider. – Płonąca kukła Żyda symbolizuje ducha katolickiego, którego żadne lewactwo nie ugasi”. Dłuższe deklaracje światopoglądowe nie są jednak specjalnością działaczy ZMR. Wystarczą im okrzyki: „Tylko Polska katolicka” lub „Żyda palimy, o wolną Polskę walczymy”.

Jeśli szanowni czytelnicy przestraszyli się już, że relacjonuję im „reportaż śledczy” TVN albo tom prozy detektywistyczno-psychiatrycznej Tomasza Piątka, uspokajam. Czytają państwo recenzję współczesnej polskiej komedii „Kryptonim Polska”. Jak na komedię przystało, muszą się w niej pojawić jakieś dowcipy. Pozwolę sobie opowiedzieć pierwsze z brzegu: bohaterowie, przymierzając się do wysadzenia w powietrze synagogi, dodają sobie otuchy aforyzmami w stylu „Bóg, honor, ojczyzna”. Są one jak najbardziej na miejscu, jako że spotkania faszystowskiej bojówki odbywają się na plebanii. Na wezwanie, by Bóg był z nimi, ktoś z obecnych odpowiada rezolutnym pytaniem o płęć Istoty Najwyższej: „Może była?”. „Wtedy nie zapłodniłby Marii, tylko Józefa” – pada „skrząca się humorem” odpowiedź. Kolejny żart, z tej samej „parafii”: ksiądz, wspierający faszystów i udzielający im na plebanii gościny, proponuje swym podopiecznym zabawę w kalambury. Najpierw, z dużą



FOT. ROBERT JAWORSKI

Kryptonim Polska



Dariusz Wieroniejczyk

W najtańszych jadłodajniach na kotlety mielone mawia się czasem „przegląd tygodnia”. Takim właśnie przeglądem dwudziestolecia, łączącym w sobie wszystkie prawdziwe, fałszywe i urojone doniesienia o zbrodniach polskiego antysemityzmu, nietolerancji i ksenofobii, jest film „Kryptonim Polska”

wprawą, udaje kobietę. Następnie wykonuje gesty przypominające uderzenia nożem. Co to może znaczyć? „Pokuta” – odpowiada dowcipny kapłan, nawiązując zapewne do słowa „pokłuta”. Aktorzy parszczą radosnym śmiechem.

W najtańszych jadłodajniach na kotlety mielone mawia się czasem „przegląd tygodnia”. Takim właśnie przeglądem dwudziestolecia, łączącym w sobie wszystkie prawdziwe, fałszywe i urojone doniesienia o zbrodniach polskiego antysemityzmu, nietolerancji i ksenofobii, jest właśnie „Kryptonim Polska”. Czego tu bowiem nie ma? Na ekranie widzimy i sławetne urodziny Hitlera, i głośne przed laty palenie kukły Żyda, incydent z bójką na noże z pracownikiem kebab baru, bicie i kopanie obco krajowców o innym kolorze

skóry, zamach bombowy na synagogę, a nawet podobny akt terroru wymierzony w Paradę Równości. Jeśli uczestnik próby zamachu ma wobec mordowania uczestników parady wątpliwości, to kolega uspokaja go słowami: „To nie są ludzie, to ideologia”. Brzmi znajomo, nieprawdaż?

Ciekawe znajomości mają też przedstawieni w filmie polscy faszyci. W przygotowaniu zamachu bombowego na Paradę Równości wspiera terrorystów członek rządu, dawny bojówkarz, a dziś wiceminister MSW. Człowiek ten, osoba wpływowa,

a zarazem sentymentalna, jest „znajomym z ruchu młodzieżowego” białostockiego Führera. „Trochę tęsknię za czasami, gdy można było porzucać kostką brukową” – zwierza się brązowym kompanom. Pod koniec filmu osoba ta zostaje nawet pełnym ministrem, a posadę wiceministra proponuje w trakcie wizyty na gościnnej plebanii, koledze z „młodzieżówki” w brązowym płaszczu. Pamiętając o przyjętej w filmie konwencji dziejącej się współcześnie historii „z kluczem”, która w „satyrycznej” formie odbijać ma zdarzenia i postaci rzeczywiste, ciekaw jestem, jak bawiło się, rozszyfrowując te wdzięczne aluzje, grono kierownicze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Film, którego reżysera i aktorów naprawdę nie warto wspominać, wszedł na polskie ekrany w 298 kopiach filmowych. Do tej pory zobaczyło go prawie 90 tys. widzów. Polski Instytut Sztuki Filmowej dofinansował „Kryptonim Polska” kwotą 1,2 mln zł.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



„KRYPTONIM POLSKA”
REŻ. PIOTR KUMIK
POLSKA 2022

zdjęcia: Piotr Śliskowski,
scenariusz: Jakub Rużyłło, Łukasz Sychowicz,
producent: Orphan Studio



Piotr Gociek

Co i gdzie oglądać, żeby nie zgłupieć do cna? To pytanie w erze hollywoodzkich gigantów streamingu staje się palące

Zakochałem się. I jak to zwykle bywa, spędzam z obiektem moich uczuć zdecydowanie zbyt wiele czasu. Kolejne zdanie zabrzmiało dziwnie: w dodatku chciałbym się tym uczuciem podzielić. Imię wybranki to 35mm.online. Choć platforma streamingowa WFDiF wystartowała rok temu, to zaglądałem tam sporadycznie, chwilowo usatysfakcjonowany zawartością własnych półek z różnymi edycjami DVD. Od niedawna życia bez 35mm.online wyobrazić sobie nie mogę.

Zaczął się od fascynacji kapitalnym rozszerzeniem tegorocznego festiwalu polskich filmów fabularnych w Gdyni o sekcję „Niebyły Festiwal Polskich Filmów Fabularnych”. Pokazano w niej osiem tytułów, które w latach 1982 i 1983 nie mogły ubiegać się o laury, gdyż z powodu stanu wojennego festiwal odwołano. I tu z pomocą przyszła platforma 35mm.online, na której do końca października każdy, nie tylko wybrańcy akredytowani w Gdyni, obejrzeć mogą za darmo nie tylko wspomnianą ósemkę, lecz także inne polskie filmy z tamtych lat. „Nieciekawa historia” Wojciecha Jerzego Hasa, „Dolina Issy” Tadeusza Konwickiego, „Debiutantka” Barbary Sass, „Prognoza pogody” Antoniego Krauzego – to część reprezentantów selekcji festiwalowej, a dla rozszerzenia i dopełnienia obrazu polskiego kina z tamtych lat także „Przypadek” Kieślowskiego czy „Austeria” Jerzego Kawalerowicza. Wszystko w wersjach cyfrowo zrekonstruowanych, odnowionych, wprost cudownej jakości. No i wsiąknęłam. Siedzę i oglądam.

CZTERY TYSIĄCE SKARBÓW

Powody, dla których wychwalam dziś 35mm.online wykraczają jednak poza atrakcyjność jednego przeglądu filmów. „W latach 2018–2021 Polski Instytut Sztuki Filmowej, Wytwórnia Filmów Dokumentalnych i Fabularnych oraz



Oszukać system

Studio Filmów Rysunkowych” – czytamy na stronie – realizowały wspólnie projekt wart ponad 100 mln złotych, którego celem była „cyfrowa rekonstrukcja i digitalizacja polskich filmów fabularnych, dokumentalnych i animowanych w celu zapewnienia dostępu na wszystkich

polach dystrybucji oraz zachowania dla przyszłych pokoleń polskiego dziedzictwa filmowego”. Od żargonu urzędników przejdźmy do konkretów: 35mm.online to niemal 4 tys. (!) pozycji filmowych. Imponująca skarbnica, nawet jeśli uwzględnimy fakt, że trzy czwarte tytułów (3108

dokładnie) to wydania Polskiej Kroniki Filmowej z lat 1945–1994 – swoją drogą, także skarb.

Jest to wiadomość dla miłośników polskiego kina wspaniała i aż mi głupio, że szerzej piszę o tej inicjatywie dopiero teraz. Mieliśmy w ostatnich dekadach trochę prób wydawania rozmaitych kolekcji DVD z naszą klasyką, czasem w zestawach, niekiedy jako serie dokładane do gazet – łączyło je to, że rzadko kiedy jakość obrazu była właściwa, a także to, że królowało kino popularne, tzw. kultowe, lub klasyka oczywista, to znaczy najbardziej znana. Na platformie 35mm.online oglądać można – oprócz niekwestionowanych arcydzieł – mniej znane tytuły z dorobku wybitnych twórców znaczące filmy reżyserów zapomnianych czy po prostu dokonania istotne dla rozwoju polskiej kinematografii. A także – i to już delikcie! – rzeczy, których nikomu dotąd wydawać się nie chciało, bo nie mogło to być w żaden sposób opłacalne – filmy dokumentalne oraz artystyczną animację.

Nie wszystkie filmy oglądać można bezpłatnie, część należy do biblioteki premium (tam, gdzie właściciele praw wciąż na nich zarabiają), nie zmienia to faktu, że platforma streamingowa WFDiF jest widzom niezbędna. O czym przekonyje mnie to, że każdy, komu o niej wspomnę, prędzej czy później oddzwania albo odpisuje, mówiąc: „Rewelacja! Nie mogę się oderwać!”. Jedni, bo pokazują dzieciom „Przygody Baltazara Gąbki” – inni, bo chcieli sobie po latach przypomnieć „Wilczyce”, a jeszcze inni uwiedzeni ponownie przez Hasa, Wajdę, Kawalerowicza czy Konwickiego. Króciutko podzielię się swoimi fascynacjami i ja: nie mogłem w kinie (dzieciństwem będąc) zobaczyć słynnych filmów Grzegorza Królikiewicza, tymczasem na 35mm.online są jego genialny i wstrząsający „Na wylot” i nowatorskie „Wieczne pretensje”. Po raz pierwszy w życiu obejrzałem dokument „Postkarten” Stanisława Różewicza. Ze wzruszeniem przeglądałem kolekcję upamiętniającą zmarłego niedawno Franciszka Pieczkę – od filmów „Chudy i inni” czy „Słońce wschodzi raz na dzień” Henryka Kluby, do „Wiernej rzeki” Tadeusza Chmielewskiego czy „Osobistego pamiętnika grzesznika przez niego samego spisany” Wojciecha Jerzego Hasa.

NIE TYLKO FAST FOOD

Piszę o tym tak obszernie, bo jest ta inicjatywa częścią odpowiedzi na bardzo

ważne pytanie: Co i gdzie oglądać, żeby nie zgłupieć do cna? Bogactwo będących w ofensywie komercyjnych serwisów streamingowych jest bowiem pozorne. Netflix stał się już chyba na dobre (a może raczej na złe) synonimem globalnego McDonald’s z rozrywką lekkostrawną i mocno nacechowaną ideologicznie. HBO Max żyje z produkcji własnych i wielkich zasobów Warnera, ale przecież na tym świat się nie kończy. Disney kusi popularnymi franczyzami od „Gwiezdnych wojen” do Marvel Cinematic Universe oraz obszerną biblioteką dawnych hitów (plus produkcjami spółek zależnych), lecz wielkiego kina tam nie znajdziemy, o poważnym dokumencie nie wspominając. Amazon nęci wystaw-

A co z klasyką z importu? Mało kto wie, że wiosną tego roku wystartowała platforma streamingowa FlixClassic.pl. Działa na podobnych zasadach, co najwięksi gracze streamingu – wymagany jest miesięczny abonament. Nie jest jednak wysoki. Od sierpnia dostępna jest też jako aplikacja na Samsung Smart TV z systemem Tizen. Oferta – bogata. Cel – zgromadzić klasykę kina z różnych krajów świata. Efekt – trochę groch z kapustą, ale to akurat dobrze. Bo znajdują tu coś dla siebie nie tylko poszukiwacze filmów Akiry Kurosawy, Ingmara Bergmana, Andrieja Tarkowskiego czy Jeana Renoira („Reguły gry”! Arcydzieło z 1939 r. jest tu dostępne!), lecz także miłośnicy historii B-movies oraz poszukiwacze wrażeń

Oszukać system – to naczelne zadanie poszukiwacza dobrych, mądrych filmów

nymi premierami, ale za starsze tytuły trzeba płacić osobno i często słono. Gdzie szukać wyjścia ze świata sequeli do prequeli, seryjnych ekranizacji komiksów i nieustannego grania na sentymencie do tego, co już dobrze znamy, więc lubimy?

Zostanę jeszcze przy kinie polskim – tu z pomocą śpieszy także platforma streamingowa Telewizji Polskiej. Na vod.tvp.pl oprócz produkcji bieżącej znajdziemy też zakładkę „rekonstrukcja cyfrowa”. A tam nie tylko najlepsze serie („Lalka”, „Noce i dnie”, „Nad Niemnem”, „Komediantka” czy „Blisko, coraz bliżej”), lecz także sporo fabuł. Debiut pełnometrażowy Krzysztofa Kieślowskiego, czyli „Personel”. Zakazany w drugiej połowie lat 70. „Spokój” tego samego twórcy. „Dwa księżycy” Andrzeja Barańskiego. „Złodziej” Wiesława Helaka na podstawie dramatu Wiesława Myśliwskiego. Niesłusznie zapomniany „Gorący czwartek” Michała Rosy. „Akwarium” Antoniego Krauzego na podstawie głośnej książki Wiktora Suworowa o sekretach GRU. I kapitalne dokumenty: Jarosław Iwaszkiewicz oprowadza po miejscach swej młodości w filmie „Pogoda domu niechaj będzie z tobą...”, skutki polskiej transformacji pokazują choćby „Lutek i inni” czy „Dzieci piramidy”. „Oczami cenzora” to zbiór fotografii zakazanych w PRL. Jest i słynna „Defilada” Andrzeja Fidyka o Korei Północnej. A gdy opuścimy zakładkę „Rekonstrukcja cyfrowa”, trudno nie zajrzeć do sąsiedniej: „Teatr Telewizji”.

mocno arthouse’owych (tak trzeba określić dzieła Alejandra Jodorowskiego). Jest i „Ewangelia według świętego Mateusza” Pasoliniego, jest „Winda na szafot” Louisa Malle’a, są „Rzym, miasto otwarte” Roberta Rosselliniego oraz kapitalny „Franciszek, kuglarz boży” tego samego twórcy. Podobnie jak przy przeglądaniu zasobów 35mm.online na twarzy kinomana pojawia się szeroki uśmiech: można obejrzeć filmy, o których dotąd czytało się tylko w książkach.

PRZECZYTAĆ ALGORYTMY

Oszukać system – to naczelne zadanie poszukiwacza dobrych, mądrych filmów, które niekiedy znaleźć można i poza wymienionymi przeze mnie ambitnymi serwisami. Oczywiście czasem, co zaskakujące, takie tytuły znajdziemy i u największych, najbardziej komercyjnych graczy, ale algorytmy nigdy nam ich nie podpowiedzą, bo zalewani jesteśmy promocją masówki. Podpowiadam: wpisujcie w wewnętrzne wyszukiwarki nazwiska głośnych reżyserów, nieoczywiste frazy typu „kino hiszpańskie” albo „filmy w języku francuskim” – zdarzą się zaskoczenia. Ja tymczasem wracam do 35mm.online. „Szyfry” same się nie obejrzą. Jej twórcom życzę kolejnych 100 mln zł na dalsze prace i rekonstrukcję cyfrową kolejnych tysięcy tytułów.



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Można inaczej



★★★★★

REŻ. ELIZABETH ALLEN
ROSENBAUM
„PURPUROWE SERCA” („PURPLE HEARTS”)
USA 2022

wyst. Sofia Carson,
Nicholas Galitzine

Czasem błahe filmy przypominają o ważnych sprawach. Tak jest z niespodziewanym hitem Netflixa, który w lipcu wskoczył do globalnego Top 10 serwisu, a w sierpniu i we wrześniu niemal potroił widownię. Mowa o filmie z małym budżetem, nieznaną obsadą i w dodatku reprezentującym tak pogardzany przez krytykę gatunek, jakim jest romans czy melodramat. Cóż takiego znalazły dla siebie w tej opowieści miliony widzów z całego świata?

Przede wszystkim równowagę. Utalentowana Cassie to córka imigrantki z Meksyku. Marzy o karierze piosenkarki, dorabia, kelnerując w barze, ale najbardziej martwi ją zdrowie. Ma cukrzycę, ale fatalne ubezpieczenie zdrowotne. Cassie ma pretensje do Ameryki,

że przez 10 lat traktowała jej rodzinę jak obywateli drugiej kategorii, jest wyczulona na mowę nienawiści wobec wszystkich o innym kolorze skóry itd. Krótko mówiąc, materiał na liberała idealnego. Luke to z kolei chłopak z nieciekawą przeszłością, który zaciągnął się do marines, żeby wyjść na ludzi (i z długów). Szydzi z osobników, którym wydaje się, że jeżdżąc Lexusami, ratują planetę („Bo to hybryda!”) oraz wytyka rozbawionym cywilom, że korzystają bezmyślnie z wolności, za którą on i jego koledzy naprawdę płacą krwią, a nieraz i życiem (jednostka Luke’a właśnie ma być wysłana do Iraku).

Cassie i Luke nie cierpią się nawzajem, ale zawrą nietypowy sojusz, w dodatku niezbyt zgodny z prawem. W romansach

typu young adult na pewne rzeczy patrzy się przez palce, bo ważniejsze są emocje. A te akurat są prawdziwe: bohaterowie „Purpurowych serc” spierają się o te same rzeczy, o które kłóć się zwykli Amerykanie. Co ważne, choć obie strony nie szczędzą sobie kąśliwości, to nie ma w ich wypowiedziach pogardy dla przeciwnika.

To wystarczyło, by amerykańska lewica dostała hejtahoplą na punkcie filmu, który inaczej zniknąłby gdzieś w zalewie cikliwych produkcji telewizyjnych. Wytoczono najcięższe działa: że to haniebna pochwała militarizmu amerykańskiego, że obraz armii jest zbyt pozytywny (tak, żony żołnierzy dostają porządne ubezpieczenie zdrowotne i inne benefity), że rasizm (bo jeden z marines mówi o „polowaniu na Arabów”), czemu zresztą Cassie od razu z oburzeniem się przeciwstawiła. Błahe „Purpurowe serca” przywracają wiarę w mądrość światowej publikacji. Która nie chce, żeby było po linii ideologicznej słuszności, tylko żeby było normalnie. ©



NOWE SERIALE: „SPRAWA PRYWATNA”

Piękna i rezolutna Marina (Aura Garrido) ma bogatą rodzinę (w tym brata policjanta, który jest powszechnie chwalony) oraz lokaja, który dałby się za nią posiekać. Oprócz tego lubi ryzykownie prowadzić samochód oraz zagadki kryminalne. Byłby z niej świetny inspektor, tyle że do policji kobiet jeszcze nie przyjmują. W tej ośmioodcinkowej komedii

retro cofamy się bowiem do lat 40. XX w., więc Marina będzie tropiła seryjnego zabójcę na własną rękę. Serial cokolwiek komiksowy, ale zabawny i lekki. ©

• twórcy: Ramón Campos, Teresa Fernández-Valdés „Sprawa prywatna” („Un asunto privado”), Hiszpania 2022

prime video

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Hanna Polak „Anioły z Sindzaru” („Angels of Sinjar”), dokumentalny, Polska/Niemcy 2022
- sezon 1 „Klub Północny” („The Midnight Club”), USA 2022
- reż. Sean Durkin „Gniazdo” („The Nest”), USA/Wielka Brytania 2020

net max

CINEMAX

To tylko rock

NBC
max

Królowa nie żyje, ale dopiero zgon Stonesów wyznaczy kres epoki młodzieżowego buntu. Oni ją przecież mimo-wolnie zdefiniowali. Brani za anti-Beatlesów, apostołów kontrkultury i politycznych radykałów byli zwykłymi hedonistami, którzy wygrali los na loterii życia: mogli robić to, co lubią, i jeszcze im hojnie płacono. „Chcieliśmy tylko zabawić ludzi” – przyznają z rozbrajającą szczerością. Dokument BBC rozbity na cztery odcinki, każdemu z muzyków poświęcając okragłą godzinę. Dziwnie się patrzy na zasuszonych staruszków z uśmiechem wspominających niegdysiejsze ekscesy. Zaczynali jako zespół bluesowy, małpujący czarnoskórych Amerykanów. Na rockowy olimp wy-

niósł ich talent kompozytorski duetu Jagger-Richard. Dzieje Stonesów to właściwie historia ich szorstkiej przyjaźni. Jagger, zwierzę sceniczne, zarządzał karierą oraz finansami grupy. Richards, „gitarzysta instynktowny”, dał jej wiarygodność. Stawkę uzupełniają dowcipni Wood (tutaj introwertyczny perkusista Watts, widywany w Janowie Podlaskim. Kupował tam konie, na których nie jeździł. Zgon najstarszego „Stonesa” był, jak się wydaje, impulsem do nakręcenia tego filmu. Nie da się ukryć, że to laurka, choć pojawia się temat nałogów i ciemnej strony sławy. Koledzy z branży prześcigają się w komplementach, świadomi, że to również ich pomnik. ©©

Wiesław Chełmniak



★★★★★
REŻ. SAM ANTHONY, JAMES GILES, OLIVER MURRAY, CLARE TAVERNOR
„MOJE ŻYCIE W ROLLING STONESACH” („MY LIFE AS A ROLLING STONE”)
WIELKA BRYTANIA 2022



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NOWE ŻYCIE

vod.pl

Dwudziestosześcioletnia tancerka doznaje fatalnej kontuzji na premierowym spektaklu „Bajadery”. Stopa w gipsie i widmo końca kariery są wystarczającym powodem do depresji, nawet jeśli rany w sercu primabaleriny goją się zaskakująco szybko. Elise to twarda sztuka, jednak bezczynność ją przeraża. Aby odbudować się fizycznie i psychicznie, bierze pierwszą pracę, jaka się nawinie. Zostaje pomocą kuchenną. Jak zwykle u Klapischa więcej tu humoru niż szarpającego nerwu dramatu. Sfrustrowana baletnica dowie się (a my razem z nią), że każdą porażkę można przetrwać, dążenie do doskonałości na dłuższą metę męczy, okazywanie uczuć to nic złego, a ludzkie ciało lubi ruch jak koń owies. Pozytywne przesłanie wzmacniają wedyuty Paryża i pejzaże półwyspu Quiberon (tutaj głębokość odtwórczyni roli tytułowej, początkującej aktorki, lecz wytrawnej tancerki. Amatorów baletowego hardcore'u odsyłam do „Czarnego łabędzia”). ©©



★★★★★
REŻ. CÉDRIC KLAPISCH
„TAŃCZ, ELISE” („EN CORPS”)
FRANCJA/BELGIA 2022
wyst. Marion Barbeau, Denis Podalydès, François Civil

Wiesław Chełmniak

OSTATNI MELANŻ

KINO

Jeśli porównać „Apokawixę” z innymi polskimi horrorami, jest całkiem dobrze. Na tle anglosaskiej konkurencji typu „Wiecznie żywy” czy „Zombieland” dzieło Żuławskiego juniora wypada jednak blado. Twórcy strasznych filmów uwielbiają się pastwić nad swym nastoletnim targetem. W erze Internetu z domu takich nawet batem nie wypędzisz, ale scenarzyści odkryli czuły punkt pokolenia COVID-19. Młódz chętnie odreaguje w realu miesiące przymusowej separacji – pod warunkiem że oferta będzie wystarczająco kusząca. Kamil, niesforne dziecko Warszawy, dysponuje zaś pałacem nad Bałtykiem, morzem alkoholu i workiem pigułek szczęścia. Ciąg dalszy jest oczywisty: maturzyści, lekceważąc złowieszcze sygnały wysyłane przez matkę naturę, tłumnie stawiają się na nowej uczcie Baltazara. Ilość nie przesłała w jakość, a trudno kibicować jakimś bohaterom. Jeden emo-vege-zombie wiosny nie czyni. ©©



★★★★★
REŻ. XAWERY ŻUŁAWSKI
„APOKAWIXA”
POLSKA 2022
wyst. Mikołaj Kubacki, Waleria Gorobets, Natalia Pitry

recenzuje Wiesław Chełmniak

GRA TYGODNIA: „SPLOOTON 3”

Nintendo od zawsze idzie w poprzek i nawet sieciowe strzelanki potrafi wymyślić na nowo. Konceptcja „Splatoon”, w której nie headshoty są najważniejsze, lecz pokrywanie planszy atramentem koloru naszej drużyny (bo to daje przewagę później w grze – po powierzchniach w naszym

kolorze możemy przemieszczać się także wbrew grawitacji), przypadła graczom do gustu. Część trzecia „Splatoon” sprzedaje się świetnie. I nic dziwnego, bo daje dużo frajdy. Gracze, którzy pamiętają poprzednie edycje, poczuć się jak w domu, ale docenią kilka subtelnych zmian, nowe bronie



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

i mapy. Najlepsza odsłona serii, która na leciwym pstryku prezentuje się całkiem niezłe. ©©

Radosław Wojtas

• **Gatunek:** akcja, TPP
• **Platforma:** Nintendo Switch
• **Producent, dystrybutor:** Nintendo, ConQuest Entertainment a.s.

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Warszawa i warszawka

Jesienią 1914 r. pod Warszawę podeszło wojsko Hindenburga, a waz z nim Strzelcy Piłsudskiego pod dowództwem Mieczysława Norwida-Neugebauera. Roman Starzyński, brat przyszłego prezydenta Warszawy, późniejszy dyrektor Polskiego Radia, pisał wtedy z nadzieją: „Idziemy do Warszawy! Stolica, gdy posłyszysz głos od krakowskiego gościńca – odezwie się, chwyci swój złoty róg”.

Akurat! Oczekiwane powstanie nie tylko – czytamy w książce Wiesława Budzyńskiego „Jak pan został Piłsudskim?” – „nie wybuchło, ale wręcz nastąpiło coś, co nie mieściło się w głowach – Warszawa stanęła po stronie znienawidzonego zaborcy. To było jak zła wróżba na przyszłość i Piłsudski będzie musiał z tego wyciągnąć wnioski. I wyciągnie...”

Z pewnością obawiano się nowego zaborcy, pamiętano też o zniszczeniu przez Niemców Kalisza na samym początku wojny, a antygermańskie nastroje podsyciała propaganda rosyjska. Ale nie w pełni tłumaczy to fakt, że „tysiące młodych Polaków poszło walczyć za cara, który ich niewolił. To byli »nasi«, ich z płaczem żegnała ulica warszawska. Tamci, którzy zbliżali się do stolicy od południa, to byli obcy. Nawet jeśli mieli orzełki na czapkach, mówili piękną polszczyzną, recytowali polskich poetów i śpiewali polskie pieśni patriotyczne – byli obcy. Nie wiem, czy po tej hańbie 1914–1915 Warszawa powinna była zostać stolicą po odzyskanej nieodległości i czy stolicą nie powinien być na przykład Kraków czy Lwów. Wtedy i Sowietom trudniej byłoby ćwierć wieku później tak po prostu nam go zabrać” – zauważa Budzyński.

Wtedy jednak, w 1914 r., choć wyparto Moskali z podwarszawskich okolic, z Milanówka i Góry Kalwarii, to od oblężenia stolicy odstąpiono. I znów można było



FOT. WOJCIECH OLSZANKA / E&S NEWS

powtórzyć za klasykiem: „L'ordre regne a Varsovie”, dając upust niemal wszechobecnej radości. Dość powiedzieć, że ks. abp Aleksander Kakowski, prymas Królestwa Polskiego, wysłał telegram dziękczynny do Mikołaja II, przesyłając „wraz z wiernopoddanego oddania”, na co car odpowiedział: „Dziękuję Bogu za ocalenie Warszawy od zajęcia jej przez wroga. Sercem dzielę radość z tego Waszej owczarni”. „Dwuznacznie brzmi tu słowo »owczarnia« – czytamy. – Owce, jak wiadomo, przebywają w zamknięciu, pilnują je psy, a wśród owieczek są i barany”.

Tadeusz Hołówko, jeden z najbliższych współpracowników Józefa Piłsudskiego, w 1931 r. zamordowany w Truskawcu przez ukraińskich OUN-owców, tak wspominał obraz, którego – pisał – „nie zapomnę do końca życia – Nowym Światem ciągnął pułk kozaków z orkiestrą na czele. I szedł ten pułk otoczony tłumem rozentuzjowanej polskiej publiczności, która krzyczała »niech żyje nasze wojsko«, »niech żyją nasi obrońcy«. Panie, rozgorączkowane, z błyszczącymi oczyma, szybko kupowały kwiaty i biegly w szeregi kolumny konskich, aby wręczyć je oficerom, panowie opróżniali papierosnice i wtykali papierosy kozakom, którzy z wysoka, z pobłażliwym uśmiechem przyjmowali te oznaki zachwytu”.

Legionistów ci sami ludzie nazywali szaleńcami, a Józefa Piłsudskiego – cytując propagandową prasę – „szkodnikiem, który kiedyś przewodził bandyckim bojówkom, a teraz z kolei służy Niemcom, jako ich najmita”. Marzyli zaś o połączeniu ziem polskich pod berłem Imperatora Wszechcrusi i – a jakże – tytularnego króla Polski. „Była to taka ówczesna »poprawność polityczna«, nakazująca nazywanie niewoli rajem, a sługusów obcej wiary – patriotami”.

Wiesław Budzyński, autor znany z biografii Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i Brunona Schulza, swoją najnowszą książkę poświęcił fenomenowi Józefa Piłsudskiego, ukazanego tutaj jako ojciec założyciel polskiej niepodległości. Która rodziła się w bólu, witana wcale nie z tak powszechnym entuzjazmem, jak się nam może zdawać. Także, a może i przede wszystkim, w Warszawie, o której dziś myślimy w związku z rocznicą powstania '44. Właśnie mija 78 lat od kapitulacji stolicy, która w ciągu tamtych 63 dni walki wykazała się nadzwyczajnym bohaterstwem, osiągając wiekującą chwałę. Ale w dziejach naszego miasta były także chwile, gdy ukazywało ono swą inną twarz, a właściwie pysk – chytry, lisi, wstrętny. I staowało się warszawką. Na szczęście nie na długo, gdyż wielkość ma w sobie wpisana; jest skazana na nią. Bo bez niej, jak jakże słusznie pisał Kazimierz Wierzyński w słynnym swoim wierszu, „zawsza z guba”.

I o tym także opowiada Budzyński w swojej wyjątkowej książce o wyjątkowym człowieku, niezwykle osobistej, emocjonalnej, polskością wręcz kipiącej. Bardzo potrzebnej w czasie, w którym mamy wrażenie, że co i raz wychyla się ku nam, skrywana za oficjalnymi fasadami, skądinąd znajoma, czyjaś skrywana mordą. ©



★★★★★
**WIEŚLAW
BUDZYŃSKI**
**„JAK PAN ZOSTAŁ
PIŁSUDSKIM?”**
**WOJSKOWY
INSTYTUT
WYDAWNICZY,**
WARSZAWA 2022



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Zmyślenia prawdziwe

Dała nam amerykańska literatura w ostatnim półwieczu bardzo wielu sprawnych, wielu popularnych, wielu bardzo dobrych pisarzy. Lecz niewielu wybitnych. Denis Johnson jest jednym z nich. A „Szczodrość syreny” to pożegnalna książka autora, który zmarł w roku 2017.

Johnson dojrzewał długo. Choć debiutował tomikiem wierszy jako nastolatek, a w latach 80. ogłaszał nowe książki (już prozę) dość regularnie, to wielkie uznanie przyniósł mu dopiero skromny objętościowo tom opowiadań „Syn Jezusa” z 1992 r. Piętnaście lat później przypomniał o sobie powieścią „Drzewo dymu”, by wreszcie w roku 2011 opublikować wspaniałą mikropowieść „Sny o pociągach”. Wszystkie wspomniane tytuły są dostępne po polsku, wszystkie warte uwagi, a tę ostatnią książkę gorąco rekomendowałem półtora roku temu („DR” nr 12/2021).

„Przepiękna to proza: czysta, barwna, mistrzowska. Bardzo amerykańska” – pisałem i wszystko to mógłbym powtórzyć przy okazji „Szczodrości syreny”. Książka ukazała się już po śmierci Johnsona i jest dowodem na to, że niemal 70-letni pisarz był wciąż na krzywej wznoszącej – zjawisko rzadkie, godne podziwu i zazdrości (innych pisarzy). Pięć opowiadań

z tego tomu to bez wyjątku pisarstwo wybitne. Są w nim nostalgia i smutek, jak w tytułowej historii, w której bohater notuje na koniec: „Dociera do mnie, że więcej już za mną niż przede mną. Więcej spraw, które mógłbym wspominać, niż takich, na które mógłbym się cieszyć”. Są humor i ton łotrzykowski w „Gwiazdny Pyle nad Idaho”, składającym się jedynie z listów więźnia do dawnej ukochanej, sponsora z odwyku, papieża, rodziny itd. Pojawia się tu zdanie, które mogłoby być mottem do losów większości bohaterów Johnsona: „Siadłem na samym brzeżku karuzeli i mnie zwiąło”.

Lotrów zresztą jest tu więcej; w opowiadaniu „Bob Dusiciel” bohater zastanawia się, czy kiedy umrze, „anioły tego samego Boga, z którego szydziłem, przyjdą zliczyć moje ofiary”. Los człowieczy opisany jest u Johnsona trochę stylem Trumana Capote’a, czasem trochę Faulknera, a gdybym miał sięgnąć po porównania filmowe, to pewnie wskazałbym na gryzący odrealniony realizm czarno-białych obrazów Jima Jarmuscha. Ludzie skręcają w niewłaściwą stronę, wypadają z życiowej karuzeli, żegnają przedwcześnie umarłych, sami umierają. Ot, tyle. Cały świat w drobnych historyjkach niezbyt ciekawych grzeszników. Wielka proza. ©©



★★★★★
DENIS JOHNSON
„SZCZODROŚĆ SYRENY”
KARAKTER
2022

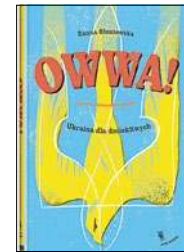
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Prawda o koncesjonowanym kapitalizmie chińskim. Autor dzięki układom z partią zarobił fortunę, potem z jej wyroku stracił wszystko. Shum otwiera Zachodowi oczy na Pekin, tak jak Bill Browder otwierał na Moskwę Putina.



DESMOND SHUM
„CZERWONA RULETKA”
ZNAK

„Ukraina dla dociekliwych” dla młodszych czytelników. Polska pisarka pochodzenia ukraińskiego opowiada o kraju swoich przodków z humorem, empatią i ze świetną pomocą w postaci ilustracji Ołeksandra Szatochina.



ŻANNA SŁONIEWSKA
„OWWA!”
DWIE SIOSTRY

Od szczegółu do ogółu: najciekawsze w poradniku skrzyżowanym z książką popularnonaukową są podpowiedzi, jak sami możemy się ulepszyć i jak poprawić działanie szkół. O standardy korpo niech się martwią Gates i Bezos.



GORDON DRYDEN, JEANETTE VOS
„REWOLUCJA W UCZENIU”
ZYSK I S-KA

Jedna z najważniejszych pisarek współczesnego Tajwanu, znana dotąd w Polsce z opowiadań. Powieść z 1983 r. to mocny głos sprzeciwu wobec tego, jak w chińskim społeczeństwie traktowane są kobiety. ©©

poleca Piotr Gociek



LI ANG
„ŻONA RZEŹNIKA”
PIW

KOMIKS TYGODNIA: „ROZRÓBY I ROMANSE”

Wracamy do wymyślonego przez Janusza Chrystę świata Kajka i Kokosza, by przyjrzeć się m.in. zbójczom na wakacjach, Łamignatowi w delegacji i znów ujrzeć smoka Milusia. Próba tchnięcia drugiego życia w popularną serię przynosi efekty, czytelnicy polubili nowych scenarzystów i nowych rysowników, czego efektem są dwie serie wydawnicze: „Nowe



AUTORZY RÓŻNI
„KAJKO I KOKOSZ. ROZRÓBY I ROMANSE”
EGMONT 2022

przygody” (pełnometrażowe albumy) oraz „Opowieści z Mirmiłowa” (antologie z udziałem rozmaitych autorów). „Rozróby i romanse” to trzeci tom tej ostatniej. ©©

poleca Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Bellotto, czyli Canaletto

Staatliche Kunstsammlungen w Dreźnie oraz Zamek Królewski w Warszawie to placówki muzealne, które posiadają największe zbiory dzieł Bernarda Bellotta. Z okazji przypadającej w tym roku 300. rocznicy urodzin weneckiego malarza zwanego Canalettem przygotowały wspólnie wystawy jego dzieł. Od maja do sierpnia jubileuszowa ekspozycja dostępna była w Dreźnie. Teraz trafiła do Zamku Królewskie-

go w Warszawie. Różnią się one zawartością, ale pewne dzieła są wspólne dla obu placówek.

Na wystawę wybrano najbardziej charakterystyczne obrazy dla poszczególnych okresów twórczości mistrza weneckiego malarstwa vedutowego. W części pierwszej zgromadzono wczesne prace Bellotta stworzone w młodości spędzanej w Wenecji oraz podczas podróży do innych włoskich miast – Florencji, Mediolanu, Rzymu, Werony. Część druga to dzieła z czasu wieloletniego pobytu artysty w Dreźnie i pracy dla dworu Wettinów. Część trzecia skupia się na ostatnim okresie twórczości i życia weneckiego malarza, jego pobycie w Warszawie i pracy dla króla Stanisława Augusta i arystokracji. ©©

Gdzie? Zamek Królewski w Warszawie
Kiedy? do 8 stycznia 2023 r.



FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

FOT. S. OBIŻYMAK, KRÓLEWSKI W POZNANIU



WDOWI GROSZ DLA OJCZYZNY

„Kochanemu tatusiowi”, „ulubionemu kierownikowi”, „kochanej żonie”... Między innymi tak osobiste przedmioty, z takimi dedykacjami, ofiarowywali Polacy na dozbrojenie polskiej armii poprzez powołany w 1936 r. Fundusz Obrony Narodowej. Najchętniej widziane były gotówka czy papiery wartościowe, ale – jak widać – Polacy ofiarowywali, co tylko mogli, z obrączkami włącznie. Na wystawie w Muzeum Sztuk Użytkowych w Zamku Królewskim w Poznaniu pokazano głównie przedmioty ze srebra. ©©

Gdzie? Zamek Królewski w Poznaniu
Kiedy? do 8 stycznia 2023 r.



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

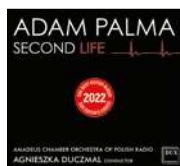
Polskie dźwięki

To pierwsza w historii fonografii płyta nagrana w całości na gitarę akustyczną i orkiestrę smyczkową. Jej tytuł, „Drugie życie”, jest wynikiem dramatycznych przeżyć autora.

„Ta płyta to osobiste spojrzenie na muzykę i życie z perspektywy człowieka, który »odzyskał« życie po wybudzeniu się z długiej śpiączki” – czytamy w materiale prasowym. Adam Palma, 48-letni wirtuoz gitary i wykładowca na Uniwersytecie Salfordzkim w Manchesterze, pod wpływem ekstremalnego covidowego doświadczenia postanowił na czwartym albumie wyrazić swoją „polską duszę”. W jego niepowtarzalnej interpretacji usłyszymy instrumentalne wersje utworów i piosenek, które dla Palmy wiążą się z jego

polskim losem. Stąd obok Chopina, „Roty”, harcerskiej „Stokrotki”, usłyszymy „Tę ostatnią niedzielę”, „Uciekaj moje serce” Krajewskiego czy kompozycje Palmy o wymownych tytułach „Babcia” czy „Moje polskie serce”. Gitarzysta zaaranżował utwory, a Krzesimir Dębski przygotował orkiestracje, które wykonała Orkiestra Kameralna Polskiego Radia Amadeus pod batutą Agnieszki Duczmal.

Najważniejsze, że tak pomyślana płyta w niczym nie przypomina oprawy muzycznej akademii patriotycznej. Gitara w rękach mistrza pięknie prowadzi tematy, a orkiestra nadbudowując poszczególne wątki, tworzy piękne klimaty. I niekoniecznie trzeba być Polakiem, by rozkoszować się, słuchając tej płyty. ©©



★★★★★
ADAM PALMA
„SECOND LIFE”
DUX



★★★★★
MAKAYA MCCRAVEN
„IN THESE TIMES”
NONESUCH

Słynny jazzowy perkusista i producent

zaprasza na kameralną medytację nad rytmem życia. Album zarejestrowany w pięciu studiach i na czterech koncertach zawiera suitę inspirowaną zachodnioafrykańskimi rytmami i bułgarskim folklorem. Porywająco piękne opowieści.



★★★★★
THE COMET IS COMING
„HYPER-DIMENSIONAL EXPANSION BEAM”
IMPULSE!

Londyńskie trio podróżuje w międzygalaktycznej przestrzeni punku, jazzu i transu, poszukując ukrytych znaczeń ludzkiego DNA. Ten elektro-jazzowy album zadowoli fanów hybrydowej sceny jazzowej w Anglii zasłuchanych w innowacyjnych bitach. ©©



Krzysztof Masłoń

Telewizja nie nadąża. Stara się wprawdzie, ale idzie jej to niesporo. Ledwie w ozdobie TVN 7, jaką jest serial „Papiery na szczęście”, bohaterka wykazywać zaczyna wyższość miłości homo nad hetero, to zaraz pęka i przyznaje się, że tylko udawała lesbijkę. „Na Wspólnej” stara śpiewka: facet spotyka się z prostytutką, kobita kaja się ze swej skłonności do alkoholu – czyli normalka i nic dziwnego, że inny ważny osobnik z TVN-owskiego tasiemca grozi defenestracją. Pewnie z nudów.

[Na wszelki wypadek wyjaśniam, że użyte tu obco brzmiące (wzięte z łaciny) słowo oznacza wyrzucenie przez okno. Szklany ekran dostarcza bowiem wielu przykładów, że język nasz przestaje być zrozumiały dla przeważającej części społeczeństwa, czego usilnie starają się dowieść uczestnicy teleturniejów, na ogół bez skutku szukający odpowiedzi na pytania z zakresu nauczania w słabym ogólniaku. Z kolei mowa, którą słyszymy ze szklanego ekranu, przypomina wprawdzie polszczyznę, ale tylko trochę. Ostatnio w zachwytyt wprawiła mnie reporterka, nazywająca uczestniczki Maratonu Warszawskiego „sportowczykami”].

Serialowa rzeczywistość potrafi przerażać, ale – przyznajmy – nie dotrzymuje kroku zagrożeniom, z jakimi na co dzień stykają się obywatele polscy w kraju rządzonego przez faszystowską klikę. W ten ponury klimat próbuje się wpisać „Tajemnica zawodowa”, trojgu scenarzystów nie staje jednak wyobraźni. No bo czym mamy się przejmować? Lekarskim błędem popełnionym podczas operacji pomniejszania biustu? Władza



Kadr z serialu „Papiery na szczęście”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wielbłąd za wielbłądem

robi same, jak do znudzenia powtarza Jan Tomaszewski, wielbłądy. A serialowi psychiatrzy nie mogą się zdecydować, czy bohaterka TVN-owskiej produkcji jest poczytalna. Jasne, że nie jest; wszystkich nas ubezwłasnowolnił niejaki Kaczyński. Bez niedopowiedzeń: Jarosław.

Kolaborantom z telewizji publicznej z kolei tak wyprano mózgi, że stać ich jedynie na powielanie swoich pomysłów. Na skutek tego odnosi się wrażenie, że oglądamy jeden i ten sam serial. Jak Anulka zostaje vlogerką w „Klanie”, to za karę

przenosi się do wieczorówki, ale to i tak pestka w porównaniu z jej odpowiedniczką z „Ojca Mateusza”, którą scenarzyści uśmiercają. I tak dalej, i tym podobne. Zresztą i inne telewizje pełną garścią czerpią z tych samym konceptów przechowywanych w pojemnikach z napisem: „Zużyte”. To dlatego w „Barwach szczęścia” Igor wciąż jest w śpiączce, a w „Pierwszej miłości” Polsatu trwają poszukiwania jednego odważnego, który odłączy chorego od aparatury podtrzymującej życie. Jak dotąd bezskuteczne, ale to tylko

dlatego, że polskie telewizje – jak to zostało stwierdzone na wstępie – nie nadążają.

Nadąża za to gwiazda naszej literatury. Nie, nie żadna Tokarczuk – choć ta postanowiła ścigać się z Tomaszem Mannem i zapewne jej wariacje na temat „Czarodziejskiej góry” wydane pod zgrabnym tytułem „Empuzjon” przeniesie na ekran ktoś z rodziny Agnieszki Holland – ale sama Blanka Lipińska. „365 dni” tej ostatniej nie skończy się bynajmniej na trylogii, a jak będzie gotowa część czwarta tego epokowego dzieła wydawanego przez Agorę, edytora także „Gazety Wyborczej”, to i film zostanie skręcony. Nie ma sensu więc wypisywać się z Netflixa, niczego przecież nie oglądamy z taką ochotą jak erotyków. Krzepiąca jest też myśl, że Blanka Lipińska ma zaledwie 37 lat i napisać może jeszcze multum równie zajmujących utworów, jako że o dupie Maryni można pisać nieskończenie.

Wypada natomiast żałować, że niewystarczająco wyeksponowane zostało telewizyjne spotkanie Donalda Tuska z młodzieżą. Toż był to najlepszy program rozrywkowy ostatnich miesięcy! Stanowczo nie poznano się jeszcze na aktorskim talencie 65-letniego lidera naszej totalnej opozycji. Jak przekonująco opowiadał o swej „trudnej” miłości do ojczyzny, jak niemal ze łzami w oczach prosił, by nie obrażać się na Polskę. On sam mógł przecież wielokrotnie opuścić, razem z Małgosią, ziemię ojczystą, a przecież jest – tu i teraz. Chciałoby się powtórzyć za Kazimierzem Pawlakiem: „Szkoda!”. Niezjąca redaktor Janina Paradowska apelowała przed laty: „Tusku, musisz!”. Może warto, w zmienionych okolicznościach przyrody, powtórzyć tamto wezwanie? Chociaż nie, serial musi mieć wyrazistych bohaterów. Jak Kloss czy Szarik... ©



Marcin Romanowski

Kryzys niemieckiego przywództwa i związana z nim „ucieczka do przodu” ku centralizacji, a także obecne przewartościowanie w porządku światowym to dobry czas, by podjąć dyskusję nad powrotem Unii Europejskiej do jej pierwotnej formuły

Unia Europejska jest jednym z najdonioślejszych projektów politycznych Starego Kontynentu. Powstała, by przez współpracę gospodarczą i dążenie do dobrobytu nie dopuścić do wywołania przez Niemcy kolejnej wojny w Europie oraz przeciwstawić się ekspansji komunizmu. W warstwie symbolicznej niejednokrotnie odwoływała się do chrześcijańskich wartości, czego wyrazem jest flaga – maryjny wieniec z 12 gwiazdami na błękitnym tle.

Paradoksalny i tragiczny jest fakt, że po 70 latach Unia stała się zaprzeczeniem swych pierwotnych zamierzeń. Budowanie scentralizowanego państwa federalnego odbywa się po cichu, bez formalnej zmiany traktatów. Integracja europejska stała się celem samym w sobie. Trwa stopniowe przejmowanie kompetencji przez Brukselę, czemu służą kolejne kryzysy, takie jak migracje, pandemia czy wojna.

Coraz częstszą metodą działania staje się szantaż, w szczególności ekonomiczny, czego bezpośrednio doświadczają Polska i Węgry, a na razie „tylko” w formie gróźb również Włochy. Na tę groźbę Włosi odpowiedzieli bardzo stanowczo, powierzając władzę prawicy, na której liderkę wyrosła charyzmatyczna przeciwniczka federalizacji europejskiej Giorgia Meloni. To jasny sygnał, że antynarodowy kierunek narzucany przez niemieckie przywództwo może zostać wkrótce zmieniony.

Niemcy nie tylko uzyskały hegemonię w Europie, lecz także swoją polityką surowcową przyczyniły się do napaści Rosji na Ukrainę. Promowana przez eurokratów neomarksistowska ideologia gender powoli staje się czymś na kształt



Projekt „Odzyskać”

świeckiej religii, mającej spajać europejskie społeczeństwa. Chrześcijańskie dziedzictwo stało się kłopotliwą przeszkodą do realizacji tego celu, będąc stopniowo usuwane z przestrzeni publicznej.

EUROPA OJCZYZN

Jedynie, w czym jestem w stanie się zgodzić z europejskim establishmentem, to stwierdzenie, że obecny instytucjonalny kształt UE ma charakter przejściowy. Rzeczywiście, ustrój Unii jest swego rodzaju hybrydą, powstałą na skutek porażki projektu federalizacji opartego na odrzuconej w 2004 r. Konstytucji dla Europy. Unia nie jest już organizacją

międzynarodową, ale jeszcze nie stała się państwem. Tendencje centralizacyjne zdają się być na fali: znalazły się w programie niemieckiej koalicji rządowej z 2021 r., kanclerz Scholz zaś wygłosił je w swym niedawnym wykładzie na Uniwersytecie Karola w Pradze.

Na szczęście reakcją na te tendencje jest powrót idei Europy ojczyzn, będącej w mojej ocenie jedyną realną alternatywą wobec centralizacji. Europejczycy coraz częściej dają temu wyraz, głosując na ugrupowania konserwatywne i niechętnie dalszej integracji. Szczególnie ważne okazały się niedawne wybory we Włoszech, kolebce europejskiego fede-



Europe

1) Wyraźne stwierdzenie, że UE i jej organy działają na podstawie i w granicach prawa, a naczelną regułą relacji wewnątrz UE powinna być zasada kompetencji przekazanych, z jednoczesnym domniemaniem kompetencji po stronie państw członkowskich. Zasadę praworządności, dziś adresowaną głównie do państw członkowskich, należy *expressis verbis* odnieść do UE i jej wszystkich instytucji, w szczególności Komisji Europejskiej. KE powinna być strażnikiem traktatów, a w praktyce jest instytucją, która najczęściej je narusza.

2) Na straży zasady legalizmu i rozdziału kompetencji powinien stać Trybunał Kompetencyjny, powoływany przez państwa członkowskie. Trybunał Kompetencyjny byłby swoistym prawnym ramieniem państw członkowskich, pilnującym nie tylko balansu instytucjonalnego wewnątrz wspólnoty, lecz także chroniącym państwa członkowskie przed centralizacyjnymi zakusami Brukseli. Każde z państw członkowskich powinno mieć legitymację do złożenia skargi do Trybunału Kompetencyjnego, a każde działanie którejkolwiek z instytucji unijnych w momencie jego zaskarżenia do Trybunału powinno być wstrzymane z mocy prawa.

3) Należy zmienić sposób powoływania sędziów TSUE, który dzisiaj jest wysoce wątpliwy, również pod względem zachowania przez sędziów zasady niezależności oraz bezstronności. Istotą reformy powinna być demokratyzacja mechanizmu wyboru sędziów, a także uczynienie go bardziej transparentnym, gdyż obecny sposób powoływania jest niejasny. Tryb wyłaniania składu TSUE nie powinien rodzić wątpliwości, że jego sędziowie są w pierwszej kolejności reprezentantami państw członkowskich, a nie parapaństwowego tworu, którym jest UE. W kontekście naruszającego traktaty aktywizmu sędziów TSUE oraz ich nieuprawnionych roszczeń w stosunku do trybunałów konstytucyjnych państw członkowskich należy wyraźnie potwierdzić wyższość konstytucji nad europejskimi traktatami.

4) Należy wyraźnie ograniczyć oddziaływanie instytucji UE na polu wartości. Unia ma być miejscem współpracy i integracji przede wszystkim gospodarczej, nie zaś forsowania ideologicznej agendy. Konsekwentne rozszerzanie wymiarów integracji odbywa się przy coraz większej ingerencji Unii w sferę światopoglądu, ■

ralizmu. Zwycięstwo prawicowej koalicji mimo finansowych gróźb KE to manifestacja wolności i zapowiedź dalszych zmian.

Kryzys niemieckiego przywództwa w Europie i związana z nim „ucieczka do przodu” ku centralizacji, a także obecne przewartościowanie w porządku światowym to dobry czas, by podjąć dyskusję nad powrotem Unii do jej pierwotnej formuły. Aby urzeczywistnić wizję Europy ojczyzn, należy dokonać istotnych zmian instytucjonalnych. Ich wspólnym celem powinno być zahamowanie samowoli instytucji unijnych, regularnie wykraczających poza swe traktatowe kompetencje.

**Aby urzeczywistnić
wizję Europy ojczyzn,
należy dokonać
istotnych zmian
instytucjonalnych**

Z ideą powrotu do europejskich korzeni powinno wiązać się odrzucenie obcych naszej kulturze lewicowych ideologii, inżynierii społecznej czy masowej migracji. Uwzględniając powyższe, takimi kierunkowymi rozwiązaniami powinny być:

życia rodzinnego i edukacji. Zdecydowanemu nadużyciu, poszerzającej interpretacji, poddaje się poszczególne „wartości europejskie”, które w procesie wyrokowania TSUE nagle zaczynają oznaczać wszystko to, co aktualnie ma stać się przedmiotem ingerencji ze strony Brukseli. Są obecnie wykorzystywane po to, by tylnymi drzwiami narzucić państwom członkowskim instytucję „tęczywch rodzin”, mających możliwość adopcji dzieci. Naruszanie wyłącznych kompetencji państw członkowskich musi zostać poważnie ograniczone.

5) Parlament Europejski wymaga poważnej reformy instytucjonalnej. Powinna objąć zarówno tryb wyboru, status europosłów, jak i kompetencje samego PE. Kwestią fundamentalną jest wzrost znaczenia kontyngentów narodowych europosłów. Obecna tendencja do zacierania granic i tworzenia wspólnej reprezentacji europejskiej kłóci się z ideą Europy ojczyzn. Należy zakwestionować głosowanie frakcyjne i dać rzeczywiste prawo swobodnego głosu każdemu deputowanemu. Należy zastanowić się nad wprowadzeniem systemu podwójnego głosowania w PE, uwzględniającego zarówno liczbę posłów, jak i państw członkowskich. Parlament Europejski powinien zostać silniej związany z zasadą praworządności, w szczególności tam, gdzie wymaga ona, aby organy władzy publicznej działały na podstawie i w granicach prawa. Wreszcie należy przeciwstawić się aktywizmowi podejmowanemu przez Parlament Europejski. Każdy z nas słyszał o głośnych, emocjonalnych rezolucjach komentujących kolejne wydarzenia na świecie. Czas zakończyć pokaz sygnalizowania fałszywej troski o świat, który stale obniża prestiż tej instytucji.

6) Ważną zmianą byłoby ustanowienie drugiej izby Parlamentu Europejskiego, której zadaniem byłoby reprezentowanie państw członkowskich i strzeżenie ich suwerenności. Miałyby na celu niwelować wpływy kosmopolitycznych frakcji opierających się na założeniach ideologicznych, takich jak zieloni czy socjaldemokraci. Tego typu zmiana powinna być dokonana bez zwiększania liczby członków Parlamentu (obecna jest zbyt duża, aby zapewnić realną dyskusję). Podział obecnej liczby deputowanych na dwie izby miałby więc pozytywny efekt w postaci poprawy jakości dyskursu politycznego.

7) Należy zreformować mechanizmy tzw. kartek, w tym procedurę „żółtej kartki”. Dotychczasowe doświadczenie pokazuje, że stanowi ona przykład pozornego wzmocnienia roli parlamentów narodowych w Unii Europejskiej. Należałoby podjąć zapomniany już pomysł „czerwonej kartki”, a więc procedury wstrzymującej proces legislacyjny na poziomie Unii Europejskiej w oparciu o inicjatywę określonej liczby parlamentów narodowych. Warto rozpatrzyć także pomysł procedury „zielonej kartki”, będącej w istocie inicjatywą legislacyjną na poziomie prawa UE wykonywaną przez parlamenty narodowe, która sprowadzałaby się do prawa wniesienia projektu danej regulacji przez określoną liczbę państw. Ochrona suwerenności państw członkowskich przed zakusami Brukseli wiąże się nie tylko z negacją, lecz także powinna opierać się na programie pozytywnym.

Tylko Europa ojczyzn pozwoli na utrzymanie suwerenności oraz współpracę gospodarczą bez ideologicznego i politycznego balastu

8) Konieczny jest powrót do zasady jednomyślności. Należy nie tylko zdecydowanie przeciwstawić się propozycjom odejścia od jednomyślności w organach kolegialnych UE na rzecz głosowania większościowego, lecz także dążyć do jego rozszerzenia. Rezygnacja z zasady jednomyślności to rezygnacja z zasady równości państw członkowskich. Zasada większości jest proceduralnym sposobem stopniowej centralizacji, lecz przede wszystkim wzmacnia pozycję najsilniejszych graczy w UE. Oczywiście beneficjentem głosowań większościowych będą Niemcy i Francja, najludniejsze państwa członkowskie posiadające zarazem największy kapitał polityczny i gospodarczy.

9) Należy dokonać rewizji treści dzisiejszego art. 4 Traktatu o Unii Europejskiej, który pozwala na bardzo swobodną interpretację zasady tożsamości konstytucyjnej, fundamentalnej zasady gwarantującej suwerenność państw członkowskich. Należy sformułować taką definicję, która wykluczy interpretacje przyjmujące, że

suwerennościowe rozumienie tożsamości konstytucyjnej godzi w traktaty i podważa szeroko pojęte wartości europejskie.

10) Należy konsekwentnie opowiedzieć się za zdefiniowaniem w traktatach Unii jako wspólnoty opartej na dziedzictwie chrześcijańskim, które w toku dziejów ukształtowało kulturowo-cywilizacyjne fundamenty Zachodu. Unia Europejska nie może stać się przestrzenią realizacji lewicowych utopii spod znaku LGBT, multikulturalizmu, socjalizmu czy ekologizmu, lecz musi służyć mieszkaniom Europy, respektować ich dorobek kulturowy oraz wolność religijną.

Powyższe postulaty to zarys problematyki i głos w dyskusji związanej z programem reformy Unii Europejskiej w kierunku Europy ojczyzn. Od lat ugrupowania prawicowe, narodowe, konserwatywne znajdują się w defensywie, oddając pole zideologizowanym aktywistom spod sztandaru lewicy oraz sprzymierzonym z nimi bezideowym chadekom. Konieczne jest wypracowanie własnych propozycji przyszłości Unii.

Lewica europejska z przerażeniem obserwuje budzące się narody europejskie, ale prowadzi też prężne działania w celu utrzymania monopolu na władzę w UE i całkowite ograniczenie wpływu państw członkowskich na kształtowanie polityki unijnej. Forsowane jest odejście od jednomyślności czy przyznanie PE prawa inicjowania procedury legislacyjnej, co w połączeniu z propozycją transnarodowych list wyborczych wywróci porządek instytucjonalny Unii do góry nogami, odcinając władzom państwowym resztki decyzyjności.

Tylko Europa ojczyzn pozwoli na utrzymanie suwerenności oraz harmonijną współpracę gospodarczą bez ideologicznego i politycznego balastu czy wizji hegemonii Niemiec. Wbrew głośnym deklaracjom historia nie skończyła się i biegnie dalej. Przyszłość naszej ojczyzny bez wątpienia będzie zależeć od dalszego kierunku rozwoju UE. Ewentualna porażka idei Europy ojczyzn i zwycięstwo idei europejskiego superpaństwa będą bezpośrednio zagrażać suwerenności Polski. Dlatego w debacie o wizjach przyszłości Unii Europejskiej nie możemy pozostawać jedynie biernymi obserwatorami.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest prawnikiem, wiceministrem sprawiedliwości.

**SZERSZĄ WERSJĘ TEGO TEKSTU
PUBLIKUJEMY W PORTALU DORZECZY.PL**

Nowy program w Telewizji Republika!



NAWRÓCENI

zaprasza
Paulina Bilińska

Sobota

20:50

powtórka:

Niedziela

8:00



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną oraz poprzez dostępną telewizję naziemną w województwie śląskim i okolicach. Dostępna jest również dla odbiorców korzystających z nadajnika MUX w Katowicach i okolicach, a także w internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

To był, powiem to dzisiaj jasno i prosto, bo według mnie jest to w 100 proc. udowodnione: zamach smoleński". Takie słowa Naczelnika Państwa, bo oczywiście jego tu cytuję, za relacją ze spotkania z wyborcami w Siedlcach, powinny mieć konsekwencje co najmniej takie, jakie wyciągnęła Holandia z zebranych przesłanek, że za zestrzeleniem jej rejsowego boeinga stały armia i służby Rosji. A jak wiemy, o tym, że przyczyną katastrofy w Smoleńsku był zamach i że to udowodnione, Jarosław Kaczyński, wcześniej w tej kwestii powściągliwszy, od napaści Putina na Ukrainę mówił już wielokrotnie i jak dotąd żadne formalne noty, pozwany ani innego rodzaju oficjalne dokumenty za tym nie poszły.

Każdy z nas, słysząc „zamach smoleński” i „udowodnione w 100 proc.”, wyobraża sobie mniej więcej to, co w swoich kolejnych „ostatecznych” raportach sugeruje Macierewicz: że jeden Wania podczas remontu tupolewa w rosyjskich zakładach podłożył w nim dwie termobaryczne bomby, w genialnym proroczym natchnieniu przewidziawszy, że za miesiąc Polacy pokłócą się o wizytę w Katyniu, a za kilka miesięcy to tym właśnie tupolewem z bombami, a nie tym drugim, polecą Lech Kaczyński dzięsiatego, a nie Tusk siódmego, i że dzięsiatego będzie mgła i źle naprowadzany pilot zejdzie nad podsmoleńskim jarem poniżej granicy bezpieczeństwa i poniżej płyty lotniska, tworząc unikalną sytuację, w której dwa wybuchy będą mogły ująć niepostrzeżenie, a wtedy drugi Wania jakimś cudownym sposobem odpali te dwie bomby idealnie w chwili próby „odejścia” samolotu na drugi krąg. Albo zresztą, skoro był tak genialnym prorokiem, może przewidział to wszystko tak dokładnie, nawet opóźnienie startu, że sam od razu nastawił zapalnik zegarowy na właściwy dzień, godzinę i sekundę.

Innymi słowy, słysząc o w 100 proc. udowodnionym zamachu, każdy z nas odruchowo rozumie, że Jarosław Kaczyński podpisuje się pod oczywistymi absurdami głoszonymi przez wiceprezesa PiS, jego komisję i wiernych wyznawców.

ZAMACH TO ZAMACH

Ale nie... Posłuchajmy uważnie, co powiedział Naczelnik zaraz w następnym zdaniu: „Zamach smoleński to oddanie śledztwa, to oddanie możliwości prowadzenia badań na podstawie poro-

Słowa bez znaczenia



Rafał A. Ziemkiewicz

Odbieranie słowom sensu, szczególnie słowom mocnym, niosącym wysoki ładunek emocjonalny, stało się sposobem działania nie tylko polityków, lecz także tych, którzy teoretycznie zobowiązani są dbać o to właśnie, aby słowa zachowały swój sens



zumienia rosyjsko-polskiego z 1993 r., to zgodzenie się nawet nie na konwencję chicagowską, tylko na protokół 13. do konwencji, a ten protokół zamyka drogę do dalszych działań...". I dalej następuje litania konkretnych i zgodnych z faktami zarzutów wobec postępowania rządu Donalda Tuska w roku 2010 i później.

Wszystko to prawda, tylko jest jeden drobiazg: zamach to zamach, a rozdzielnie wizyt i oddanie śledztwa to rozdzielnie wizyt i oddanie śledztwa. Innymi słowy, zamach, o którym jako o udowodnionym mówi prezes PiS w pierwszym zdaniu, to co innego niż rzeczy, które wymienia w kolejnych, rozwijających je.

Tak jak rozbierana randka to nie aborcja, choć może do niej prowadzić.

No, ale jeśli spojrzeć na sprawę „symetrycznie”, to uczciwość każe sygnąć przykładami z przeciwnej strony sceny politycznej. Trzeba więc powiedzieć, że np. „sfalszowanie wyborów” to sfalszowanie wyborów, a nie stronnictwość jednego z wielu uczestniczących w kampanii wyborczej mediów. Kiedy ktoś oskarża, że wybory zostały sfalszowane, wiemy, co to znaczy – dosypanie do urn lewych głosów, podmiary protokołów komisji wyborczych etc. Tymczasem liderzy PO i jej przystawek wielokrotnie ogłaszali w krajowych i zagranicznych mediach, że PiS rządzi nielegalnie, a Andrzej Duda nie

jest prezydentem, bo wybory zostały sfałszowane (tak np. podczas wizyty w Danii oznajmił w wywiadzie marszałek Senatu Grodzki) – aby, jeśli ktoś podał tę tezę w wątpliwość, wyjaśniać, że sfałszowanie wyborów polegało na tym, że „nie były uczciwe”, a ich zdaniem „nie były uczciwe”, bo w TVP i Polskim Radiu wyraźnie forowano PiS i urzędującego prezydenta.

NIE TYLKO POLITYCY

Kreatywne nadanie przez prezesa PiS nowego sensu słowu „zamach”, umożliwiający mu wybrnięcie z pułapki, jaką jest publiczne poparcie raportu, który w sposób oczywisty nie trzyma się kupy, jest więc tylko z jego strony przejęciem sposobu działania właściwego dotychczas jego przeciwnikom. Odbieranie słowom ich oczywistego sensu poprzez zmasowane, propagandowe używanie ich w zupełnie innym znaczeniu nie ogranicza się bowiem bynajmniej do rzekomego „sfalszowania wyników wyborów”, jest od kilku już lat stałym elementem antypisowskiego dyskursu. Jednym z wielu przykładów jest np. przyklejenie do Krajowej Rady Sądownictwa przymiotnika „niekonstytucyjna”. Nie tylko nigdy nie stwierdziła niekonstytucyjności KRS żadna uprawniona do tego czy bodaj ciesząca się prawniczym autorytetem instytucja, ale zarzut ten nie ma żadnej absolutnie podstawy: konstytucja stanowi jedynie, że w skład KRS powoływani mają być sędziowie (i tak jest), natomiast w kwestii, kto ma ich powoływać, nie mówi niczego. Mimo to media antypisowskie nie nazwą KRS („neo-KRS”, w ich języku) inaczej.

Odbieranie słowom sensu, szczególnie słowom mocnym, niosącym wysoki ładunek emocjonalny, stało się sposobem działania nie tylko polityków, lecz także tych, którzy teoretycznie zobowiązani są dbać o to właśnie, aby słowa zachowały swój sens. Trudno o słowo mocniejsze niż „morderstwo”. Skoro społeczeństwa nie poruszyła historyczna propaganda o „niekonstytucyjności” i „nielegalności” (jeszcze jeden przykład – „nielegalny”, bo wskutek chryi urządzonej przez posłów PO w sali posiedzeń uchwalony w innej sejmowej izbie budżet państwa, z którego zresztą mimo rzekomej nielegalności opozycja nie miała oporu czerpać), to musiał paść i ten zarzut. Postawiła go „Gazeta Wyborcza” piórem Jacka Żakowskiego: PiS morduje Polaków. Morduje z premedytacją i dla przyjemności: „Nikt w dzisiejszej Polsce do władzy nie strzela, więc ona nie

Propagandowe używanie przez polityków słów w zupełnie innym znaczeniu jest od kilku już lat stałym elementem antypisowskiego dyskursu

musi zabijać, by przeżyć. Zabija, bo chce. Morduje dla posad, dla kasy, by paść swoje narcystyczne ego”.

„To nie jest metafora [...]. O krwawym żniwie tej władzy mówimy na co dzień. Ile jest tych ofiar? Dużo więcej niż ofiar rządów Jaruzelskiego. Rząd wielkości jest bliższy bilansowi Bieruta. Ale to była wojna domowa. A tylko w tym roku ubył nas 200 tys. Liczba niespotykana w warunkach pokoju. Zapewne przynajmniej połowa z tej liczby obciąża Kaczyńskiego”.

Te szokujące tezy rozwija następnie publicysta „Gazety Wyborczej” i Radia TOK FM, a bodaj także wciąż wykładowca dziennikarstwa (!) w Collegium Civitas, konkretyzując, jakie to mordy ma na sumieniu Kaczyński: „Niezaszczepieni... którzy by się zaszczepili, gdyby PiS wprowadził obowiązek szczepień... Ci, którzy się zarazili i zmarli, bo PiS nie egzekwował noszenia maseczek... chorzy, którzy nie dostają na czas medycznej pomocy... wywożeni do lasu uchodźcy, którzy tam umierają (!), ciężarne, które nie dostają pomocy, bo Przyłębska im tego zabroniła... otruci i uduszeni zanieczyszczonym powietrzem, które by mniej truło, gdyby PiS szybciej odchodził od węgla...” etc.

Cytuję obszernie tekst sprzed ładnych kilku miesięcy nie tylko dlatego, że oskarżenie Kaczyńskiego o zamordowanie 100 tys. Polaków z jednoczesnym wyjaśnieniem, że „zamordowanym” jest praktycznie każdy, kto umarł za jego rządów, jest w zasadzie nieprzekraczalne, ale też dlatego, że ogrom nawypisywanych przez Żakowskiego bredni w miotanej codzienną histerią Polsce właściwie nikogo już nie zdziwił ani nie oburzył. Nadal jest on uważany za dziennikarza, nadal „Gazeta Wyborcza” traktowana jest jak poważne medium, a nie swego rodzaju „zin” zupełnie już oszalałych sekciarzy.

W takiej atmosferze słowa przestają znaczyć cokolwiek. Można twierdzić, że rząd chwalony przez wszystkich sojuszników,

z USA na czele, za twardą postawą wobec Rosji „realizuje agendę Putina”, bo jakoby „agendą Putina” jest odmowa podporządkowania się pozatraktatowym naciskom Berlina i Brukseli. Można ogłaszać „afery” polegające na tym, że związana z PiS fundacja rozważała postawienie na należącej do niej działce wieżowca, ale nawet nie próbowała, wiedząc, że dopóki miastem rządzi PO, dopóty nie dostanie zezwolenia...

W minionym tygodniu wspomniana już „Wyborcza” zamieściła taki „nius”: „Pomimo recesji sprzedaż detaliczna w Polsce wzrosła o 4,2 proc.”. Proszę zastanowić się nad urokiem tego zdania. Recesja polega właśnie na tym, że rynek maleje – skoro rośnie o 4,2 proc., to recesji nie ma, jest wzrost. I tak jest, proszę sprawdzić: w najbardziej pesymistycznych prognozach dla Polski przewiduje się, że wskutek kryzysu wzrost gospodarczy może się zmniejszyć do 1 proc. Ale wciąż będzie to wzrost, tyle że mały. Napisane prawidłowo, a nie „po czersku” to zdanie powinno więc brzmieć: „Pomimo tego (a jeszcze lepiej: wbrew temu), że wciąż tu piszemy o recesji, w istocie, przeciwnie, polska gospodarka rośnie”.

Albo inny świeży przykład – stek obelg polityków i dziennikarzy liberalno-lewicowych pod adresem Antoniego Macierewicza: „kapuś”, „donosiciel”, „esbecka wtyczka w KOR”... Na jakiej podstawie? Twierdzenia historyka Andrzeja Friszkego, że zatrzymany w 1968 r. Macierewicz zeznał w śledztwie za dużo, obciążając przyjaciół, co nawet gdyby było prawdą (w materiałach z ich procesów rzekomych zeznań Macierewicza nie ma, o ile wiem), nijak się przecie ma do „kapowania”, i to jeszcze w czasach KOR, który Macierewicz (głupia sprawa, ale jednak on, a nie Michnik) współzakładał osiem lat później.

CORAZ GORSZY BEŁKOT

Obawiam się, że nikt jednak nawet już nie zwrócił na to uwagi. Podobnie jak nikt nie zwraca uwagi, że w podobną manierę bredzenia bez sensu wchodzi także strona rządowa. Polska polityka zawsze przypominała sekstelefon: tak samo chodzi w niej tylko o to, żeby rajcować się gadaniem, z którego nic nie ma i nie może wynikać. Ale w tym rajcowaniu się słowami nigdy jeszcze nie znaczyły one tak mało jak obecnie. Wydaje się, że gorszym bełkotem debata publiczna już być nie może – ale pewnie, niestety, nie doceniam jej najaktywniejszych uczestników.

Pod koniec sierpnia tego roku papież wezwał do Rzymu kardynałów z całego świata na konsystorz. Choć Franciszek czyni to regularnie przy okazji włączania do Kolegium Kardynałów nowych purpuratów, to tym razem nie było to zaproszenie rutynowe. Papież chciał z kardynałami porozmawiać. I w tym nie byłoby nic dziwnego, bo ostatecznie purpuraci są w Kościele właśnie po to, by doradzać następcy św. Piotra; papa Bergoglio jednak nie ma w zwyczaju zbyt chętnie sięgać po ich rady – nie robił tego od lat.

Cóż więc się stało? Papież zdecydował, że tematem spotkania będzie reforma Kurii Rzymskiej, którą wprowadził kilka miesięcy wcześniej za sprawą konstytucji apostolskiej „Praedicate Evangelium”. Już to zapowiadało, że dzieje się coś dziwnego. Watykańscy byli postępowaniem Franciszka nieco zniesmaczeni. Wzywać do Rzymu książąt Kościoła po to, by rozmawiać o opublikowanym już dokumencie? Wskazywało na to, że papież nie tyle oczekuje rozmowy, ile chce po prostu coś przekazać.

UPOKORZENIA

I tak było rzeczywiście, a konsystorz nie obył się bez poważnych skandali. Na wezwanie nie mógł odpowiedzieć kard. Józef Zen z Hongkongu, oczekujący na proces w związku z oskarżeniami ze strony chińskich komunistów. Papież i Sekretariat Stanu nie ujęli się za nim – od dawna wiadomo, że Watykan realizuje ugodową politykę wobec Pekinu, której kard. Zen się sprzeciwia. Z perspektywy Rzymu jest zatem polityczną przeszkodą. Wywołało to zgorzniecie, bo pomimo różnic politycznych oczekiwano by innej postawy.

Przebieg konsystorza pokazał, że podobne lekceważenie wobec krytyków Franciszka i jego zapleczka było raczej normą. Na spotkaniu kardynałów z papieżem głos chciał zabrać Walter Brandmüller, 93-letni wybitny historyk Kościoła. Przygotował krótkie przemówienie dotyczące naprawdę istotnej kwestii – zasad rządzących wyborem papieża. Miał konkretne przemyślenia i propozycje, dobrze uargumentowane. Trudno sobie wyobrazić temat, który byłby bardziej adekwatny na konsystorz, tym bardziej że odbywał się w takiej formie po raz pierwszy od lat! Sędziwemu Niemcowi nie pozwolono jednak wystąpić. Poinformowano go, że jedyny dozwolony temat to reforma Kurii Rzymskiej, a jeżeli chce powiedzieć coś

Papież kontra kardynałowie



Paweł Chmielewski

Od kilku miesięcy trwa prawdziwa giełda nazwisk papabile. Pojawiają się kandydatury liberalnych Włochów i Azjatów, czasem, jakby dla żartu, ten czy ów watykanista przypomni sobie o jakimś konserwatyście. Niezależnie od tego, kto zastąpi Franciszka i czy nowe konklawe rzeczywiście się zbliża, jedno jest pewne: przed kolejnym następcą św. Piotra stoi zadanie uporządkowania samego Kolegium Kardynalskiego, bo jego dalsze istnienie w obecnym kształcie jest po prostu pozbawione sensu. Wątpliwe jednak, by je wypełnił

innego, to niech przekazuje to papieżowi na piśmie. Cóż, przekazał; niewyłoszone uwagi kardynała ukazały się na blogu watykanisty Sandra Magistra.

Walter Brandmüller jest przyzwyczajony: nie pierwszy raz spotkało go ze strony papieża upokorzenie. W 2016 r. wraz z trzema innymi kardynałami zadał Ojcu Świętemu pytania w sprawie adhortacji „Amoris laetitia”. Franciszek nie

raczył mu odpowiedzieć, a ewidentnie zlekceważeni kardynałowie upublicznili swoje pytania, pomimo tego nie otrzymując żadnej odpowiedzi.

DO DOMU

Po zakończeniu konsystorza liberalni kardynałowie pielili z zachwyty nad atmosferą, jaka miała panować na spotkaniu. Tyle miało być otwartości i debaty...

Ostatni konsystorz nie obył się bez poważnych skandali
FOT. ANTONIO MASIELLO/GETTY IMAGES



chali się do domów, przekonując się, że na nic nie mają już wpływu.

KOLEGIUM ZDEGRADOWANE

Postępowaniu Ojca Świętego nie należy się wszakże szczególnie dziwić. W jego optyce Kolegium Kardynalskie ma już nie pełnić żadnych doradczych funkcji; ma być raczej „maszynką do głosowania” na konklawe – i to zgodnie z zadekretowaną liberalną programową linią. Gdyby papież zaczął traktować kardynałów poważnie, ich głos mógłby ograniczać papieską władzę. A na to Franciszek nie chce się zgodzić – tym bardziej że część Kolegium, chcąc nie chcąc, odziedziczył po św. Janie Pawle II i Benedykcie XVI. Papież Bergoglio nie zamierza pozwolić, by ktoś przeszkadzał mu w realizacji woli. Według kard. Müllera kryje się za tym karykaturalne i w pewnym sensie skrajnie upolitycznione rozumienie urzędu Piotrowego. Bo i rzeczywiście – Franciszek zmienia doktrynę, jak mu się akurat podoba; nie starając się o przekonujące uzasadnienia, lekceważy decyzje swoich poprzedników (vide: casus liturgii trydenckiej). Z równą samowolą traktuje Kolegium Kardynałów. Nie respektuje związanych z tym tradycji, co najlepiej chyba pokazuje sposób, w jaki dobiera nowych jego członków. Zgodnie z przyjętą praktyką papież wręczał birety kardynalskie biskupom zasiadającym w określonych metropoliach. Było to wyrazem poszanowania Kościołów lokalnych. Na przykład arcybiskup Krakowa nie pojawia się przecież z kapelusza; to człowiek odzwierciedlający cały Kościół w Małopolsce, a w pewnej mierze również po prostu w Polsce. Franciszek to jednak pomija. Cóż, kardynał z zapleczem to kardynał silny – a to ogranicza władzę centrum...

Dlatego tym, którzy szczerze reprezentują Kościoły lokalne, biretów nie daje; wręcza je wyłącznie hierarchom odpowiadającym jego eklezjalnej wizji – to znaczy zawziętym ekumenistom, liberałom, progresistom. Do historii przejdzie przypadek Giorgia Marenga, prefekta apostolskiego Ułan Bator, w tym roku wyróżnionego przez Franciszka purpurą. Marengo ma pod sobą tyłu katolików, ilu mieszka w większej polskiej wsi – ok. tysiąca. Został kardynałem, bo Franciszkowi podoba się jego linia dialogu z buddystami w Mongolii – a poza tym jest związany z kard. Luisem Antoniem Tagle, Filipińczykiem, który od lat uchodzi za jednego z głównych kandydatów na następstwo po Franciszku. Można się zatem

spodziewać, że Marengo będzie głosował „jak trzeba”. Takiej pewności w przypadku abp. Marka Jędraszewskiego czy innych metropolitów reprezentujących jakiś silny Kościół lokalny już nie ma.

KONSEKWENTNA LINIA REWOLUCJI

Franciszek niewątpliwie zdołał unieszkodliwić przeciwników swojej wizji eklezjalnej; można też założyć, że zapewnił już sobie pożądaną sukcesję. Trudno przecieć przypuszczać, by kardynałowie mogli wybrać kogoś innego niż jakiegoś liberała, mniej lub bardziej jawnego – w końcu sami reprezentują w większości tę właśnie linię! Ten stan rzeczy wskazuje, że Kościół długo jeszcze nie odzyska właściwej funkcji kardynalatu.

Choć teoretycznie następny papież może podjąć dzieło naprawy i przywrócić Kościołom lokalnym należne im miejsce, to nie należy mieć na to zbyt wielkiej nadziei: przeżywamy obecnie chyba apogeum triumfu modernizmu, błędnej teologii, która opanowała seminaria i katolickie uniwersytety, zyskując dominację również w światowym episkopacie.

Wraz z papieżem Franciszkiem ten rewolucyjny nurt dostał się na same szczyty watykańskiej hierarchii. Byłoby naiwnością przypuszczać, że nowy papież pozwoli sobie na ograniczenie własnej władzy. To mogłoby zachwiać „postępem” przebudowy Kościoła; widać przecież, że wierni na całym świecie niekoniecznie chcą iść w stronę protestantyzacji katolicyzmu – mamy do czynienia z klasyczną „odgórną rewolucją”, dekretowaną przez „oświeconych” teologów i hierarchów, którzy mają siebie samych za „gnostyków” dopuszczonych do tajemnych tajników Ewangelii i stąd mogących jakoby gardzić ograniczeniami Tradycji.

Lekceważenie okazywane przez Franciszka Kolegium Kardynalskiemu jest w istocie tylko jednym z przejawów tego patologicznego kierunku, choć przejawem szczególnie barwnym i namacalnym. Dlatego nie ma chyba tak wielkiego znaczenia, czy nowym papieżem zostanie ten czy inny Włoch, Azjata czy Europejczyk: Kolegium Kardynalskie nie odzyska swojego blasku, jeżeli najpierw nie odzyska go Kościół jako taki, a to nie stanie się bez fundamentalnego zwrotu, zakładającego głęboki szacunek wobec tego, co zostało nam przekazane przez Tradycję.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą PCh24.pl.

Lew Trocki z małżonką witany w Meksyku przez Fridę Kahlo i lewicowego działacza z USA Maxa Shachtmana
FOT. GAMMA-KEystone/GETTY IMAGES

Dintojra



Jerzy Dąbrowski

Lew Trocki ukrywał się w Meksyku u zafascynowanej komunizmem malarki Fridy Kahlo. NKWD nie przestawało go tropić i organizowało zamachy. Jeden się powiódł

Dom-muzeum Leona Trockiego od 1990 r. utrzymywany jest z dotacji państwowych. Mieści się w Mexico City, w dzielnicy nazwanej Coyoacán, co znaczy „miejsce kojotów”. Miejscowi to głównie dobrze sytuowani lewicowi artyści, pisarze i politycy. Nazwiska Trocki czy Lejba Dawidowicz Bronsztejn niewiele już mówią młodym ludziom, dlatego też budynek ten świeci pustkami. Zapuszczający się do Coyoacán turyści wolą przejść się do oddalonego o parę ulic

muzeum Fridy Kahlo w tzw. Niebieskim Domu. Dzięki powstałemu kilkanaście lat temu w Hollywood filmowi „Frida” z Selmą Hayek tysiące wycieczkowiczów co roku nawiedza to miejsce. Film amerykańskiej reżyserki Julie Taymor sprawił, że ta nieznana poza Meksykiem malarka stała się sławna na całym świecie, a jej obrazy osiągają zawrotne ceny w najlepszych domach aukcyjnych.

Frida chora w młodości na ciężką chorobę polio i ranna później w wypadku autobusowym przeszła 30 operacji. Zafascynowana komunizmem wierzyła, że ten nie tylko ją wyleczy, lecz także będzie przyczyną uzdrowienia cierpiącej klasy robotniczej. Na swoich obrazach oprócz katolickich świętych umieszczała Marksa, Lenina i Stalina. Jej sztandarowym dziełem był autoportret pt. „Marksizm, który da zdrowie chorym”. Frida ukazana jest na nim w ortopedycznym gorsecie, który kojarzył jej się z uciskiem mas pracujących w USA. Karol Marks obejmuje swoimi boskimi dłońmi malarkę, która odrzuca kule.

W filmie też, zgodnie z prawdą, pokazana była waleczna postawa jej męża, Diego Riverę, w sporze z Nelsonem Rockefellerem, który nie zgadzał się zastąpić podobizny swojego idola, Włodzimierza Lenina, anonimową twarzą na wcześniej zamówionym przez milionera fresku pt. „Człowiek na rozdrożu spoglądający z nadzieją i wizją na wybór nowej, lepszej przyszłości”. Mural, który miał ozdabiać wnętrze budynku Radio City Music Hall, w samym centrum Nowego Jorku, ostatecznie został zatarty piaskiem.

Reżyserka Julie Taymor przedstawiła też wyidealizowaną postać Trockiego, który jej zdaniem, gdyby tylko miał szansę rządzić ZSRS, uczyniłby z niego kraj mlekiem i miodem płynący.

ZAPROSZENIE DLA TROCKIEGO

W 1937 r. Trocki z żoną Natalią zostali zaproszeni do „Niebieskiego Domu” przez Diego Riverę i Fridę. Czołowi luminarze meksykańskiej sztuki poprosili ówczesnego prezydenta Lázara Cárdenasa

o przyznanie najbardziej znanemu wówczas sowieckiemu uchodźcy azylu.

Lew Dawidowicz – najważniejszy sprzymierzeniec Lenina w czasie rewolucji, wygnany przez Stalina w 1929 r. ze Związku Sowieckiego – po kilkuletniej banicji w Turcji, Francji i Norwegii przyłączył się do tajnego do Meksyku norweskim tankowcem. Jednak nawet na kontynencie amerykańskim nie czuł się całkowicie bezpieczny. W dwóch pokazowych procesach w Moskwie skazano go, in absentia, na karę śmierci za rzekome kierowanie spiskiem na życie Iosifa Wissarionowicza.

Najbardziej znani wodzowie rewolucji – Grigorij Zinowiew i Lew Kamieniew – w sojuszu ze Stalinem usunęli go ze stanowiska komisarza wojny, po czym sami zostali oskarżeni o trockistowski spisek i szpiegostwo na rzecz krajów kapitalistycznych. Podzielili los milionów ofiar stalinowskich czystek. W dniu ich śmierci Nikita Chruszczow podczas „wiecu nienawiści” na placu Czerwonym potępił skazanych jako „narzędzia Judasza Trockiego” (19 lat później ten sam Nikita Chruszczow na XX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego potępił Józefa Stalina za jego zbrodnie).

Dzięki osobistym archiwom, które udało się wywieźć Trockiemu z Rosji, demaskował on moskiewskie procesy jako fałsz. Te dokumenty posłużyły mu również do pisania zamówionej biografii Stalina, którym gardził i którego wykpiwał jako miernotę, w wydawnictwie Harper & Brothers.

Konflikt z Iosifem Wissarionowiczem zaczął się już 10 lat wcześniej, kiedy to Trocki nie chciał wcielać w szeregi Armii Czerwonej wielu tysięcy oficerów armii carskiej. Jako podporządkowany Trockiemu główny komisarz polityczny frontu południowego Stalin pomijał go, zdając raporty bezpośrednio Leninowi. Wykorzystał też częste nieobecności Trockiego w Moskwie do snucia przeciwko niemu intryg.

Przez dwa i pół roku Trocki mieszkał w pancernym pociągu ze swoją 25-osobową załogą strzelców łotewskich. Kiedy pokonywał tysiące kilometrów i walczył z kontrrewolucją, w wolnych chwilach czytał w oryginale powieści swoich ulubionych autorów: Zoli i Balzaca. Sam, choć samouk, był zdolnym autorem tekstów i erudyta.

W czasie zaciętych walk z Denikinem i Judeniczem napisał książkę pt. „Terroryzm i komunizm”, w której tak

wypowiadał się na temat dopiero co powstałego państwa polskiego: „Obecnie nad Rosją Radziecką znowu zgęstniały chmury. Burżuazyjna Polska swym napadem na Ukrainę rozpoczęła nowe natarcie światowego imperializmu na Rosję Radziecką. Rozgromienie burżuazyjnej Polski przez Armię Czerwoną, dowodzoną przez komunistycznych robotników, stanie się nową manifestacją potęgi proletariackiej dyktatury i tym właśnie zada drugoczący cios mieszczańskiemu sceptycyzmowi w ruchu robotniczym”.

W 1918 r. Lew Trocki wydał rozkaz wyłapywania i rozstrzeliwania bez sądu Polaków próbujących przedostać się do polskich jednostek wojskowych formujących się w rejonie Murmańska. W czasie kierowania obroną Piotrogrodu motywował do walki gotowych poddać się czerwonoarmistów, walczących z armią gen. Judenicza. Dezerterów, którzy uciekli z pola bitwy, często rozstrzeliwał osobiście. Wcielonym w szeregi Armii Czerwonej carskim oficerom przydzielał komisarzy politycznych i wykorzystywał jako zakładników ich żony i dzieci. Za „niestrudzoną determinację i niezniszczalną energię” przy formowaniu Armii Czerwonej towarzysz Trocki otrzymał Order Czerwonego Sztandaru.

Z pokładu pociągu pancernego koordynował odbicie Kazania i tłumienie buntu marynarzy z Kronsztadu. Tam marynarze, nazwani kiedyś przez Lwa Dawidowicza „dumą i chwałą rewolucji”, w 1921 r. podnieśli bunt przeciwko bolszewickiej władzy. Prawie po dwóch latach komunistycznych rządów głód zajął w oczy niedawnych rewolucjonistów. Zapasy chleba wystarczały na cztery dni. Kiedy buntownicy odrzucili propozycje bezwarunkowej kapitulacji, zostali rozgromieni przez dowodzonych przez Trockiego czerwonoarmistów.

AMERYKAŃSKI KOMITET OBRONY

Po 17 latach, już w Meksyku, Lew Dawidowicz wyparł się przed amerykańską komisją Johna Deweya jakiegokolwiek udziału w tłumieniu rewolty. Niemiecki komunista Wendelin Thomas, członek tejże komisji, udowadniał jego udział w tłumieniu buntu w Kronsztadzie i oskarżał go o hipokryzję.

Na wiadomość o wyborze Johna Deweya na szefa amerykańskiej komisji w celu wysłuchania jego wyznań Trocki powiedział, że jest to „wielkie święto w jego życiu”. Prawie 80-letni Dewey, wy-

bitny filozof i intelektualista amerykański, był bowiem sympatykiem Związku Sowieckiego. W 1928 r. odwiedził ZSRS. Wyrażał swoje poparcie dla sowieckiego systemu centralnego planowania.

Komisja uwolniła Trockiego ze wszystkich zarzutów, stwierdzając, że procesy moskiewskie zostały sfałszowane. Jednak amerykańscy komuniści ciągle wierzyli w oskarżenia propagandystów Stalina.

Dlatego też Amerykański Komitet Obrony Lwa Trockiego wynajął Hi-podrom, największą salę w Nowym Jorku, która zgromadziła więcej chętnych do wysłuchania przemówienia sowieckiego rewolucjonisty niż pokaz uwolnienia się znajdującego się w szklanym akwarium z łańcuchów prestidigitatora Houdiniego. Kontakt telefoniczny z Meksykiem okazał się niemożliwy, bo agenci Moskwy przecięli kable telefoniczne. Sytuację uratował przebywający na sali amerykański marksista Max Shachtman, który odczytał przygotowane na wypadek sabotażu streszczenie wypowiedzi swojego idola.

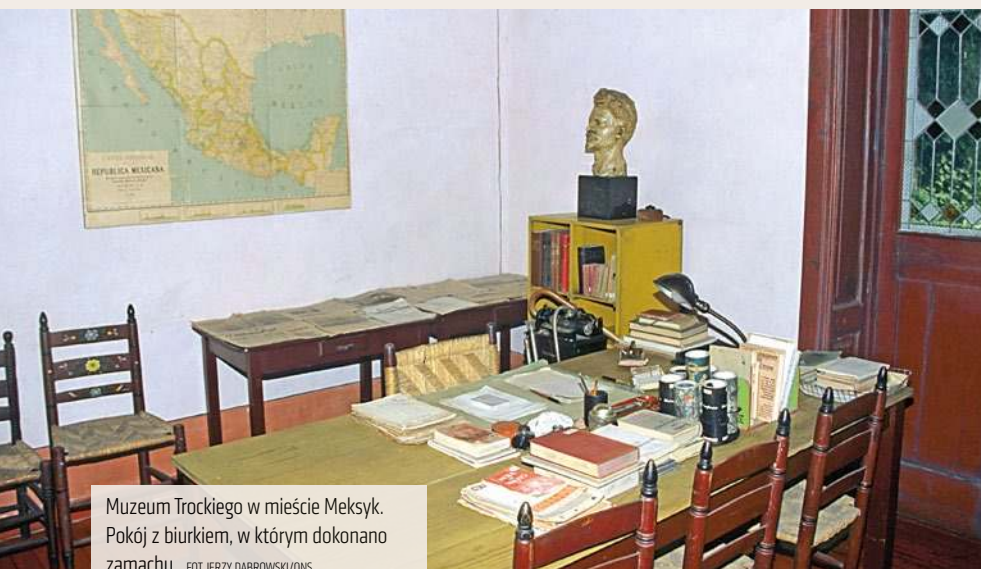
OCHRONIARZE W DZIEŃ I W NOCY

Bardzo szybko po przyjeździe do Meksyku Trocki wdał się w romans z prawie 30 lat od niego młodszą Fridą, której imponował swoim geniuszem.

Kiedy romans się skończył, niezręcznie było ciągle przebywać pod dachem Diego Riveri. Trocki przenieśli się wówczas do innego lokalu oddalonego od „Niebieskiego Domu” zaledwie o kilka ulic. Jak pisze w swojej książce pt. „Trocki. Upadek rewolucjonisty” amerykański sowietolog i profesor Uniwersytetu w Stanford Bertrand M. Patenaude, niedawny kochanek zażądał od Fridy zwrotu pisanych do niej listów. Nie bał się jednak, że wpadną one w ręce jego żony, która i tak wiedziała o wszystkim. Przejmował się, że zrobi z nich użytek sowiecka policja polityczna GPU.

W Meksyku, gdzie za parę dolarów można było wynająć płatnego mordercę, bezpieczeństwo pogorszyło się jeszcze bardziej po przyjeździe ochotników z Brygad Międzynarodowych, walczących z wojskiem gen. Franco. Był to jedyny kraj poza ZSRS, który przyjmował ich od połowy 1937 r. Magazyn „Time” napisał wtedy: „Teraz Trocki jest w Meksyku – kraju idealnym do przeprowadzenia zabójstwa”.

Przejęci bezpieczeństwem swojego idola członkowie Socjalistycznej Partii Robotniczej w Stanach Zjednoczonych



Muzeum Trockiego w mieście Meksyk.
Pokój z biurkiem, w którym dokonano
zamachu FOT. JERZY DĄBROWSKI/ONS

■ wysłali mu pieniądze. Prezydent Cárdenas zapewnił Trockiemu ochronę sześciu policjantów, którzy mieli dyżurować w budce przed „Niebieskim Domem”. Ulice Mexico City pełne były plakatów nawołujących do wyrzucenia Rosjanina z kraju. Sekretarz partii komunistycznej Laborde, będącej w dobrych stosunkach ze Stalinem, krzyczał na wiecu w centrum stolicy: „Na pohybel Trockiemu!”.

Pilnujący posiadłości zaufani amerykańscy trockiści dostali pozwolenie na noszenie broni. Zarabiali po 100 dol. tygodniowo. Ochroniarze zmieniali się w dzień i w nocy. Zakupiono maski gazowe i karabiny maszynowe. Jak pisała w swoich pamiętnikach Natalia, „zaopatrywanie się w broń było tak łatwe jak kupno bananów”.

W nowej rezydencji zainstalowano elektryczny system alarmowy używany w amerykańskich bankach oraz szperacze. Wycięto drzewa wystające powyżej wysokiego muru.

PRÓBA ZAMACHU

Na próbę pierwszego zamachu nie trzeba było długo czekać. 2 lutego 1938 r. do „Niebieskiego Domu” posłaniec dostarczył paczki z nawozem. Miał to być dar od zaprzyjaźnionego ministra komunikacji Francisca Múgiki. Gospodarze byli zdumieni prezentem, o którym nic nie wiedzieli. Kiedy zadzwonili do ministra, ten nic nie wiedział o przesyłce. W międzyczasie kurier się ulotnił. Trocki postanowił wówczas ukryć się na jakiś czas w domu siostry Fridy, Cristiny.

Dwa tygodnie na próbie zamachu na życie Lwa Trockiego w paryskim szpitalu zmarł jego ukochany syn Lowa. Młodzieniec porzucił szkołę techniczną, aby pracować z rodzicami na wygnaniu jako ich agent literacki w Europie. Wydawał

„Biuletyn Opozycji”. Jego żona została rozstrzelana w Rosji miesiąc przed niewyjaśnioną śmiercią Lowy. Oficjalne wieści donosiły o komplikacjach po operacji woreczka robaczkowego, ale Lew Dawidowicz wiedział, że syna zabiło mu NKWD. Stalin nie darował swoim wrogom i likwidował ich rodziny do trzeciego pokolenia. W więzieniu w Moskwie zginął też drugi syn Trockiego – Sierioża, którego nie interesowały polityka ani emigracja.

Dwie córki z pierwszego małżeństwa Trockiego – Zina i Nina – też zmarły przedwcześnie. Pierwsza po odebraniu jej obywatelstwa sowieckiego odkręciła kurki od gazu podczas swojego pobytu w Berlinie. Wiedziała, że nigdy nie zobaczy już męża ani swojej matki. Mąż Ziny został zesłany do Archangielska za Morzem Białym, a matka rozstrzelana w 1938 r. Druga córka zmarła na gruźlicę w wyniku prześladowań, których zaznała w ZSRS.

Z kolei siostra Trockiego, Olga Kamieniewa, po sławnym procesie męża podzieliła jego los. Została rozstrzelana w 1941 r. Jej synów zamordowano dwa lata wcześniej. Starszego brata Olgi rozstrzelano w 1938 r., a brat żony Natalii zmarł w syberyjskim łagrze.

25 września 1939 r. Trocki ukończył długi artykuł pt. „ZSRS w wojnie”. Udowadniał w nim, że wkraczająca na ziemie polskie Armia Czerwona niesie postęp, czym naraził się swoim amerykańskim towarzyszom, którzy nie widzieli różnicy w napaści na Polskę obu jej wrogów. Przewidział też, że pakt Hitlera ze Stalinem będzie trwał tylko chwilę.

OGIEŃ O CZWARTEJ NAD RANEM

Kolejna nieudana próba zamachu na Trockiego miała miejsce 23 maja 1940 r. Na czele 20-osobowej grupy spiskowców

stał inny artysta pracujący właśnie nad obrazem pt. „Portret burżuazji”, absolwent Międzynarodowej Szkoły Lenińskiej w Moskwie i ochotnik Brygad Międzynarodowych w Hiszpanii David Alfaro Siqueiros. O czwartej nad ranem, po wypuszczeniu ich na dziedziniec domu przez przekupionego, amerykańskiego ochroniarza, którego potem skrytobójczo zamordowali, zamachowcy otworzyli ogień z broni maszynowej.

Lew Dawidowicz przeżył strzelaninę, bo w ostatnim momencie położyli się z żoną na podłodze sypialni. Siqueirosowi nie udało się również zniszczyć archiwów Trockiego, na co liczyli zlecający im zadanie agenci NKWD. Kilka godzin po ataku policjanci naliczyli 73 otwory po pociskach, które do dzisiaj można zobaczyć na ścianach sypialni w muzeum Trockiego.

Następnego dnia zaczęto fortyfikować rezydencję Lwa Dawidowicza. Utalentowany amerykański mechanik i towarzysz z Minneapolis Hank Schultz montował garażowe wrota z żelaza zabezpieczone elektronicznymi zamkami. Na murach wybudowano wieże z otworami strzelniczymi, a w pomieszczeniu powstał bunkier ze stropami i z podłogą z cementu.

ROZBITA GŁOWA

Scenariusza trzeciego, a zarazem udanego zamachu nikt się nie spodziewał. Wykonawcą krwawej wendety okazał się Ramón Mercader, syn Kubanki i Katalończyka wychowany w Hiszpanii i we Francji. Podawał się za Kanadyjczyka Jacques’a Mornarda. Dzięki romansowi z tłumaczką i sekretarką Lwa Dawidowicza, Sylwią Ageloff, zaprzyjaźnił się z ekipą pilnującą rezydencji. 20 sierpnia 1940 r. schowanym pod płaszczem czekaniem rozbił Trockiemu głowę.

Ciało Lwa Dawidowicza pochowano w ogrodzie jego domu. Jego nagrobek zdobi rzeźba sierpa i młota. Mercader spędził następne 20 lat w meksykańskim więzieniu. Po uwolnieniu poleciał do Moskwy, gdzie odebrał od Leonida Breżniewa przyznane mu wcześniej odznaczenia: Bohatera Związku Radzieckiego, Order Lenina i Złotej Gwiazdy.

Po śmierci Trockiego Frida i jej mąż zostali przyjęci do Komunistycznej Partii Meksyku. Zapomniano im chwilowo zauroczenie trockizmem. Od tej pory byli gorliwymi zwolennikami polityki Związku Sowieckiego. Schorowana Frida zmarła w 1954 r., pozostawiając niedokończony portret Stalina.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Brunatny Stalin

12 listopada 1986 r. w Zakładzie Karnym w Barczewie zmarł więzień. Dyżurny lekarz stwierdził zgon o godz. 3.50. Następnego dnia informacja o śmierci 90-letniego więźnia trafiła na pierwsze strony gazet.

W prowincjonalnym więzieniu w PRL zmarł bowiem jeden z najważniejszych dygnitarzy III Rzeszy. Osławiony gauleiter Prus Wschodnich i komisarz Rzeszy na Ukrainę – Erich Koch. W komunistycznych więzieniach spędził 37 lat.

W Polsce wreszcie ukazała się jego znakomita biografia pióra Ralfa Meindla. Trudno zrozumieć, dlaczego trwało to tak długo. Koch odegrał bowiem olbrzymią rolę w dziejach Europy Wschodniej. Był jednym z ojców triumfu Związku Sowieckiego. Między innymi to dzięki niemu Polska i pół Europy znalazły się pod butem bolszewików.

Przyczyną była bezdena głupota tego nieszczonego człowieka. Koch był członkiem skrajnie lewicowej frakcji NSDAP. Gdy w 1941 r. Hitler mianował go komisarzem Ukrainy, wprowadził w okupowanym kraju skrajnie zamordystyczny kurs.

Na jego rozkaz dokonywano masowych egzekucji

cywilów. Ukraina została poddana totalnej eksploatacji gospodarczej, a Ukraińcy byli traktowani jak podludzie. Koch utrzymał „zdobycze sowieckiej kolektywizacji”. „Gdyby bolszewicy nie wymyślili kołchozów, my musielibyśmy to zrobić” – mówił.

Wszystko to było szokiem dla Ukraińców i innych narodów Wschodu. Gdy w czerwcu 1941 r. Niemcy wkraczali do ZSRS, byli witani jako wyzwoliciele spod sowieckiego jarzma. Setki tysięcy żołnierzy Armii Czerwonej przechodziły na ich stronę.

Kiedy już narody Wschodu na własnej skórze odczuły metody Kocha – i podobnych mu zbrodniczych kretynów – nastroje się odwróciły. Ludzie sowieccy zaczęli walczyć. Jak skończyła się ta historia, wszyscy wiemy. Bolszewikami w Berlinie, Warszawie, Pradze i Budapeszcie.



★★★★★
RALF MEINDL
„GAULEITER PRUS
WSCHODNICH
ERICH KOCH.
BIOGRAFIA
POLITYCZNA”
INSTYTUT
PÓŁNOCNY/
INSTYTUT
ZACHODNI

Ralf Meindl w swojej fascynującej książce ukazuje drogę, która zaprowadziła Kocha do Kijowa, a potem – do Barczewa. Dlaczego komuniści pozwolili mu żyć tak długo? Może dlatego, że mieli wobec Kocha dług wdzięczności. Stara anegdota głosi, że gdy Stalin dekorował orderami swoich generałów, zawsze odkładał jeden medal dla Kocha. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Straszny dwór

Początki pracy nad operą sięgały jeszcze 1861 r. Wówczas to rozeszły się informacje, że Moniuszko rozpoczął komponowanie nowego czteroaktowego dzieła scenicznego. Jednak nadworny librecista kompozytora Jan Chęciński przeżywał kryzys twórczy, a potem wydarzenia polityczne nie sprzyjały natchnieniu. Z czasem jednak muzyk zaczął traktować pracę twórczą jako rodzaj oderwania od ponurej rzeczywistości, tym bardziej że libretto odwoływało się do chwalebnej przeszłości Polaków. Swoją rolę odegrali także wspomnienia z lat dzieciennych spędzonych na Kresach. Kurant w zegarze w zamku w Śmiłowiczach, opowieści ojca i stryjów o dawnych zwyczajach szlacheckich. Do tego własne obserwacje z ziemiańskich dworów będących z reguły skansenem kultury szlacheckiej dawnych epok.

Pierwsze próby opery odbyły się na początku 1865 r., prace przebiegały dość sprawnie. Cenzura nie stwarzała problemów, w treści dzieła nie doszukano się bowiem wątków politycznych.

Premiera miała miejsce 28 września i przebiegała według innego scenariusza niż poprzednie. Wprawdzie publiczność nie ukrywała zachwyty, lecz aplauz był tonowany przez powagę i wzruszenie. Przypomnienie polskiej tradycji szlacheckiej, czasów, gdy nasz kraj był potęgą polityczną, wywołało uczucia nostalgii i smutku.

Krytyka była jednak podzielona. Wprawdzie dominowały głosy zachwyty, jednak pojawiały się także uwagi wskazujące na rzekome wady utworu. Niektórzy twierdzili, że opera była zbyt długa i powinna zostać ograniczona do trzech aktów, a w pełnej wersji przypominała „pogadanki muzyczne”. Tym bardziej że „dialogi przedłużały się do znudzenia”, a do libretta wprowadzono „zbyt wiele osób”.

Umiarkowany entuzjazm wykazywali także zawodowi muzycy, ale w ich przypadku dużą rolę odgrywała zapewne zazdrość. Jednak dominowało uczucie zachwyty i satysfakcji z powstania opery, która (jak przeczuwano) na zawsze wpisze się w dzieje polskiej kultury. Niebawem zresztą nawet poszczególni oponenci zaczęli przyznawać wielkość dziełu Moniuszki.

Krytycy i publiczność nie mieli jednak okazji wysłuchać „Straszego dworu” wiele razy, gdyż po trzech przedstawieniach cenzura zdjęła operę z afisza. Władze rosyjskie rozumiały, że „apoteoza polskości”, którą był spektakl, może się okazać niebezpieczna. Moniuszko osobiście był bardzo dotknięty, chociaż starał się robić dobrą minę do złej gry, twierdząc, że dzieło „zostało zawieszone przez matkę naszą cenzurę”. Przerwa w wystawianiu „Straszego dworu” trwała wiele lat i Moniuszko już nigdy nie zobaczył na scenie swojej najwspanialszej opery... ©©



Olivier Bault

Kim jest Giorgia Meloni, którą wiele mediów nazywa „postfaszystką” i straszy, że Włochy pod jej premierostwem mogą pójść drogą Węgier i Polski?

Jestem Giorgia, jestem matką, jestem kobietą, jestem chrześcijanką” – te słowa, wypowiedziane na wiecu trzech głównych partii prawicowych na placu San Giovanni w Rzymie w październiku 2019 r. zostały przerobione na piosenkę w stylu techno, która miała wyśmiewać liderkę najbardziej konserwatywnej z całej trójki partii Fratelli d'Italia (Bracia Włoscy). Jednak żart obrócił się na korzyść Giorgii Meloni. Stał się tanecznym hitem i zrobił prawdziwą furorę w Internecie – był nawet puszczany w dyskotekach. Działo się to w momencie, gdy w ramach koalicji tzw. centroprawicy partia Meloni stała daleko w tyle za Ligą Mattea Salvini i dopiero co zaczynała wyprzedzać w sondażach centroprawicową partię Forza Italia Silvia Berlusconi, uzyskując poparcie na poziomie 7–9 proc. Nie ulega wątpliwości, że piosenka przyczyniła się do większej popularności i rozpoznawalności liderki FdI.

To zdarzenie zachęciło Meloni do zatytułowania książki o sobie, wydanej w 2021 r., słowami „Io sono Giorgia”, czyli „Jestem Giorgia”. W książce tej żartuje z siebie, pisząc: „Krótko mówiąc, w ciągu kilku tygodni [piosenka – przyp. red.] dobiegła wszędzie, zaczęto przy niej tańczyć na wszystkich dyskotekach, a nawet zdobyła złotą płytę, dzięki czemu zrealizowałam moje najskrytsze marzenie: zostać piosenkarką”.

Trudno nie zauważyć, że słowa wykorzystane w prześmiewczej piosence niosą wyraziste przesłanie polityczne i w tym tkwi ich siła. W udostępnionym przez lewicowych działaczy w sieci wideoklipie Włoszka wypowiada silnym głosem ludowego trybuna, za jakimi wartościami stoi: za obroną tożsamości Włochów, przeciw ideologii gender, przeciw ideologii LGBT, za obroną najsłabszych – w domyśle nienarodzonych, i konkluduje, twierdząc dumnie: „Jestem



Giorgia, jestem matką, jestem kobietą, jestem Włoszką, jestem chrześcijanką i nie odbierzecie mi tego”.

Co prawda, aby móc wygrać wybory, Giorgia Meloni musiała w trakcie kampanii przed wyborami parlamentarnymi z 25 września zadeklarować bardzo jasno, że nie będzie dążyła do odwołania ustawy legalizującej aborcję z 1978 r. Zaznaczyła jednak, że chce dać kobietom także prawo, by nie były nakłaniane do dokonywania aborcji, gdy tego nie chcą, zwłaszcza wtedy, kiedy pozbywają się dziecka z powodu sytuacji społeczno-gospodarczej.

Kim jest zatem tak naprawdę Giorgia Meloni, którą tyle mediów lewicowych i centroprawicowych w Europie nazywa „postfaszystką”, strasząc, że Włochy pod jej premierostwem mogą pójść drogą... Węgier i Polski? Czy faktycznie ma ona jakiegokolwiek związku z faszyzmem? Czy jest po prostu, jak sama o sobie mówi – i jak

mówią o sobie również rzekomi „kryptofaszyści” rządzący Polską i Węgrami – chrześcijanką i konserwatystką?

PIĘTNASTOLATKA W POLITYCE

Działalność polityczną rozpoczęła w 1992 r. we Włoskim Ruchu Społecznym (Movimento Sociale Italiano), założonym w 1946 r. przez czołowych działaczy byłej partii faszystowskiej Mussoliniego. Miała wówczas 15 lat.

MSI, którego pierwotnym celem na początku działalności było m.in. skupienie pod swoim szyldem robotników niekomunistycznych, w latach 90. od dawna już nie odwoływał się do początkowego hasła „postfaszyzmu” i definiował sam siebie po prostu jako ruch konserwatywny. Mimo że wiele tytułów prasowych w ubiegłym tygodniu straszyło powrotem faszyzmu we Włoszech, zapomniano najwyraźniej, że w 1994 r. aż czterech



Giorgia Meloni będzie pierwszym premierem kobietą we Włoszech
FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Giorgia

członków nowo powołanego rządu Silvia Berlusconiego pochodziło właśnie z MSI, a w 1999 r. spadkobierca MSI – Sojusz Narodowy (Alleanza Nazionale, AN) – którego wówczas 22-letnia Giorgia Meloni była członkiem, startował pod przywództwem byłego lidera MSI, Gianfranca Finiego, do wyborów do Parlamentu Europejskiego w ramach sojuszu z liberałami pochodzącymi z partii establishmentu – m.in. z byłej potężnej Chrześcijańskiej Demokracji (Democrazia Cristiana, DC). Wcześniej, w 1996 r., partia Finiego stanęła do wyborów w sojuszu z partią Silvia Berlusconiego Forza Italia oraz z dwiema partiami chrześcijańsko-demokratycznymi.

Sam Fini, pomimo przeszłości w MSI, był nie tylko przewodniczącym AN (1995–2008), lecz także wicepremierem w rządzie Berlusconiego (2001–2006), ministrem spraw zagranicznych (2004–2006) oraz przewodni-

czącym Izby Deputowanych – izby niższej włoskiego parlamentu (2008–2013).

Giorgia Meloni piastowała funkcję wiceprzewodniczącej Izby Deputowanych (2006–2008) i była ministrem ds. młodzieży w rządzie Berlusconiego (2008–2011).

Jak widać, MSI, a później AN przez wiele lat stanowiły część włoskiej demokratycznej – a nie faszystowskiej – prawicy, a antyfaszystowska kampania przeciw Giorgii Meloni prowadzona latem tego roku przez zdesperowaną lewicę nie tylko we Włoszech, lecz także na arenie europejskiej i międzynarodowej wzorem „opozycji totalnej” z Polski i Węgier, była jedynie taktiką przedwyborczą, która w samych Włoszech nie zadziałała.

Przed wyborami z 1996 r. w reportażu państwowej (już wówczas lewicowej) telewizji francuskiej France 3 Giorgia

Meloni, będąca lokalnym liderem sekcji młodzieżowej AN w Rzymie, wypowiedziała słowa, które wyciągnięto znów na potrzeby tegorocznych wyborów. Miały być dowodem, że jest ona – albo co najmniej była – zwolenniczką faszyzmu.

W owym reportażu, który miał przedstawić sojuszników Silvia Berlusconiego jako faszystów, 19-letnia Giorgia mówi do francuskich dziennikarzy po francusku: „Uważam, że Mussolini był dobrym politykiem. Chodzi o to, że wszystko, co robił, robił dla Włoch. Tego nie znajdziemy u polityków, których mieliśmy przez ostatnie 50 lat”.

Choć Meloni wiele razy wyrażała w kolejnych latach swój stanowczy sprzeciw wobec ideologii faszystowskiej i tego, co zrobił Benito Mussolini, kiedy rządził, to te trzy zdania wypowiedziane przez nią w młodości mają dowodzić, że jest „postfaszystką” albo wręcz „neofaszystką”. Tymczasem dawne otwarte, długoletnie i konsekwentne poparcie dla komunistycznych zbrodniarzy ze strony lewicowych polityków nie stanowi żadnego problemu dla większości mediów i europejskiego politycznego mainstreamu, które w najgorszym wypadku uważają takie postawy za „błędy młodości”.

Urodzona w 1977 r. Giorgia Meloni nie miała łatwego dzieciństwa. W książce „Jestem Giorgia” opowiada, jakim trudnym doświadczeniem było dla niej, gdy dowiedziała, że jej mama z powodu trudnej sytuacji rodzinnej i presji otoczenia myślała o aborcji. Dwudziestotrzyletnia matka Giorgii miała wówczas już jedną córkę, a relacja z partnerem się pogorszała. Ojciec Giorgii w końcu odszedł i zostawił je, przeprowadzając się na Wyspy Kanaryjskie. Prawdopodobnie budowaniu relacji nie pomagał fakt, że ojciec Giorgii był komunistą, natomiast jej matka działaczką MSI.

Giorgia miała ojcu za złe, że je zostawił, ale to dzięki pobytom u ojca nauczyła się mówić płynnie po hiszpańsku, co demonstrowała na wspólnych wiecach wyborczych z Santiago Abascalem, liderem hiszpańskiej partii konserwatywnej Vox.

ŁZY PO JANIE PAWLE II

Dzieciństwo spędziła w skromnych warunkach w robotniczej dzielnicy Rzymu, a na niedzielną mszę była prowadzana wraz z siostrą przez babcię. Do dziś liderka Fratelli d'Italia zachowała

■ swoją katolicką wiarę. Nie afiszuje się z tym, ale też tego specjalnie nie ukrywa. O swojej wierze mówi, że jest jej bliżej do Jana Pawła II i Benedykta XVI niż do Franciszka. Świętego Jana Pawła II nazywa największym papieżem nowoczesności, a w książce „Jestem Giorgia” pisze, że gdy polski papież zmarł w 2005 r., płakała jak nigdy dotąd. „Jego przesłanie było równie potężne jak to papieża Benedykta XVI, ale łatwiejsze do przekazania, a jego człowieczeństwo było równie wyraziste jak to papieża Franciszka, ale bardziej zgodne z powszechnymi odczuciami chrześcijan” – pisze Meloni w książce. O tym ostatnim mówi po prostu: „Choć jestem katoliczką i nigdy nie odważyłam się skrytykować żadnego papieża, to przynajmniej, że nie zawsze rozumiałam papieża Franciszka”.

O swoich przekonaniach pisze wprost. Podkreśla nawet, że książka powstała, by sprostować liczne kłamstwa i manipulacje na temat jej osoby i jej poglądów.

„W oczach dominującego, ujednolicono myślenia jestem bigotką. Zawstydzającą obskurantką, czającą się groźnie, próbującą spalić na stosie każdego, kto chce promować postęp – czytamy w »Jestem Giorgia« – Przez »postęp« rozumie się takie kwestie jak teoria gender, macierzyństwo zastępcze czy aborcja w dziewiątym miesiącu. No tak, zwalczam te praktyki. Jednak nie dlatego, że jestem przeciwnikiem postępu, lecz z diametralnie przeciwnego powodu: ponieważ walczę z barbarzyństwem. I nie robię tego z pozycji wyznaniowej, wręcz przeciwnie. Oczywiście wierzę w Boga, ale nigdy nie toczyłam określonych bitew z powodu dogmatu religijnego czy też w desperackiej próbie zdobycia sympatii Kościoła i wiernych, zakładając, że – po zakończeniu rządów chrześcijańskich demokratów – katolicki blok wyborczy nadal istnieje we Włoszech. Prowadzę te walki z przekonania, że świeckiego zdrowego rozsądku”.

Prywatnie Giorgia Meloni żyje w niesakramentalnym związku ze swoim partnerem, dziennikarzem telewizyjnym, z którym ma jedną córkę urodzoną w 2016 r.

Ważnym tematem dla Giorgii Meloni, a także dla partii Fratelli d'Italia, którą współtworzyła w 2012 r. i której przewodniczy od 2014 r., jest oczywiście kwestia masowej imigracji. W tym zakresie, w przeciwieństwie do Francuzki Marine Le Pen, Włoszka nie boi się mówić o wielkiej wymianie ludności, do której dąży

Meloni i jej partia sprzeciwiały się zmuszeniu Włochów do przyjmowania teoretycznie nieobowiązkowej szczepionki przeciw COVID-19

– świadomie czy nie – lewica wspierająca masową imigrację, i podobnie jak znienawidzony przez liberalne elity europejskie węgierski premier Viktor Orbán twierdzi wprost, że chce prowadzić politykę pronatalistyczną, zamiast sprowadzać imigrantów z innych kontynentów.

TAK DLA NATO, NIE DLA PUTINA

W obszarze polityki międzynarodowej Giorgia Meloni wykazuje konsekwentną postawę proatlantycką i od początku rosyjskiej wojny na Ukrainie dużo bardziej jednoznacznie niż jej sojusznicy potępia Rosję Putina.

Utrzymuje bliskie kontakty z konserwatywnymi środowiskami Partii Republikańskiej w Stanach Zjednoczonych i bywa regularnie zapraszana na coroczną imprezę konserwatystów amerykańskich CPAC. To tam pod koniec lutego, na początku rosyjskiego najazdu na Ukrainę, wyraziła dosadnie swoje stanowisko na temat bieżących wydarzeń: „Drodzy przyjaciele z CPAC, drodzy konserwatyści amerykańscy, [...] w obliczu tego nieakceptowalnego ataku bycie tu jest najlepszym sposobem, aby wyjaśnić, po której stronie jesteśmy w tym konflikcie. Jesteśmy po stronie prawa międzynarodowego. Jesteśmy po stronie wolności. I tak naprawdę jesteśmy po stronie dumnego narodu, który pokazuje światu, co znaczy walczyć o swoją wolność”.

W ramach grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, której przewodniczyła od września 2020 r., utrzymuje dobre kontakty z polskim PiS, co ułatwia to, że nie jest zwolenniczką italexitu ani wyjścia ze strefy euro, choć uważa, że pierwszym zadaniem rządu w Rzymie jest obrona interesów Włoch. Wizję przyszłości Unii Europejskiej jako Europy suwerennych narodów ma podobną do wizji dominującej w PiS czy przedstawionej przez Węgry Viktora Orbána i jego Fidesz.

Gdy na początku września lider włoskiej Partii Demokratycznej Enrico Letta przestrzegał przed możliwym re-

legowaniem Włoch do „Europy B” wraz z Polską i Węgrami w razie wygranej włoskiej prawicy pod szyldem Braci Włoskich, Meloni nazwała te słowa „haniebnymi”. – To jest pojęcie, które lewica ma o Europie, o klubie, w którym są tacy, którzy liczą się bardziej, i tacy, którzy liczą się mniej, w którym są tacy, którzy decydują, i tacy, którzy muszą te decyzje znieść. Takie jest pojęcie lewicy o Europie – tak skomentowała Meloni słowa Letta. Odnosząc się do Polski, dodała, że „jest narodem najbardziej narażonym na Rosję, a w ten sposób daje się Putinowi sygnał, że mamy Polskę gdzieś”.

Po raz pierwszy Giorgia Meloni piastowała funkcję wybieralną jako radna XI dzielnicy Rzymu w wieku 21 lat, w 1998 r. Prawie ćwierć wieku później ma zostać pierwszą kobietą w historii, która stanie na czele włoskiego rządu. W dodatku z tego, co zapowiadają jej sojusznicy Matteo Salvini i Silvio Berlusconi, wraz z którymi uzyskała komfortową większość w obu izbach parlamentu, wynika, że Meloni ma szansę piastować tę funkcję przez najbliższych pięć lat, co byłoby również ewenementem w historii Republiki Włoskiej.

Liberalne elity w Brukseli, Berlinie i Paryżu – podobnie jak powstająca włoska opozycja totalna – zrobiłyby dobrze, gdyby przyjęły jak najszybciej do wiadomości wolę Włochów wyrażoną w wyborach powszechnych i posłuchały głosu rozsądku płynącego z ust byłego premiera Włoch (w latach 2014–2016) i byłego przewodniczącego (w latach 2013–2017) Partii Demokratycznej „antyfaszysty” Enrica Letty. Matteo Renzi (który odszedł z PD w 2019 r. i stanął na czele centrowej partii Italia Viva) odpowiadając nazajutrz po wyborach na pytania amerykańskiej telewizji CNN, stwierdził, że choć Meloni specjalnie nie lubi i będzie zawsze jej przeciwnikiem, to nie jest ona żadnym zagrożeniem dla demokracji i cała retoryka o powrocie faszyzmu do Włoch jest wielkim fake newsem.

Warto również zauważyć, że Meloni i jej partia, będąca jedyną partią opozycyjną w czasie wielkiej koalicji wspierającej rząd Maria Draghiego, sprzeciwiały się, w imię demokracji i praworządności, daleko idącemu ograniczeniom swobód obywatelskich, które miały zmusić Włochów do przyjmowania teoretycznie nieobowiązkowej szczepionki przeciw COVID-19.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



NA WOJNĘ ZABIERZ ŚPIWÓR!

Do sieci wyciekły nagrania wojskowych z Rosji, którzy tłumaczą zmobilizowanym na wojnę, co mają zabrać ze sobą. Listę takich rzeczy przekazywaną rekrutom opublikowała też dziennikarka Biełsatu Masza Makarowa. W skrócie: wojsko daje im tylko karabin i mundur. Sami muszą mieć jedzenie, karimatę, śpiwór, ciepłą odzież, łyżkę, widelec, artykuły higieniczne. Muszą też sami sobie zorganizować apteczkę – polecono brać te samochodowe. Do tamowania krwotoków po ranach w bitwie zalecono im zabrać tampony i podpaski od matek, siostr czy żon.

IRAŃSKIE DRONY I CZĘŚCI Z USA

Od jakiegoś czasu Rosjanie w napaści na Ukrainę korzystają z dronów kamikadze irańskiej produkcji. Atakowali nimi m.in. cele w Odessie. Centrum Komunikacji Strategicznej Sił Zbrojnych Ukrainy poinformowało, że poddało analizie drona Shahed-131. Okazało się, że jego jednostka sterująca zawierała pięć płytek drukowanych z procesorami produkcji... USA. Ukraińska armia dodała, że to procesory, które można kupić na wolnym rynku.

UCIEKAŁ PRZED MOBILIZACJĄ NA DESCE

Estoński publiczny nadawca ERR poinformował o sprawie uchodźcy z Rosji, który dostał się do tego kraju, przepływając ujęcie Narwy na desce SUP. Pogranicznicy złapali go 26 września. Mężczyzna tłumaczył,

że uciekł przed mobilizacją w Rosji. Estończycy nie mieli litości – odesłali go z powrotem do jego ojczyzny.

NA PRĄD JAK NA BENZYNĘ

Elektryczne samochody, które miały być przyszłością – przede wszystkim ze względu na niską cenę za przejechany kilometr – szybko dorównały

samochodom spalinowym. Royal Automobile Club w Wielkiej Brytanii przeanalizował płatności za ładowania podczas podróży z publicznych sieci. Okazało się, że cena przejazdu elektrycznym pojazdem za kilometr jest już tylko o pensja mniejsza niż cena za kilometr przejechany samochodem na benzynę. A przecież pod uwagę trzeba by jeszcze brać dużo wyższe ceny samochodów elektrycznych w porównaniu z samochodami spalinowymi.

POMYLIŁA PSA Z WILKIEM

Niejaka Amber Rose z Montany (USA) pochwaliła się w sieci wynikiem swojego ostatniego polowania – „szczeniakiem wilka”. Dodała zdjęcie z oskórowanym zwierzęciem. Internauci natychmiast uświadomili ją, że na bagażniku swojego auta pozuje z zastrzelonym psem rasy husky. Sprawą zajęła się policja. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Jest drogo? Będzie drożej

Wygłąda na to, że ostre hamowanie europejskich gospodarek, zakładające minimalne, ale jednak wzrosty PKB w roku 2023, to już hurraoptymistyczny scenariusz. Prezes Banku Światowego David Malpass ostrzegł w ubiegłym tygodniu, że Europie grozi recesja. Nie tylko Europie – amerykańscy inwestorzy i analitycy, tacy jak Stanley Druckenmiller czy Ken Griffin, spodziewają się, że polityka podnoszenia stóp przez Rezerwę Federalną doprowadzi do recesji w USA już w roku 2023.

Niestety, światu, a zwłaszcza Europie, zagraża stagflacja, czyli

groźniejsza siostra recesji. Połączenie stagnacji z wysoką inflacją jest zjawiskiem trudnym do opanowania. O tym, jaki to koszmar, można się było przekonać w latach 70. ubiegłego wieku. Tym razem do szalejącej inflacji dołącza strach przed pogłębieniem kryzysu energetycznego. Polska wchodzi w te trudne czasy z bardzo słabym złotym. Frank szwajcarski śmiało sobie poczyna ponad granicą 5 zł, ustanawiając rekordy już powyżej 5,11 zł. Historyczną barierę przebił też dolar i nie brakuje analityków, którzy spodziewają się dolara po 5,15 lub nawet po 6 zł. Coraz droższe jest również euro, które także

zmierza w kierunku poziomu 5 zł. Tak drogie waluty podbijają już i tak rekordową inflację. Słaby złoty oznacza też wyższe ceny towarów importowanych, a także wyższe koszty wytwarzania towarów, które coraz częściej wymagają zagranicznych komponentów.

Ten kryzys ma potencjalnie jedną zaletę. Jeżeli rządzący w Europie wyciągną właściwe wnioski, to Stary Kontynent może wyjść z tej partii globalnych szachów silniejszy, suwerenny energetycznie i wyposażony w nowoczesne technologie oraz komponenty wytwarzane na miejscu, a nie u konkurentów. ©

Ołeksij Arestowycz twierdzi, że m.in. współpracował kiedyś z ukraińskim wywiadem

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

Ruś-Ukraina,

czyli sposób na Putina

Ołeksij Arestowycz jest doradcą szefa biura prezydenta Ukrainy ds. komunikacji strategicznej w dziedzinie bezpieczeństwa narodowego i obrony. Poczytny bloger i vlogger, popularny analityk, publicysta o ciętym języku. Mówi cicho, szybko i niewyraźnie, ale uważany jest za medialnego hipnotyzera, który w swoich bieżących komentarzach na temat wojny koi nerwy i krzepi serca słuchaczy i widzów, oczekujących ukraińskiego zwycięstwa. Nazywany jest „lekiem uspokajającym” dla Ukraińców. Te predyspozycje nie wzięły się znikąd – wśród licznych zawodów, które na swojej krętej drodze życiowej wykonywał dziś najbardziej po Zełenskim rozpoznawalny człowiek obozu władzy, jest zawód psychoterapeuty.

Na początku inwazji Arestowycz zapowiedział, że wojna potrwa „dwa-trzy tygodnie”. Tę prognozę powtarzał potem wielokrotnie. Później nieprzekonująco tłumaczył, że miał na myśli jedynie walki wokół Kijowa. Fraza „dwa-trzy tygodnie” stała się jednak popularnym memem. I żartobliwą odpowiedzią na wszystkie pytania. „Kiedy w końcu się ożenisz?” – narzeka matka na syna. „Kiedy schudnę?” – zastanawia się młoda dziewczyna. „Kiedy zaczniesz się dawno zapowiadana kontro-



Maciej Pieczyński

Współpracownik Zełenskiego, ekspert ds. wojskowych, autor błyskotliwych, nie zawsze trafnych prognoz, aktor, szpieg, terapeuta. Ołeksij Arestowycz to także twórca idei Rusi-Ukrainy. Czyli imperialnej koncepcji, która może Kijowowi zapewnić trwałe zwycięstwo nad Moskwą

fensywa na Chersoń?”. Na te wszystkie pytania odpowiada memiczny Arestowycz swoim słynnym zdaniem. Na innym memie role się odwracają. Arestowycz pyta Olafa Scholza, kiedy przyśle niemiecką broń. Kanclerz odpowiada wiadomo jak. Albo na rycinie przedstawiającej rycerzy walczących w wojnie stuletniej jeden z nich uspokaja: „Jeszcze dwa-trzy tygodnie!”. W odpowiedzi słyszy: „Zamknij się, Arestowycz!”. Sam bohater żartów ma do siebie dystans, wiele razy autoironicznie odnosił się do swoich niesprawdzonych prognoz. W jednym z wywiadów przyznał się też do kłamstwa. A dokładniej – że w momencie, gdy na froncie przewagę mieli Rosjanie, w swoich wypowiedziach publicznych udawał, że wszystko jest w porządku.

Ale obecny współpracownik prezydenta Zełenskiego ma na swoim koncie

również trafne prognozy. Inwazję rosyjską w pewnym sensie przewidział już w 2019 r. W jednym z wywiadów stwierdził wówczas, że już same starania Ukrainy o wejście do NATO doprowadziłyby do „wielkiej operacji wojskowej” ze strony Moskwy. Celem byłoby zniszczenie ukraińskiej infrastruktury. Zachodni partnerzy mieli w efekcie zrezygnować z przyjęcia w struktury paktu zrujnowanego kraju. Zniszczona Ukraina przestałaby być dla nich atrakcyjna. „Na 99,9 proc. ceną za wejście do NATO będzie wielka wojna z Rosją. A jeśli nie wejdziemy do NATO – to Rosja nas wchłonie w ciągu 10–12 lat” – mówił Arestowycz. Oceniał, że dla Ukrainy najlepszy scenariusz to „wielka wojna z Rosją i wejście do NATO w wyniku zwycięstwa”.

Trafnie przewidział, że najbardziej krytyczne będą lata 2021–2022, że

dojdzie do próby zdobycia Kijowa, a atak nastąpi także z terytorium Białorusi. Ale już w przededniu inwazji ten ostatni scenariusz uznał za niemal niemożliwy. 24 lutego zapewniał z kolei, że Rosjanie nie będą zabijać cywilów, bo liczą na ich wsparcie. Natomiast w 2008 r. przewidział aneksję Krymu.

POGLĄDY ANTYZACHODNIE

Nie jest etnicznym Ukraińcem. Urodził się w sowieckiej Gruzji. Po matce ma korzenie rosyjskie, po ojcu – polsko-białoruskie. Poza pochodzeniem nie ma jednak z Polską nic wspólnego. Jego rodzina przeprowadziła się na Ukrainę, a Aleksiej stał się Ołeksijem. Długo szukał swojej zawodowej drogi. Studiował biologię na uniwersytecie w Kijowie, ale już po pierwszym roku zrezygnował. Spróbował swoich sił jako aktor. Grał w kijowskim teatrze Czarny Kwadrat, a także w ukraińskich i rosyjskich filmach i serialach. Zainteresował się psychologią.

Założył też mundur – ukończył Odeski Instytut Wojsk Lądowych jako tłumacz wojskowy. Następnie, jak sam twierdzi, służył w Centralnej Agencji Wywiadu Ministerstwa Obrony. W 2005 r., prawdopodobnie po odejściu z MON, wstąpił do partii politycznej Bractwo, głoszącej „chrześcijański anarchizm nacjonalistyczny”. Jako jej przedstawiciel jeździł do Rosji na konferencje ruchu eurazjatyckiego, gdzie występował razem z m.in. Aleksandrem Duginem. Potem tłumaczył, że był tam jako agent ukraińskiego wywiadu. Wywiad tej wersji nie potwierdził. Tak czy inaczej, w tamtym okresie Arestowycz prezentował poglądy antyzachodnie. Występował przeciwko pomarańczowej rewolucji. Twierdził, że Zachód „nie pozwoli Ukraińcom zachować swojej kultury” i wymusi reprivatyzację strategicznych gałęzi gospodarki, w rezultacie czego Waszyngton i Bruksela przejmą ukraiński przemysł.

Po zwycięstwie Euromajdanu coraz częściej zaczął pojawiać się w mediach jako ekspert ds. wojskowych. Założył fundację zajmującą się opieką psychologiczną dla weteranów operacji antyterrorystycznej. Sam też przez rok służył na froncie jako zwiadowca. Został doradcą ds. polityki informacyjnej ukraińskiego przedstawiciela w Trójsstronnej Grupie Kontaktowej, zajmującej się uregulowaniem konfliktu w Donbasie. Podczas kampanii prezydenckiej w 2019 r. mylnie przewidywał zwycięstwo Poroszenki, krytykując przy tym Zełenskigo. Ale półtora roku po wy-

borach został współpracownikiem Andrija Jermaka, prawej ręki prezydenta.

Z antyzachodnią retoryką zerwał już dawno. Jednak przy tym flirt z rosyjskim imperializmem wiele go nauczył. I zainspirował do obmyślenia koncepcji ukraińskiej odpowiedzi na ów imperializm. Koncepcji pokonania Rosji jej własną bronią. Latem tego roku w rozmowie z Dmitrijem Bykowem, znanym rosyjskim pisarzem i opozycjonistą, wychwalał Związek Sowiecki jako państwo pod wieloma względami doskonałe. Wyraził niepopularną w swoim kraju opinię, zgodnie z którą Ukraina nie była kolonizowana przez ZSRS. Nie oznacza to jednak, że Arestowycz, wzorem swojego dawnego kolegi Dugina, uważa Ukraińców za część narodu rosyjskiego. Przeciwnie – zdaniem Arestowycza Ukraina sama współtworzyła ZSRS, podobnie jak wcześniej współtworzyła Imperium Rosyjskie. Wielu Ukraińców należało do elit władzy obu mocarstw. Związkiem Sowieckim u szczytu potęgi rządził „klan dniepropietrowski” na czele z Leonidem Breżniewem. Gdy zaś Piotr Wielki na początku XVIII w. europeizował Rosję i nadał jej oficjalną nazwę „imperium”, jego otoczenie stanowili postępowi, prozachodni intelektualiści z lewobrzeżnej Ukrainy (którą pół wieku wcześniej Moskwa oderwała od Rzeczypospolitej). Arestowycz przekonuje wręcz, że to Ukraińcy wymyślili zarówno mocarstwową Rosję, jak i Związek Sowiecki. A zatem powinni nie tyle się od tej spuścizny odciąć, ile walczyć o nią ze współczesnymi władzami na Kremlu.

Tezy przedstawione w wywiadzie dla Bykova nie są niczym nowym. Już kilka miesięcy przed inwazją Arestowycz propozycyjnie zaproponował zmianę nazwy państwa na Ruś-Ukrainę. W języku rosyjskim są dwa określenia na Rosjanina: Rossijanin, czyli obywatel państwa, oraz russkij, czyli etniczny Rosjanin. „Trzeba odebrać im markę russkich” – przekonywał Arestowycz. Czyli przejąć spuściznę już nie tylko po ZSRS czy imperium założonym przez Piotra Wielkiego, lecz także po Rusi. Jak wiadomo, Moskwa i Kijów o tę tradycję od dawna się spierają. Wszystkie trzy wschodniosłowiańskie narody wyrosły z jednego wspólnego pnia – wczesnośredniowiecznej prawosławnej Rusi, ze stolicą najpierw krótko w Nowogrodzie (dziś Rosja), następnie w Kijowie, który w latopisach nazywany był „matką grodów ruskich”. Moskwa jako centrum przyciągania wschodnich Słowian

urośli w siłę kilka wieków później. Dlatego, według Arestowycza, Ukraina powinna zmienić nazwę i pokazać światu, że ona jest „prawdziwą Rusią”. Szczególnie że Rosja to dziś państwo wieloetniczne, gdzie wschodniosłowiański, ruski (russkij) komponent jest jednym z wielu.

TROLLLOWANIE MOSKWY

Pomysł Arestowycza to bardziej „trollowanie” Moskwy (sam pomysłodawca tak to określił) niż konkretny polityczny plan. Może mieć jednak spore znaczenie propagandowe. Podobno wielu młodych Rosjan jest zafascynowanych ukraińskim bohaterstwem na froncie. Opór południowo-wschodnich regionów kraju przed najeżdżcą pokazał, że również rosyjskojęzyczni Ukraińcy nie chcą być poddanymi Putina. Co prawda, Arestowycz chce, by to ukraiński był językiem urzędowym nowej Rusi. Przy tym jednak opowiada się przeciwko rugowaniu języka rosyjskiego (którym sam się głównie posługuje). Jego zdaniem Rosjan do nauki ukraińskiego należy przekonywać, argumentując, że mową tą posługiwano się już w dawnej Rusi.

Zełenski w swoich wystąpieniach wiele razy odwoływał się do tradycji wielkiej wojny ojczyznianej, porównując inwazję do napaści III Rzeszy na ZSRS. Choć idea zmiany nazwy jest zbyt radykalna, by zyskać poparcie władz, to sam kierunek myśli Arestowycza zdają się popierać nie tylko obecny prezydent, lecz także jego poprzednicy (poza Poroszenką). To właśnie na prośbę Krawczuka, Kuczmy i Juszczenki Zełenski ustanowił Dzień Ukraińskiej Państwowości jako święto obchodzone w rocznicę chrztu Rusi.

Niezadowolony w Rosji zdaje się rosnać. Odwołując się do wspólnych, rosyjsko-ukraińskich tradycji, Kijów może przekonać część Rosjan, że Ukraińcy to nie naziści i banderowcy, tylko prawdziwi Rosjanie (Rusini), a zatem, że warto im kibicować. Według Arestowycza Ukraina buduje tożsamość na rusofobii, która paradoksalnie jeszcze bardziej ją od Rosji uzależnia. W pewnym sensie zgadza się z Putinem, że Ukraina to anty-Rosja. Wyciąga z tego jednak inny wniosek niż władca Kremla. Putin chce Ukrainę zniszczyć, a Arestowycz – uczynić z niej lepszą Rosję, która tę gorszą pokona albo nawet ją zastąpi. Być może kiedyś ta publicystyczna idea nabierze politycznych kształtów. Autor bowiem już zapowiedział start w kolejnych wyborach prezydenckich, jeśli Zełenski nie zdecyduje się na reelekcję.



Witold Repetowicz

W Iranie od dawna narasta niezadowolone społeczne. Obecna fala zamieszek rozpoczęła się po zakatowaniu 22-letniej Mahsy Amini. Szybkość ich rozprzestrzeniania się oraz skala robią wrażenie, ale mówienie o rewolucji jest jeszcze przedwczesne. Problem w tym, że brak jest liderów tego ruchu oraz jasnej alternatywy. Islamska Republika nie upadnie też bez rozlewu krwi na masową skalę

Zgodnie z teorią rewolucji wybuchają one wówczas, gdy panujący reżim okazuje niezdecydowanie i próbuje rozładować niezadowolone społeczne ustępstwami, a nie wówczas, gdy odpowiada terrorem. Rewolucjonizm ma przy tym długą tradycję w Iranie. Na początku XX w. wybuchła tzw. rewolucja konstytucyjna, która zmiotła z tronu panującą od końca XVIII w. dynastię Kadżarów. Nawiasem mówiąc, w 1906 r. rewolucjoniści doprowadzili do uchwalenia konstytucji, która była bardzo demokratyczna jak na ówczesne warunki, i to nie tylko z perspektywy Azji, lecz także Europy. Prawa wyborcze były wprawdzie ograniczone do mężczyzn, ale pamiętajmy, że w Wielkiej Brytanii kobiety uzyskały te prawa dopiero w 1918 r., a w USA – w 1920 r. Jest to istotne z punktu widzenia obecnych prodemokratycznych wystąpień, gdyż w świetle ówczesnych dążeń Irańczyków nieporozumieniem wydaje się teza, że demokracja nie pasuje do tej części świata i jest konstruktem obcej kultury. Warto też pamiętać, że w latach 1943–1952 odbywały się w Iranie w miarę wolne wybory i to USA, przeprowadzając zamach stanu w ramach operacji „Ajaks”, doprowadziły do zdławienia irańskiej demokracji w zarodku.

Zgodnie z teorią „efektu motyla” niektóre wydarzenia mogą rodzić skutki nieproporcjonalne do swojego znaczenia. W sierpniu 1978 r. doszło do podpalenia kina Rex w Abadanie i do dziś nie wiadomo, czy była to prowokacja tajnej policji szacha (jak głosiła ówczesna opozycja) czy



Demonstracja zwolenników irańskiego rządu i sił bezpieczeństwa zorganizowana po tym, gdy w kraju wybuchły protesty po śmierci 22-letniej kobiety przetrzymywanej w areszcie w Teheranie, 23 września 2022 r. FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

Irańskie rewolucje

zamach terrorystyczny rewolucjonistów. W każdym razie tragedia ta uważana jest za bezpośrednią przyczynę rewolucji, która kilka miesięcy później zmiotła szacha z tronu i doprowadziła do ustanowienia Islamskiej Republiki. Śmierć Mahsy Amini to również tragiczne wydarzenie, które jednak w normalnych warunkach nie doprowadziłoby ani do rewolucji, ani do wystąpień na taką skalę, jaką obserwujemy obecnie w Iranie. Problem w tym, że w Iranie nie ma normalnych warunków, więc pytanie, czy może być to „efekt motyla”, pozostaje otwarte. Warto również dodać, że sukces rewolucji wynikał w dużej mierze z niezdecydowania szacha w pierwszej jej fazie, co doprowadziło do wrażenia słabości reżimu, wpisując się w ten sposób we wspomnianą na początku teorię rewolucji.

ZIELONE CHUSTY MUSAWIEGO

Prodemokratyczny sprzeciw wobec ustanowionego w 1979 r. systemu Islam-

skiej Republiki po raz pierwszy na większą skalę miał miejsce w 1999 r. W tym czasie w dorosłość wchodziło pokolenie porewolucyjne, a protesty wybuchły na uniwersytecie w Teheranie i na innych uczelniach. Dwa lata wcześniej prezydentem został Mohammad Chatami, który zaczął wprowadzać ostrożne reformy i rozwijać relacje Iranu z Zachodem. Protestujący studenci widzieli w Chatamim swojego przywódcę, ale ten odciął się od nich w decydującym momencie i pod naciskiem Najwyższego Przywódcy Alego Chameneia poparł siłowe rozwiązanie. Liderzy tych protestów zniknęli w irańskich kazamatach. Dokładnie 10 lat później doszło do największego dotąd wstrząśnięcia fundamentami Islamskiej Republiki. Po wyborach ogłoszono reelekcję zniechęconego przez młode pokolenie Irańczyków antyzachodniego Mahmuda Ahmadineżada, ale zwolennicy jego konkurenta Mir-Hosejna Musawiego uznali, że wybory były sfałszowane.

Paradoksem jest to, że Ahmadineżad jest obecnie całkowicie odstawiony na boczny tor, a wielu jego najbliższych współpracowników siedzi w więzieniu. Natomiast Musawi, który był nadzieją pragnących demokratycznych reform Irańczyków, nie był żadnym wieloletnim dysydem, lecz jednym z najbliższych współpracowników twórcy Islamskiej Republiki Ruhollaha Chomejniego i premierem Iranu w latach 1981–1989.

„Zielony ruch”, gdyż tak zostały nazwane protesty, w związku z zielonymi chustami noszonymi przez zwolenników Musawiego, miał zatem bardzo wyraziste przywództwo polityczne. Co więcej, Musawi miał wielu zwolenników wśród ajatollahów w religijnej stolicy Iranu – Kom. Protesty poparł m.in. Wielki Ajatollah Hosejn Ali Montazeri, w swoim czasie typowany na następcę Chomejniego. Warto przy tym wyjaśnić, że zgodnie z panującym w Iranie systemem welajate fakih oprócz klasycznych instytucji, takich jak prezydent, rząd czy parlament, istnieje system nadzorczy z Najwyższym Przywódcą na czele (którym od 1989 r. jest Ali Chamenei). Wbrew obiegowej opinii nie są to „rządy ajatollahów”, bo wielu z nich jest krytycznie nastawionych do tego systemu, przynajmniej w obecnej jego formie, a w 2009 r. dochodziło do ataków prorządowych bojówek na biura popierających protesty ajatollahów. Kluczowe znaczenie ma Rada Strażników, której skład jest kontrolowany przez Najwyższego Przywódcę, a która dyskwalifikuje kandydatów we wszystkich wyborach, jeśli uzna, że nie spełniają odpowiednich warunków.

Chamenei stłumił „zielony ruch”, Musawi od 2009 r. przebywa w areszcie domowym, a Montazeri zmarł w tym samym roku. Łącznie zginęło kilkadziesiąt osób, a kilka tysięcy trafiło do więzień (z których wielu już nie wyszło). Cztery lata później prezydentem został pragmatycznie nastawiony do współpracy z Zachodem Hassan Rouhani, a Chamenei, widząc pogarszającą się sytuację wewnętrzną Iranu, dał zielone światło na zawarcie międzynarodowego porozumienia w sprawie irańskiego programu nuklearnego. Iran znów zaczął się otwierać na Zachód, a poprawa sytuacji ekonomicznej, mimo tylko niewielkich reform wewnętrznych, doprowadziła do znacznego uspokojenia nastrojów. W 2018 r. Donald Trump doprowadził jednak do faktycznego zerwania tego porozumienia

i rozpoczął tzw. politykę maksymalnej presji na Iran, licząc, że doprowadzi to Iran do uległości lub dojdzie w nim do rewolucji. Gwałtowne pogorszenie się sytuacji rzeczywiście doprowadziło do protestów, które wybuchły w 2019 r., jednakże zostały krwawo stłumione.

ROZLEW KRWI

Już po „zielonym ruchu” Rada Strażników zaczęła dyskwalifikować również wpływowe postacie religijno-polityczne systemu, takie jak były prezydent Ali Akbar Haszemi Rafsandżani czy też wnuk założyciela Islamskiej Republiki Hassan Chomeini. Chodziło przede wszystkim o zabezpieczenie sukcesji po starzejącym się Alim Chameneiu, którego rychła śmierć wieszczona jest już od wielu lat. Na razie jednak umierają jego rywale, np. Rafsandżani w 2017 r. Tymczasem fałszywym, jako potencjalny następca Chameneia, stał się Ebrahim Raisi. W czerwcu 2021 r. Rada Strażników dokonała rekordowej dyskwalifikacji wszystkich poważnych konkurentów Raisiego w wyborach prezydenckich, w tym nawet polityków konserwatywnych, zabezpieczając w ten sposób jego wybór, ale powodując spadek oficjalnej frekwencji z 73 proc. w 2017 r. (i 85 proc. w 2009 r.) do 48 proc. Wcześniej w podobny sposób twardego konserwatysty wyeliminowali konkurencję z parlamentu.

Słaba legitymacja władz (nawet jak na warunki irańskie) nałożyła się na inne czynniki sprzyjające wybuchowi. Od co najmniej dwóch dekad coraz więcej Irańczyków nie akceptuje surowych reguł obyczajowych, których symbolem stał się znienawidzony przez wiele Iranek przymus zakrywania włosów. To właśnie rzekomy „zły ubiór” spowodował aresztowanie Mahsy Amini, a w trakcie obecnych protestów chusty są masowo palone. Warto jednak pamiętać, że nie wszystkie Iranki tak to postrzegają, a pod względem religijności Iran jest bardzo podzielony. Ponieważ brak jest wiarygodnych badań opinii publicznej, trudno oszacować, jaka część społeczeństwa popiera system (jest to jednak znaczący odsetek), przy czym niekoniecznie każda osoba religijna akceptuje brutalność represji. Po zabójstwie Mahsy Amini do pociągnięcia do odpowiedzialności winnych wezwali liderzy opozycji wewnętrznej z Chatamim, Chomeinim i byłym wiceprezydentem Eszakiem Dżahangirim na czele.

Po ośmiu dniach protestów liczba ofiar śmiertelnych wahała się między 50 a 150, przy kilkuset aresztowanych. Dla nas może się to wydawać dużo, ale nie ma mowy, by skuteczna rewolucja w Iranie mogła się dokonać bez rozlewu krwi na znacznie większą skalę. Wiele wskazuje na to, że władza sądziła, iż protesty się same wypalą, a ponieważ tak się nie stało, brutalne uderzenie dopiero nastąpi. Słabością protestów jest też brak przywództwa. Kreowana przez niektóre kręgi w USA na liderkę „demokratycznej opozycji” Miriam Radżawi reprezentuje marksistowsko-islamistycznych mudżahedinów ludowych, skompromitowanych w Iranie współpracą z Saddamem Husajnem. Również syn ostatniego szacha Reza Pahlawi nie cieszy się szerszym poparciem Irańczyków.

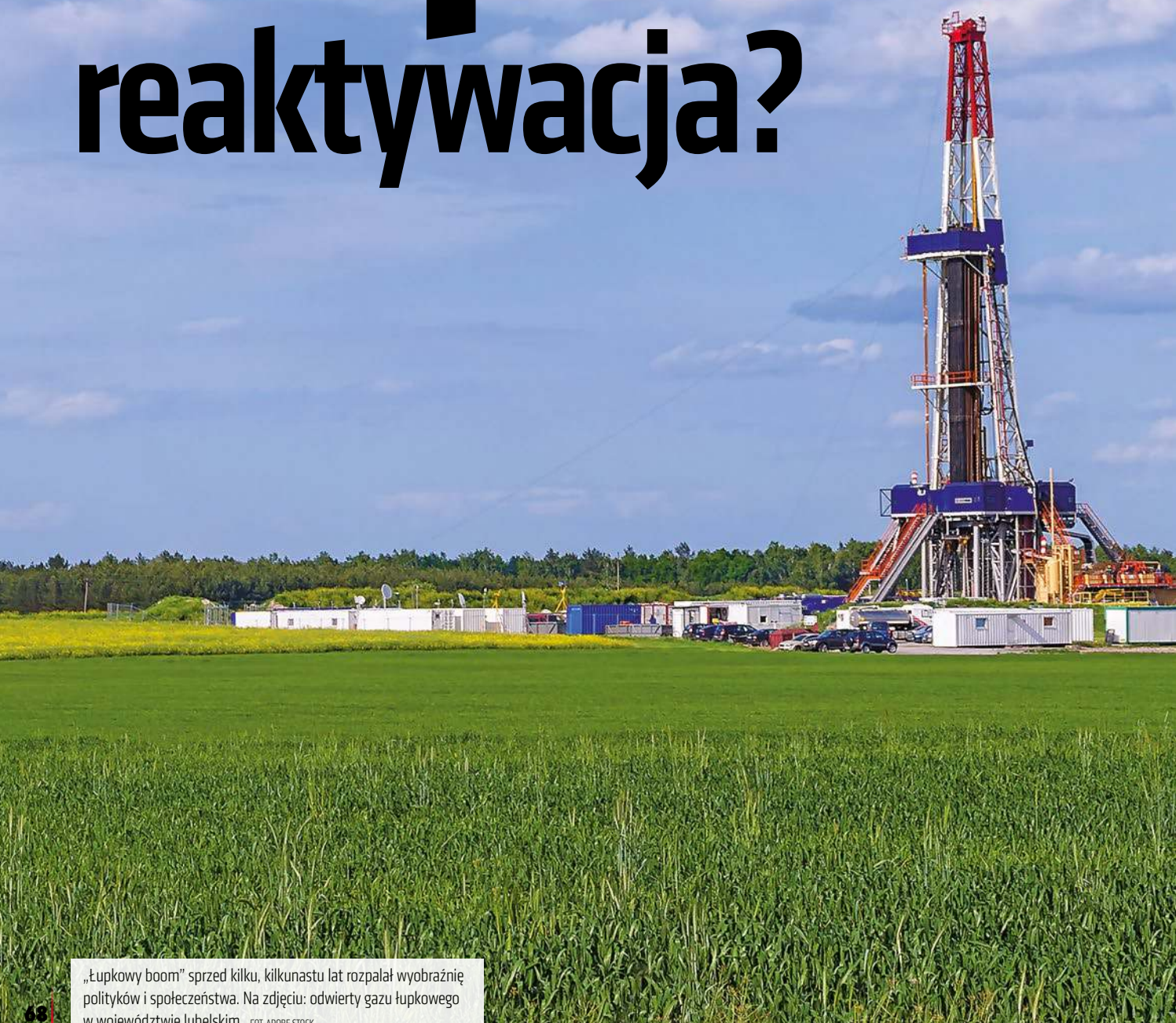
NIEGOTOWI DO USTĘPSTW

Problem również w tym, że alternatywa dla Islamskiej Republiki jest niezbyt jasna. Nie chodzi przy tym o to, że Irańczycy nie dojrżeli do demokracji, lecz o to, że przeciwko systemowi protestują zarówno irańscy nacjonaliści, odwołujący się do starożytnej potęgi tego kraju, jak i separatyści kurdyjscy, beludżyjscy czy arabscy. W 1979 r. było podobnie, ale siły Chomejniego krwawo stłumiły powstanie Kurdów i wyeliminowały rywali: komunistów i mudżahedinów ludowych.

Nie wydaje się, by władze Iranu gotowe były do ustępstw – ani w zakresie reguł obyczajowych, ani tym bardziej politycznych. Od dawna miały one świadomość napięć i dlatego wznowione zostały negocjacje w sprawie reaktywacji umowy dotyczącej irańskiego programu nuklearnego. Pociągnęłoby to za sobą zniesienie sankcji i w konsekwencji, na co liczyli rządzący, poprawę sytuacji ekonomicznej oraz uspokojenie nastrojów. Na razie jednak negocjacje utknęły w martwym punkcie.

Bez przywództwa żadna rewolucja nie ma szans na powodzenie. Nie można jednak wykluczyć, że dojdzie do przesilenia wewnątrz systemu. Niektórzy twierdzą przy tym, że to nie Raisi jest szykowany na następcę Chameneia, lecz syn Najwyższego Przywódcy Modżtaba. Tymczasem na lidera obozu przeciwnego wyrasta Hassan Chomeini, ale jego szanse na przejęcie władzy są na razie małe. Najbardziej prawdopodobny jest więc czarny scenariusz, w którym nastąpią masowe represje, a żadnych reform nie będzie. I na pewno za jakiś czas znów dojdzie do buntu.

Łupki: reaktywacja?



„Łupkowy boom” sprzed kilku, kilkunastu lat rozpałał wyobraźnię polityków i społeczeństwa. Na zdjęciu: odwierty gazu łupkowego w województwie lubelskim FOT. ADOBE STOCK



Jakub Wozinski

Horrendalnie wysokie ceny gazu na europejskich rynkach mogą sprawić, że ponownie odżyje temat wydobycia gazu łupkowego. Przeszkód jest jednak niemało

Mija już 11 lat, od kiedy Polska przeżywała pamiętny „łupkowy boom”, rozpalający wyobraźnię polityków i społeczeństwa.

Posiadając szacunkowo największe na kontynencie złoża (nawet 5 bln m sześć.), mieliśmy się stać europejskim Kuwejtem, a w Sejmie zgłaszano już nawet projekty ustaw regulujących to, na co zostaną wydane pieniądze uzyskane z prowadzonego na wielką skalę wydobycia.

EUFORIA BEZ POZYTYWNYCH EFEKTÓW

Łupkowa gorączka nie była wcale efektem naszego rodzimego chęciństwa, gdyż koncesje na poszukiwanie złóż wykupywały podmioty z całego świata, na czele z San Leon Energy, za którym stały pieniądze funduszu inwestycyjnego BlackRock oraz George’a Sorosa. Sam zaś pierwotny raport, który przedstawiał Polskę jako dosłownie siedzącą na złocie, został przygotowany przez komisję podlegającą amerykańskiemu Departamentowi Energii.

Emocje dość szybko ostudziły jednak badania przeprowadzone przez Państwowy Instytut Geologiczny w 2012 r., które wykazały, że prawdopodobne zasoby gazu łupkowego w Polsce wynoszą nie 5 bln m sześć., lecz co najwyżej 1,9 bln m sześć., a potwierdzone – zaledwie 346 mld m sześć. Zagraniczne firmy błyskawicznie się wycofały, a Polakom pozostały jedynie niespełnione marzenia.

Próbné odwierty prowadziły otąd tylko rodzime podmioty w nadziei, że dzięki wytrwałości i postępowi technologicznemu uda się wreszcie osiągnąć przełom. Zdaniem kierownika Zakładu Geologii Regionalnej w Polskim Instytucie Geologicznym Jarosława Zacharskiego fakt, że do tej pory nie przystąpiono do eksploatacji złóż na dużą skalę, mówi jednak sam za siebie. – W latach 2009–2015 wykonano w naszym kraju 72 otwory nawiercające

formacje łupkowe, o łącznym metrażu ok. 230 km, z czego połowę otworów wykonały firmy polskie – mówi Zacharski. – Wykonano przy tym kilkanaście zabiegów tzw. szczelinowania hydraulicznego, które w założeniu mają wspomagać proces wydobycia. Firmy sektora naftowego prowadzące prace poszukiwawcze w tym okresie bardzo rzadko informowały o uzyskiwanych wynikach. W efekcie tych prac dotychczas nie zostało udokumentowane żadne złożo gazu ziemnego lub ropy naftowej na terenie naszego kraju. Tym samym można domniemywać, że podjęte próby uzyskania ciągłych, komercyjnych przyływów węglowodorów nie dały pozytywnych efektów, mimo początkowo obiecujących wyników.

Innymi słowy, dotychczasowe próby pozyskiwania gazu łupkowego w Polsce napotykały barierę w postaci nieopłacalności. Na tę kwestię uwagę zwracali już w 2011 r. Amerykanie, którzy przekonywali, że średni koszt odwiertu jest w Polsce nawet dwu- lub trzykrotnie wyższy niż w USA. Wpływ na to miały m.in. brak odpowiedniej infrastruktury, sieci gazociągów oraz kwestie prawne związane z własnością terenów, na których prowadzone są odwierty. Nasze polskie złoża szybko poszły w odstawkę, a tymczasem w Stanach Zjednoczonych miała miejsce „łupkowa rewolucja”, w wyniku której Amerykanie nie tylko zapewnili sobie dostęp do tanich paliw kopalnych na lata, lecz także zaczęli je eksportować na cały świat. Na dodatek odkryte w USA złoża przyczyniły się do zalanía rynku znacznymi ilościami taniego surowca i spadku cen, co jeszcze bardziej pogłężyło kwestię wydobycia łupków w Polsce i Europie.

NIEOCZEKIWANY ZWROT AKCJI

Bardzo długo wydawało się, że temat gazu łupkowego jest definitywnie zamknięty, a jego wydobycie jest możliwe głównie w USA. Na dodatek nawet amerykański przemysł łupkowy przeżywał w ostatnich miesiącach bardzo trudne chwile ze względu na skrajnie zielony kurs prezydenta Bidena. Narastający kryzys energetyczny oraz rosyjska agresja na Ukrainę doprowadziły jednak do nieoczekiwanego zwrotu akcji, a łupki zaczynają być znowu brane na poważnie jako przedmiot eksploatacji na dużą skalę.

Pokazuje to choćby przykład Wielkiej Brytanii, która jeszcze w 2019 r., na fali ekologicznego ikonoklazmu, zade-

klarowała chęć całkowitego rozbratu z pozyskiwaniem gazu łupkowego, lecz już wiosną tego roku ogłosiła zamiar sprawdzenia opłacalności jego eksploatacji na większą skalę. Żadne konkretne decyzje jeszcze w tym temacie nie zapadły, lecz przywództwo Partii Konserwatywnej wydaje się być nastawione wobec łupków dość przychylnie.

Również w Stanach Zjednoczonych administracja Bidena została zmuszona do udzielenia większej liczby pozwoleń na poszukiwania gazu niż do tej pory, a cała branża przeżywa okres prawdziwego boomu. Firmy wydobywcze przerzucają się nawet masowo z ropy naftowej na gaz z łupków, gdyż jego eksport jest w tej chwili szczególnie opłacalny.

się z pewnymi wyzwaniem. – Wysokie ceny gazu, które przez następny rok i prawdopodobnie jeszcze jeden zapewne nie spadną do poziomu z lat 2014–2015, mogą być stymulantem ponownego otwarcia poszukiwań niekonwencjonalnych oraz konwencjonalnych złóż gazowych w kraju – uważa Nagy. – Ale trzeba pamiętać, że takie zmiany wymagają po pierwsze: strategicznych decyzji i otwarcia się przedsiębiorstw i po drugie: przygotowania się na zwiększone koszty związane z poszukiwaniami. Wiemy bowiem, że takie poszukiwania i rozpoznanie złóż nie są tanie i wymagają czasu. Nie wiadomo, czy polskie przedsiębiorstwa są w stanie to udźwignąć. Do tej pory zajmowały się tym trzy polskie firmy: PGNiG

Skoordynowany lobbing przeciwko łupkom był prowadzony od wielu lat, czego dowodem były choćby zgłaszane przez NATO już w 2014 r. ostrzeżenia, że za działaniami organizacji środowiskowych protestujących w całej Europie przeciwko poszukiwaniom złóż stoi Moskwa. Niestety jednak, jak w większości tego typu przypadków, sprawa nie została nigdy do końca wyjaśniona.

W tym kontekście na porażkę łupków w Polsce można dziś patrzeć z zupełnie innej perspektywy. Po wycofaniu się większości koncesjonariuszy z poszukiwań pojawiło się wiele krytycznych głosów z kraju i zagranicą, wskazujących na to, że poprzednia ekipa rządząca – delikatnie mówiąc – nie uczyniła wszystkiego, co w jej mocy, aby wydobyć gaz łupkowy w Polsce doszło do skutku. W tej sprawie powstały m.in. krytyczny raport naukowców z Polskiej Akademii Nauk czy też raport Najwyższej Izby Kontroli.

Także w branżowej prasie amerykańskiej pojawiły się artykuły przedstawiające nieudane poszukiwania w Polsce jako efekt czynników natury technicznej, prawnej oraz politycznej. – Pamiętamy, że w 2011 r. zmieniono zapisy dotyczące poszukiwań i uzyskiwania koncesji na eksploatację w ustawie Prawo geologiczne i górnicze, które w pewien sposób odstraszyły potencjalnych inwestorów i firmy biorące udział w poszukiwaniach. Między innymi wprowadzono dodatkowe opodatkowanie przyszłych (niepewnych) zysków firm naftowych związanych z wydobywaniem po roku 2020 – przypomina prof. Nagy.

Gdyby więc obecnie polskie władze chciały na poważnie powrócić do tematu poszukiwań złóż gazu łupkowego zapewniających rentowność wydobywania, konieczna byłaby całkowita zmiana podejścia do tematu. Zdaniem Jarosława Zacharskiego z PiG przede wszystkim należałoby się pogodzić z tym, że nasze zasoby są dużo mniejsze i dostępne na mniejszym obszarze niż pierwotnie zakładano.

– Biorąc pod uwagę wyniki wykonanych wierceń oraz porównując główne parametry geochemiczne, petrofizyczne czy geomechaniczne skał, uzyskane z badań laboratoryjnych z tymi występującymi w najlepszych basenach naftowych w USA czy Kanadzie, należy stwierdzić, że obszar traktowany dotychczas jako najbardziej perspektywiczny należałoby znacznie ograniczyć, tylko do niewielkich stref – zauważa Zacharski. – Pytanie, czy w tych strefach jest szansa na udokumentowanie

Faktu, że w Polsce wydobyć gazu łupkowego jak dotąd w ogóle się nie udało, nie sposób jednak tłumaczyć wyłącznie kwestiami natury technicznej czy ekonomicznej. Jak wszyscy dobrze wiemy, w sektorze energetycznym wielką rolę odgrywa także polityka

Czy zatem również w Polsce warunki dojrzały wreszcie do tego, aby uczynić eksploatację naszych rodzimych zasobów opłacalną? Amerykańscy specjaliści przewidywali w 2016 r., że stanie się to możliwe w perspektywie pięciu lat. Przedstawiciele Ministerstwa Klimatu i Środowiska w ostatnich miesiącach przyznawali w mediach, że warto powrócić do tematu gazu łupkowego, gdyż moglibyśmy w ten sposób uzupełnić swoje braki. Wypowiedzi te nie znajdują jednak jak dotąd odzwierciedlenia w podejmowanych działaniach. Jak przekonuje Jarosław Zacharski z Polskiego Instytutu Geologii, problemem jest głównie to, że w Polsce wciąż nie udało się uruchomić wydobywania zapewniającego rentowność całego przedsięwzięcia: – Na obecnym etapie trudno zestawiać opłacalność wydobywania z cenami gazu, gdyż w żadnym z przebadanych obszarów nie uzyskano odpowiedniej wydajności z otworu, która uzasadniałaby dokumentowanie odkrytych zasobów i przejście do fazy produkcji. Bez osiągnięcia nawet wstępnej, jakiegokolwiek produkcji trudno oceniać jej opłacalność.

Zdaniem prof. Stanisława Nagiego z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie kwestia powrotu do koncepcji wydobywania gazu łupkowego w Polsce jest jak najbardziej otwarta, choć wiąże

SA, Orlen Upstream SA i częściowo Lotos Petrobaltic, a w tej chwili pozostanie tylko jedna – PKN Orlen. Trzeba niestety zauważyć, że aktualne – rynkowe – zakupy gazu „spotowego” pochłaniają ostatnio znaczne środki finansowe i nie wiadomo, czy będzie w ogóle możliwość kredytowania takich poszukiwań.

WIĘCEJ NIŻ EKONOMIA

Faktu, że w Polsce wydobyć gazu łupkowego jak dotąd w ogóle się nie udało, nie sposób jednak tłumaczyć wyłącznie kwestiami natury technicznej czy ekonomicznej. Jak wszyscy dobrze i boleśnie wiemy, w sektorze energetycznym wielką rolę odgrywa także polityka.

W kwietniu niemiecki dziennik „Die Welt” opublikował artykuł, w którym opisał, że rosyjski rząd przekazał europejskim organizacjom na rzecz ochrony klimatu aż 82 mln euro, aby skutecznie sabotowały produkcję gazu w Europie. Tych sensacyjnych doniesień nie sposób nie wiązać z prowadzoną jeszcze w 2020 r. przez Komisję Europejską wielką kampanią przeciwko importowi gazu LNG z USA pod pretekstem chęci ograniczania emisji metanu. Ówczesne analizy eurokratów wskazywały jednocześnie, że dużo bardziej ekologiczny miał być gaz dostarczany przez Gazprom.

Jeśli rząd zdecyduje się kiedyś na reaktywację projektu wydobywania gazu łupkowego w Polsce, a w reakcji na to podniesie się larum przedstawicieli organizacji klimatycznych, to będzie to można uznać za znak potwierdzający słuszność podjętych kroków

zasobów i ich przyszłą eksploatację, jest wciąż otwarte. Pamiętać jednak należy, że możliwość uzyskania komercyjnego przyływu ropy naftowej czy gazu ziemnego ze skał o bardzo niskich własnościach zbiornikowych, jakimi są łupki, wymaga spełnienia wielu warunków geologicznych oraz stosowania specjalnych technologii udostępniania złóż, w tym szczelinowania hydraulicznego. W związku z uzyskiwanymi wynikami prac wiertniczych szacuje się, że zasoby węgłowodórów w łupkach będą zdecydowanie niższe niż te wskazywane w pierwszych raportach.

Profesor Stanisław Nagy zaleca także, aby nie nastawiać się na natychmiastowe skutki. – Gdyby nastąpił powrót do poszukiwań, należałoby najpierw wykonać analizę działalności wszystkich firm naftowych, które operowały w Polsce w latach 2008–2015 – postuluje. – W szczególności dotyczy to basenu bałtyckiego, który moim zdaniem może jako pierwszy stać się przedmiotem ponownej eksploatacji. Należałoby wrócić ponownie do badań związanych z koncesjami m.in. Conoco Philips czy też PGNiG w kontekście zarówno weryfikacji użytych narzędzi diagnostycznych, ich interpretacji, jak i samych procesów szczelinowania/stymulacji wywierconych odwiertów. Pamiętajmy, że w czasach, gdy miał miejsce pierwszy boom łupkowy, firmy dopiero uczyły się nowych technologii i w dużej mierze proces rozpoznania polegał na nauce. Wyobrażano sobie, że sukces związany z wydobyciem gazu będzie szybki – uda się rozpocząć wydobycie w ciągu roku, maksymalnie dwóch–trzech lat, a tymczasem w USA dostosowanie do właściwych technik trwało wiele lat – dodaje. I przypomina, że Stany Zjednoczone pierwsze badania związane z łupkami rozpoczęły w latach 80., a pierwsze sukcesy na złożu Barnett w Teksasie osiągnęły w 1997 r.

SZANSE NA DRUGI BOOM

Drugi „boom łupkowy” w Polsce jest zatem możliwy, ale wymagałby tym razem konsekwencji, cierpliwości,

przyjęcia długofalowej perspektywy, skutecznego zwalczania dezinformacji organizacji środowiskowych oraz odpowiedniego lobbingu na arenie międzynarodowej oraz... podjęcia ryzyka finansowego. Próbną odwiert są długie i kosztowne, a na dodatek – jak wskazuje prof. Stanisław Nagy – wiązać się z pewnymi dodatkowymi komplikacjami. – Aby przedsięwzięcia były ponownie gotowe do prowadzenia poszukiwań, muszą się przygotować od strony operacyjnej – mówi Nagy. – Jednostki służące do szczelinowania nie są dziś dostępne tak łatwo, jak choćby 10 lat temu i jest to choćby jeden z czynników mogących powodować trudności techniczne.

Pierwotne szacunki sprzed dekady wskazywały, że możemy mieć zasoby wystarczające nam na nawet 300 lat. Dziś wiemy, że tak z pewnością nie jest, ale nawet gdyby udało się uruchomić wydobycie zapewniające dostawy gazu na 15–20 lat, to i tak gra jest warta świeczki. Obecny kryzys energetyczny pokazuje, że własne zasoby surowców są na wagę złota.

W parze z ewentualną reaktywacją programu łupkowego powinny iść także odpowiednie działania na rzecz zapewnienia całemu przedsięwzięciu odpowiedniego wizerunku w kontekście forsowanej obecnie radykalnej polityki klimatycznej (nawet pomimo faktu, że w świetle przyjętej przez Unię Europejskiej taksonomii gaz łupkowy jest uważany za zrównoważone źródło energii).

Wbrew temu, co na temat wydobywania gazu łupkowego miały przez lata do powiedzenia organizacje wspierane finansowo przez Kreml, eksploatacja złóż nie stanowi żadnego zagrożenia dla środowiska naturalnego.

– W trakcie prowadzonej kampanii łupkowej Państwowy Instytut Geologiczny–Państwowy Instytut Badawczy aktywnie włączał się w monitoring skutków oddziaływania prac poszukiwawczych na środowisko naturalne, i to zarówno w trakcie prac wiertniczych, jak i w trakcie wykonywania szczelinowania hydraulicznego. Wszelkierne badania powietrze

atmosferyczne, powietrze zawarte w glebie, wody powierzchniowe, użytkowe wody podziemne, glebę, poziom hałasu i drgania gruntu – opowiada Jarosław Zacharski. – Szczególną uwagę poświęcono występowaniu głównego składnika gazu ziemnego – metanu oraz promieniotwórczego gazu radonu. Wszystkie prace prowadzone były z zachowaniem środków minimalizujących możliwość negatywnego oddziaływania na wody podziemne. Ocenie poddano też gospodarkę odpadami i wodą technologiczną. Wszystkie wykonywane badania i analizy nie wykazały żadnych istotnych zmian ani znaczącego wpływu na środowisko naturalne. Wyniki te były zbieżne z raportami przekazywanymi przez inwestorów prowadzących prace poszukiwawcze.

Jeśli więc rząd zdecyduje się kiedyś na reaktywację projektu wydobywania gazu łupkowego w Polsce, a w reakcji na to podniesie się larum przedstawicieli organizacji klimatycznych, to będzie to można uznać za znak potwierdzający słuszność podjętych kroków. Najważniejsze pytanie brzmi jednak oczywiście, czy rząd rzeczywiście czyni cokolwiek w kwestii powrotu do poszukiwań gazu łupkowego. Zapytywane w tej kwestii Ministerstwo Klimatu i Środowiska nie udzieliło „Do Rzeczy” jednoznacznej odpowiedzi, wskazując jednak na to, że na opłacalność całego przedsięwzięcia oprócz wysokich cen gazu znaczący wpływ ma także wykorzystywana technologia. Amerykańska metodyka szczelinowania łupków okazała się nieefektywna z uwagi na odmienne parametry zbiornikowe łupków występujących w Polsce, w tym plastyczność skał i występujące w nich minerały ilaste oraz ich reakcję na płyny szczelinujące. Oznacza to, że cały projekt obarczony jest niemałym ryzykiem i proporcjonalnie do niego wysokimi kosztami.

Mądrzejsi o błędy popełnione w okresie pierwszego „łupkowego boomu” możemy dziś na spokojnie powrócić do poszukiwań, gdyż są ku temu bardzo racjonalne powody. O wiele bardziej kosztowne niż poszukiwanie łupków mogą się bowiem okazać beczyność i liczenie jedynie na zawsze niepewne dostawy surowca z zagranicy. W sytuacji, gdy nad głowami wisi nam miecz unijnej polityki klimatycznej, polski rząd powinien dwoić się i troić, aby zapewnić możliwie jak największy dostęp do rzetelnych i tanich paliw kopalnych.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Brawo,
konfederata!

PiS powinno wstrzymać programy socjalne, które mają Polakom pomóc wiązać koniec z końcem. Problem w tym, że właśnie te programy doprowadzają do wzrostu cen – oznajmił w rozmowie z portalem DoRzeczy.pl Artur Dziambor, poseł Konfederacji z partii Wolnościowcy.

Jakże wielkim nieszczeniściem Polski w ostatnich latach jest to, że tego typu opinie pojawiają się u nas tak rzadko; że takie oczywistości – jasne jak słońce dla każdego, kto zna elementarne zasady działania gospodarki – właściwie wyparowały z przestrzeni publicznej, w ogóle nie są przedmiotem debaty, która powinna poprzedzać każdą decyzję parlamentu czy rządu o wydawaniu publicznych pieniędzy.

Aoczywiście nie poprzedza, bo przestrzeń publiczna zdominowana została u nas prawie w całości – niemal od prawa do lewa – przez populistów, traktujących drenowanie kieszeni podatników i wyciąganie im z nich pieniędzy, zrzucających potem przez rząd z helikoptera wszystkim „potrzebującym” (na „wakacje kredytowe”, na bony wakacyjne, na węgiel, na pellet, na olej, na dzieci, na emerytów, na walkę z COVID, na, na, na), jako wręcz „święty nakaz moralny”. Niepodważalny, niepodlegający żadnej dyskusji. A kto takiej dyskusji chciałby, ten zdradca, ruska onuca i agent Berlina, a na dodatek miłośnik Balcerowicza, czyli po prostu najgorszy sort.

I nie chodzi w tym przypadku nawet o debatowanie

nad tym, czy wspieranie jednych pieniędzmi wydzieranymi innym – często dużo biedniejszym i bardziej potrzebującym wsparcia niż owi beneficjenci zasiłków, wybierani do obdarowania przez rząd – jest właściwe, godne pochwały z moralnego punktu widzenia. Rzecz w tym, że w Polsce nie toczy się też debata na ten temat w tak dla niej elementarnym kontekście, na który zwrócił uwagę poseł Dziambor – czy te zasiłki w ogóle w jakikolwiek sposób pomagają tym, którym zgodnie z intencją rządu mają pomóc, czy wręcz przeciwnie – szkodzą im, np. nakręcając inflację, na której to oni zawsze tracą najwięcej.

I nie mam, niestety, żadnych złudzeń, że dyskusję taką w którymś momencie odważą się zainicjować głównie konkurenci PiS do władzy, czyli liderzy PO, którzy już dawno temu, jeszcze w czasach, gdy ich partia była u władzy, niemal całkowicie rozstali się ze swymi liberalnymi ideałami.

A jedyne ugrupowanie, w którym tego typu – tego typu jak posła Dziambora – głosy można spotkać, ma wciąż więcej niż ograniczone szanse na sięgnięcie po władzę. Zresztą w znacznej mierze właśnie z tego powodu, że takie poglądy jego politycy podzielają. Przytłaczająca większość Polaków dała sobie bowiem wmówić, że populizm nie prowadzi – prędzej czy później – do bankructwa państwa i ich własnej biedy. A prowadzi – o czym niedługo wszyscy się boleśnie przekonamy. A właściwie już się zaczynamy przekonywać. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Transatlantic
Trends 2022

Coroczne badanie opinii publicznej Transatlantic Trends, przygotowane przez German Marshall Fund for the US – prestiżowy think tank, działający od lat również w Polsce – przynosi często zaskoczenia. Jako że pytania zawsze dotyczą aktualnych spraw międzynarodowych, okazuje się nierzadko, że ludzie widzą te sprawy odmiennie, niż moglibyśmy się spodziewać. Nie inaczej jest tym razem.

Opinie publiczną przepytano w 14 państwach: Niemcy, Francja, Wielka Brytania, Hiszpania, Portugalia, Polska, Rumunia, Włochy, Turcja, Holandia, Stany Zjednoczone, Kanada, Litwa, Szwecja. Pierwsze zaskoczenie pojawia się przy ocenie wpływu

państwo, po połowie dekady wskazuje już tylko 37 proc. Bardzo miałyby wzrosnąć wpływ Chin – 25 proc. I, co ciekawe, wpływ Rosji – do 13 proc. Wpływ UE natomiast miałyby spaść (15 proc.). Polacy wpisują się w tę tendencję.

Polska właściwie tradycyjnie ląduje na czele stawki jako kraj, w którym najczęściej osób ocenia pozytywnie wpływ USA na światowe sprawy: w sumie aż 74 proc. w porównaniu ze średnią wynoszącą zaledwie 57 proc. Nie jesteśmy jednak państwem, w którym najczęściej pytanym ocenia negatywnie wpływ Rosji – wyprzedzają nas Portugalia (84 proc.) i Holandia (81 proc.). W Polsce to 80 proc. Co ciekawe, w uznawanych za prorosyjskie Niemczech to też bardzo – 73 proc. – przy 14 proc. ocen pozytywnych (w Polsce 11 proc.). Jak widać, sentyment wobec Rosji w Polsce i Niemczech jest bardzo podobny.

Otrzeźwieniem powinno być dla nas pytanie o to, które państwo jest najbardziej wpływowe w Europie. Na Polskę wskazało średnio zaledwie 3 proc. respondentów. Nawet Amerykanie za znacznie bardziej wpływowe uznają Szwecję czy Hiszpanię.

To, rzecz jasna, tylko kilka punktów z obszernego raportu. No i jest to tylko badanie opinii publicznej. Trzeba jednak pamiętać, że jej nastroje mają wpływ na decyzje polityków. ©

Sentyment wobec
Rosji w Polsce
i Niemczech jest
bardzo podobny

najważniejszych aktorów na scenie międzynarodowej. Dziś bezdyskusyjnie za najbardziej wpływowy kraj uznawane są USA (64 proc.), znacznie przeganiając Unię Europejską (17 proc.) i Chiny (13 proc.). Rosja jest na szarym końcu: 6 proc. Ale według respondentów sytuacja zasadniczo się zmieni w ciągu pięciu lat. Radykalnie spadnie wpływ USA – na nie, jako najbardziej wpływowe

Poznań



HORYZONT

NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl



PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl



NOVA ŁACINA

NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl



www.grupainwest.pl +48 882 818 848

eprasa.pl 27f8e70daa

Aby drewno zostało



Lasy Państwowe wprowadzają regulacje służące temu, by jak najwięcej drewna pochodzącego z polskich lasów zostało przerobione na krajowym rynku. Nowy regulamin sprzedaży na rok 2023 będzie jeszcze mocniej promować tych, którzy zajmują się przerobem surowca drzewnego w Polsce, a nie jego odsprzedażą

Drewno, którego Lasy Państwowe pozyskują rocznie ok. 40 mln m sześć, jest jak koło zamachowe polskiej gospodarki. Cały sektor leśno-drzewny odpowiada za blisko 400 tys. etatów i kilka procent krajowego PKB. Dlatego utrzymanie surowca i jego przerób w Polsce mają niebagatelne znaczenie dla gospodarki. Wywozem drewna z kraju zajmują się prywatne firmy.

– Żaden nabywca nie zgodzi się, żeby sprzedający dyktował mu, co ma zrobić z towarem. Tak samo jest z drewnem z Lasów Państwowych. To autonomiczna decyzja firm, czy je przerobią, odsprzedażą czy zmagazynują – tłumaczy Michał Gzowski, rzecznik prasowy Lasów Państwowych.

Dlatego leśnicy wprowadzają inne rozwiązania, na które pozwala im prawo. Jakże? Promują firmy, które przerabiają drewno, a nie tylko odsprzedażą z zyskiem, by miały one zapewniony jeszcze łatwiejszy dostęp do surowca.

Takie regulacje zostały wprowadzone już w ubiegłym roku. Mowa o kryteriach oceny ofert na zakup drewna, które przedsiębiorcy składali w Portalu Leśno-Drzewnym. O przydziale tego surowca decydowała więc nie tylko cena z oferty, lecz także to, czy przedsiębiorca przerabia drewno i czy robi to na obszarze Wspólnoty Europejskiej. Za cenę Lasy Państwowe przyznawały 85 pkt. 7,5 pkt otrzymywał przedsiębiorca, który zadeklarował, że całość drewna przerobi, i kolejne 7,5 pkt za to, że zrobi to w zakładach ulokowanych na obszarze Wspólnoty Europejskiej. Łącznie za tzw. pozacenowe kryteria oceny oferty można było zdobyć 15 pkt.

Zakupy w Portalu Leśno-Drzewnym to gwarancja nabycia i niższej ceny. To dlatego, że pula drewna przeznaczona do sprzedaży w tym trybie jest zbliżona do tego, co mogą nabyć stali klienci. Nie ma tu więc przeliczowywania się i gwałtownych ruchów cenowych. Dzięki regulacjom antyeksportowym więcej tańszego drewna dostali ci, którzy zajmują się jego przerobem.

Podawanie nieprawdziwych informacji w deklaracjach się nie opłaca. Grozi zerwaniem umów i nałożeniem kar finansowych. Na razie Lasy Państwowe nie mają podstaw do podejmowania takich kroków.

– Kryterium lokalizacji punktu przerobu potwierdziło, że stali klienci, którzy kupują od nas drewno w portalu, to w ogromnej większości firmy, które zajmują się jego przerobem – mówi Józef Kubica, p.o. dyrektor generalny Lasów Państwowych.

Po tak dobrze zapowiadających się efektach wprowadzonych zmian Lasy Państwowe dokonały ewaluacji tego- rocznych doświadczeń i zmodyfikowały pozacenowe kryteria oceny ofert na przyszły rok. Jak widać, takie działanie ma sens – prowadzi do jeszcze lepszego zabezpieczenia interesów naszych przedsiębiorców. Co konkretnie się zmieni?

WIĘCEJ PUNKTÓW NA POZACENOWE KRYTERIA OCENY OFERT

W ocenie ofert, które będzie można składać już od 10 października, na dwa kryteria pozacenowe przeznaczono więcej, bo aż 20 pkt. I tak 10 pkt otrzyma teraz przedsiębiorca, który przerabia całe drewno kupione od Lasów Państwowych. Kolejne 10 pkt może mu zostać przyznane w ramach kryterium „głębokości przerobu”, czyli jego zaawansowania.

Przerób może przybrać różne formy. Z drewna powstają przecież papier, deski czy płyty. Dlatego Lasy Państwowe definiują głębokość przerobu najprościej, jak się da. Jeśli nabywca z większością kupionego drewna zrobi coś więcej niż korowanie, sortowanie bądź konfekcjonowanie, to otrzyma maksymalną liczbę punktów. Przytoczone wyżej czynności dają szansę uzyskania 5 pkt. Jeśli większość drewna jest tylko odsprzedawana, to punktów nie ma.

Co nowa punktacja oceny ofert oznacza dla pośredników, którzy drewno kupione od Lasów Państwowych wysyłają wprost za granicę?

– Stracą aż jedną piątą punktów w stosunku do tych, którzy zajmują się

w kraju



przetwarzaniem drewna. To może się przełożyć na tak samo wysoką redukcję zakupów – mówi Józef Kubica, p.o. dyrektor generalny Lasów Państwowych. – A drewno, którego nie dostaną handlarze-eksporterzy, trafi do firmy, a ta je przerobi.

DEKLARACJE NABYWCÓW O PRZEROBIE DREWNA BĘDĄ JAWNE

W systemie sprzedaży pojawia się jeszcze jedna istotna nowość. Otóż wszystkie deklaracje nabywców, w których poinformują, jaką część drewna przerabiają i w jak zaawansowany sposób, zostaną upublicznione.

– Lista podmiotów, które wezmą udział w procedurach zakupu drewna, zostanie zamieszczona w Internecie. Będą tam wyłącznie jawne dane pozwalające na identyfikację przedsiębiorcy oraz jego deklaracja dotycząca przetworstwa drewna – mówi dyrektor Kubica.

Dyrektor tłumaczy, że w ubiegłym roku do Lasów Państwowych wpływały zgłoszenia na temat firm zajmujących się handlem i eksportem drewna nieprzetworzonego. Wszystkie dotyczyły podmiotów, które albo nie były klientami nadleśnictw, albo uczciwie deklarowały profil swojej działalności, a ich oferty nie otrzymały dodatkowej punktacji.

– Teraz, gdy ktoś poweźmie podobne wątpliwości, będzie mógł je samodzielnie zweryfikować w oparciu o ogólnie dostępną listę – zachęca szef Lasów Państwowych. – Jeśli okaże się, że drewno eksportuje nasz klient, który deklarował co innego, to konsekwencje będą poważne.



Józef Kubica, p.o. dyrektor generalny Lasów Państwowych:

Nie ma wątpliwości, że dla gospodarki najwięcej korzyści przynosi sytuacja, gdy surowce pozyskane w Polsce są też na miejscu przerabiane. Przysparzając miejsc pracy, zwiększamy dochód pracowników i firm, więcej podatków spłynie więc do wspólnej kasy. Dlatego promujemy sprzedaż dla przetwórców drewna i wzmacniamy ich rynkową pozycję.

Sprzedaż drewna z Lasów Państwowych. Na czym to polega?

- Aby dobrze zrozumieć, na czym polegają progospodarcze rozwiązania, warto wyjaśnić, jak Lasy Państwowe sprzedają drewno dla firm.
- Fundamentem sprzedaży jest bezstronność. Lasy Państwowe używają w tym celu **systemu elektronicznego**, który nie faworyzuje ani nie ogranicza nikogo z kupujących. Warunkiem jest rejestracja w systemie sprzedaży.
- Jego podstawą jest gwarancja dostępu do surowca dla stałych klientów. Dlatego aż 70 proc. oferty trafia na **Portal Leśno-Drzewny**. Tu kupują wyłącznie firmy, które posiadają tzw. historię zakupów. Na podstawie tego, co kupiły dotychczas, algorytm wylicza, ile mogą kupić w bieżącym roku. Ten mechanizm sprzyja stabilizacji dostaw i planowaniu produkcji. Właśnie w tym segmencie zakupowym zostały wprowadzone pozacenowe kryteria oceny oferty. O ilości drewna i jego cenie nie decyduje tylko zasobność nabywcy, lecz także produkcyjny profil działalności i lokalizacja firmy.
- Nie wszyscy mają jednak historię zakupów. Firmy, które dopiero wchodzi na rynek, a także te, które potrzebują uzupełnić zakupy w Portalu L-D, mogą kupować przez **aukcje e-drewno**. Na aukcje kierowane jest 30 proc. oferty.
- Sprzedaż w tym trybie odbywa się w dwóch półrocznych turach. Ustalone wówczas ceny i ilości drewna trafiają do umów. Firmy sukcesywnie odbierają drewno i rozliczają zakupy.

Na czym polegają antyeksportowe kryteria oceny ofert zakupu drewna?

Oferta tartaku, który w całości przerabia drewno

100 pkt

Oferta pośrednika, który większość drewna sprzedaje

80 pkt

TEST „DO RZECZY”: PRZENOŚNY PROJEKTOR SAMSUNG FREESTYLE

Eleganckie, minimalistyczne wzornictwo, niewielkie wymiary, banalnie prosta obsługa, cicha praca, możliwość łatwego przenoszenia z miejsca na miejsce i wyświetlania obrazu o przekątnej wynoszącej nawet 100 cali – to największe zalety projektora południowokoreańskiej firmy Samsung.

Lekki, niewielki i solidnie wykonany projektor niemal mieści się w dłoni, a już zupełnie bez trudu można go wrzucić do plecaka czy większej damskiej torebki. Co najważniejsze, ten gadżet jest po prostu bardzo ładny.

Niewielkie urządzenie potrafi wyświetlać obraz o przekątnej od 30 do 100 cali o maksymalnej rozdzielczości 1920 x 1080 (Full HD). I chociaż nie jest to jakość 4K, to po zapadnięciu zmroku lub dokładnym zaciemnieniu pokoju obraz wygląda świetnie. Kolory są żywe i dobrze odwzorowane. Aby za pomocą modelu Freestyle wyświetlać ulubione treści, można szybko połączyć go przez wi-fi z Internetem i korzystać z preinstalowanych aplikacji Smart TV systemu Tizen. Błyskawicznie po podłączeniu i zalogowaniu do popularnych serwisów streamingowych można oddać się przyjemności oglądania filmów w swoim domowym kinie.

A co ze wszystkimi ustawieniami? Otóż projektor sam dostosowuje ostrość i dokonuje korekty trapezu, automatycznie dostosowując się do powierzchni, na której chce się wyświetlać obraz.

Można więc rzeczywiście szybko i łatwo przenosić urządzenie oraz obracać projektor tak, aby np. po wyświetlaniu bajek na suficie w pokoju dziecięcym rzucał obraz na największą ścianę w salonie. Funkcja automatycznej korekty geometrii obrazu oraz automatycznego ustawiania ostrości często działa poprawnie. Projektorowi zdarza się jednak np. poprawnie wyostrzyć napisy tylko po prawej stronie wyświetlanego obrazu i nieco rozmazać szczegóły po lewej. Niekiedy wszystkie litery na nowej powierzchni są bardzo rozmazane, bo urządzenie ma np. problem ze złapaniem ostrości na danej powierzchni. Wówczas można próbować obrócić projektor i liczyć, że tym razem wszystko pójdzie poprawnie.



Urządzenie nie ma bowiem opcji ręcznego dostosowania ostrości czy korekty trapezowej.

Jak na tak lekki i niewielki gadżet projektor ma porządne głośniki o mocy 5 W, z których wydobywają się nie tylko wystarczająco głośne, lecz także nieźle brzmiące dźwięki. Bardzo ciekawy jest też niewielki, ładny i elegancki biały pilot.

Wady? Samsung tuż po premierze próbował sprzedawać ten projektor za 5 tys. zł. Za tak absurdalną cenę odradzałbym zakup, bo takie pieniądze wystarczają na kupno projektora 4K. Najwyraźniej podobne zdanie miało więcej osób, bo cena spadła już do 3499 zł, a do tego przy zakupie można dostać gratisowe etui. Po takiej obniżce Freestyle w kategorii cena/jakość (a zwłaszcza cena/wzornictwo i mobilność) wypada już przyzwoicie.

Inne minusy? Brak wbudowanej baterii, ale można dokupić odpowiedni powerbank, który rozwiązuje ten problem (za 799 zł). Poważną wadą jest też zbyt niska jasność, przez co projektor nie nadaje się do używania w dzień. Kolejny minus: szybciej mógłby działać system operacyjny urządzenia. Mimo tych wad osoby, które często robią imprezy dla znajomych albo chcą móc w każdej chwili przenieść projektor z salonu do pokoju dziecięcego lub do sypialni, powinni być zadowoleni z zakupu, zwłaszcza po obniżonej cenie. Ci, którzy planują po zakupie na stałe wykorzystywać projektor tylko w jednym miejscu, powinni poszukać czegoś mniej mobilnego, ale o lepszej jakości obrazu. © ©

Jacek Przybylski

POTĘŻNY SMARTFON DLA FOTOGRAFÓW

Chiński koncern Huawei postanowił odbić miejsce na podium producentów smartfonów i zaprezentował swój najpotężniejszy model w historii. Mate 50 Pro ma wodoszczelną obudowę (certyfikat IP68), 6,74-calowy ekran OLED o częstotliwości odświeżania 120 Hz. Wyświetlacz został pokryty szkłem Kunlun, które według producenta jest dziesięciokrotnie bardziej wytrzymałe od konkurencyjnych rozwiązań. Smartfon wyposażony jest w potężny procesor Qualcomm Snapdragon 8+ Gen 1 4G. Najciekawszą cechą tego modelu jest jednak system aparatów fotograficznych XMAGE z 10-stopniową fizyczną regulacją przysłony (w zakresie od f/1.4 do f/4), który ma wyznaczać nowe standardy smartfonowej fotografii. Równie potężne, co parametry tego modelu, są też jego ceny. Za wersję z 256 GB pamięci z klasyczną srebrną lub czarną obudową trzeba zapłacić 5999 zł, a za opcję z 512 GB na dane oraz obudową pokrytą wegańską skórą producent żąda już 6499 zł.

Do końca października Huawei do smartfonów dorzuca jednak wartościowe gadżety.



DWA ROBOTY W JEDNYM

Lider w zakresie robotyki użytkowej, firma iRobot, wypuścił na rynek najbardziej zaawansowanego technologicznie robota odkurzającego z funkcją mopowania. Flagowa Roomba Combo i7+ ma według zapewnień producenta doskonale radzić sobie w tych domach i mieszkaniach, w których jednocześnie trzeba zarówno sprzątać i dokładnie mopować twarde podłogi, jak i odkurzać puszyste dywany. Robot automatycznie wykrywa, po jakiej powierzchni się porusza, i w razie potrzeby podnosi nakładkę mopującą, aby nie pobrudzić ani nie zamoczyć dywanów. Jak zapewniają marketingowcy, najnowszy iRobot, gdy rozpozna, że w danym pomieszczeniu są zarówno podłogi miękkie, jak i twarde, najpierw odkurza dywany i wykładziny, a następnie odkurza i mopuje parkiet, panele etc. Robot rozpoznaje również kuwety, zabawki, buty, skarpetki, sznurki oraz zwierzęce odchody. Po zakończeniu sprzątania Roomba może sama opróżnić zbiornik na śmieci w stacji dokującej. Cena: 4999 zł w wersji ze stacją dokującą i 3999 zł bez stacji czyszczącej. © ©



Jacek Przybylski



ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Pasztet idealny

W zeszłym tygodniu podczas targów POLAGRA w Poznaniu odbył się Kulinarny Puchar Polski – najbardziej prestiżowy konkurs w branży gastronomicznej w Polsce. Ma na celu wyłonienie prawdziwych mistrzów smaku, wsparcie ich w dalszym rozwoju zawodowym oraz stworzenie kulinarnego szlaku wiodącego przez kuchnię najlepszych kucharzy młodego pokolenia w Polsce.

Wydarzeniu patronuje m.in. Ogólnopolskie Stowarzyszenie Szefów Kuchni i Cukierni, a jego szef – Jarosław Uściski – osobiście próbuje wszystkich prezentowanych potraw.

Podczas spotkania Klubu Dyplomaty, poświęconego polskim podróżnikom i odkrywcom, które pod koniec września odbyło się w Warszawie (tygodnik „Do Rzeczy” jest patronem tego przedsięwzięcia), Uściski zaproponował uczestnikom z różnych stron świata kilka znakomitych dań. Nam przypadł do gustu pasztet, który podany został w niewielkich szklanych słoiczkach udekorowanych dodatkami. W naszym domu tradycyjnie, zawsze na każde święta, przyrządzano pasztety. Nasza babcia Małgorzata robiła najlepszy pasztet z królika, bo miała swoją przydomową minihodowlę królików. To był rytas, delikatny kremowy, aksamitny zrównoważony smak, idealny – taki, jaki powinien być, a babcia wypiekała go w piecu opalanym drewnem.

Dziś także pieczemy pasztety, wprowadzając już nie w piecu, ale są równie pyszne. Zazwyczaj pieczemy nasz ulubiony pasztet drobiowo-wieprzowy ze słoninką, gdyż uważamy,

że tłuszcz jest najlepszym nośnikiem smaku i nadaje wspaniałą konsystencję – pasztet lepiej się smaruje i jest bardziej aksamitny. Według nas sekretem idealnego pasztetu jest liczba zmielenia mięsa przez maszynkę, my zawsze mieliśmy trzy razy i dla nas jest wówczas idealny.

Przepis na pasztet drobiowo-wieprzowy

- 25 dag karkówki • 25 dag łopatki wieprzowej • 25 dag udzka z indyka • 2 duże udka z kurczaka • 25 dag surowego boczku • 25 dag wątróbki z kurczaka • włoszczyzna, 1 opalona cebula • 2 jajka • 2 czerstwe kajzerki • 2 ząbki czosnku • 4 sztuki ziela angielskiego, 4 liście laurowe, 3 sztuki suszonych grzybków • śmietanka słodka – 100 ml • przyprawy: sól, pieprz, majeranek, gałka muszkatołowa, słodka papryka • 3 łyżki masła do wysmarowania formy, łyżka bułki tartej

Mięso kroimy na drobne kawałki, wkładamy do garnka, zalewamy wodą, doprowadzamy do wrzenia, dodajemy udka z kurczaka i włoszczyznę, opaloną cebulę, czosnek, sól i pieprz; gotujemy ok. 1,5 godziny, na koniec dodajemy wątróbkę i gotujemy jeszcze 10 min.

Odstawiamy garnek w chłodne miejsce do ostygnięcia. Odcedzamy mięso, w pozostałym bulionie namaczamy kajzerki. Mięso razem z kajzerkami i wątróbką mielimy w maszynce do mielenia trzy razy (można też zmielić marchewkę). Jajka ucieramy mikserem na puszystą masę, dodajemy też zmielonego mięsa, dodajemy też śmietankę, sól i pieprz do smaku oraz pozostałe przyprawy. Całość wykładamy do foremki wysmarowanej masłem i obsypanej bułką tartą ok. trzech czwartych wysokości formy. Pieczemy w temperaturze 180 st. C przez 60–70 min. Smacznego! ☺☺



FOT. ADRIAN STOK



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Bling Ring

Zwykle nastolatki, mają po 16, 17 lat. Ładne dziewczyny, 18-letni miły chłopak. Mieszkają w San Fernando na przedmieściu Los Angeles, takim, jakie uznalibyśmy za szczyt marzeń mieszkańca bloku. Parterowy dom w spokojnej okolicy z wystrzyżonym trawnikiem, podjazdem, na którym stoi samochód. Wokół podobne pastelowe domy, równie dobrze utrzymane, zadbane.

Ale dla tych młodych ludzi to za mało. Oni czują, że mieszkają na dole, w tej „biednej” dzielnicy. Biednej, jeśli porównać ją z „górami”. Tam, na wzgórzach Beverly Hills, znajdują się rezydencje po 20, 30 mln. Rozległe, z basenami, palmami, ogrodzone murem i strzeżone przez ochronę. Tam mieszkają celebryci i gwiazdy kina, które widzi się w telewizji, na Instagramie. Gwiazdy są bogate, pięknie ubrane, codziennie chodzą na imprezy, mają fajne życie.

– A ja, co ja mam? – myśli Alexis, wielkooka brunetka z powiększonymi ustami. – Też bym chciała imprezować, ale kieszonkowe ledwo starczy na działkę kokainy.

Mama Alexis, która robi w sektorze upiększania urody (usuwanie cellulitu itp.) i której ledwo starczy na spłatę długów, też uważa, że córka powinna robić karierę, najlepiej w modelingu. Narkotyki? Sama też bierze.

Na imprezach dziewczyny spotykają się czasem z Nickiem. Ale czym może im zaimponować chłopak, który nie ma fajnych ciuchów i nie mieszka „na górze”? Prze-



FOT. NETFLIX

łomowe dla Nicka okazuje się poznanie Rachel. On jest raczej nieśmiały, za to Rachel jest pewna siebie. Dla niej otwarcie cudzego samochodu i zabranie z niego paru rzeczy jest dziecinnie proste. Po kilku udanych eksperymentach można zabrać bez problemu nawet całe auto, którego właściciel zostawił kluczyki w stacyjce.

Od rzemyczka do koniczka. Grupa młodych ludzi organizuje się i rozwija złodziejski biznes – gang Bling Ring. W Internecie sprawdzają, kiedy celebryci przebywają poza domem: Orlando Bloom w Berlinie, Paris Hilton w Paryżu. Google Maps wskazuje drogę. Obrobienie rezydencji z biżuterii, ciuchów, gotówek idzie sprawnie. Nareszcie jest kasa. Na imprezy, na działki. Zresztą działkę kokainy wysokiej jakości można znaleźć bez trudu w sypialniach celebrytów i zaszpanować nią na imprezie.

Zaspoilerowałam, ale może zachęć do obejrzenia. Temat jest nienowy, opowieści o tym powstało kilka. Film Sophii Coppoli, serial Netflix, artykuły w „Vanity Fair”. Świetnie zresearchowany tekst Sylwii Czubkowskiej „Opium dla mas” o wpływie influencerów na nastolatki powinien przeczytać każdy rodzic. Budzi grozę, ale wiedzieć trzeba. ☺☺



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Król ucieka z Gdańska

Władcy Polski niejednemu raz musieli ratować się ucieczką. Z rodzinnej ziemi uchodził Władysław Łokietek, chroniąc się przed opozycją i prześladowającym go królem czeskim. Wawel porzucił dla Paryża Henryk Walezy, by przejąć koronę po bracie. Jednak najtragiczniejsza ucieczka stała się udziałem Stanisława Leszczyńskiego. Wybrany na króla 12 września 1733 r., przy aprobacie ogromnej większości szlachty, już po 10 dniach uchodzić musiał z Warszawy do Gdańska. Sprawa jego elekcji stała się bowiem elementem skomplikowanej gry dyplomatycznej otaczających

Rzeczpospolitą mocarstw. Już rok wcześniej Austria i Rosja podpisały tajny traktat, stanowiący, że po

śmierci Augusta II Sasa będą popierać jako kandydata portugalskiego infanta Dona Emanuela Braganę. Ostatecznie sygnariusze układu, do

którego dołączyły później Prusy, zdecydowali się postawić na syna Augusta II – Fryderyka II, elektora saskiego. Doszło wówczas do pierwszego w historii jawnego pogwałcenia elekcji i woli szlachty polsko-litewskiej. Rosja bowiem przeprowadziła zbrojną interwencję, jej wojska pod wodzą Piotra Lacy dotarły pod Warszawę. 5 października, przy poparciu zaledwie kilkuset przedstawicieli szlachty, przeprowadził on na Pradze pod wsią Kamion kolejną elekcję, na której ogłoszono królem Fryderyka.

Maski opadły, od 1733 r. Rzeczpospolita straciła niepodległość, słaba i rozbrojona, bez dużej armii stanowić miała przedmiot polityki sąsiadów – zwłaszcza Rosji. Już 22 września król Stanisław Leszczyński niemający wojska do obrony wycofał się do Gdańska, gdzie czekał na pomoc od swego zięcia, króla Francji Ludwika XV, mającego za żonę Marię Leszczyńską. Francja rzeczywiście wypowiedziała wojnę Austrii, ale nie Rosji, a jej pomoc okazała się bardzo słaba.

Leszczyński zamieszkał w Gdańsku, na Długim Targu, w kamienicach tradycyjnie przeznaczonych na kwatery dla królów polskich. Po kilku miesiącach oczekiwania na pomoc francuską i spodziewaną interwencję szwedzką 24 lutego 1734 r. pod miasto podeszły oddziały rosyjskie, rozpoczynając oblężenie i ostrzał. Sytuacja króla stawała się coraz gorsza, zwłaszcza że 23 czerwca skapitulowały przysłane przez Ludwika XV słabe oddziały wojskowe, które nie były w stanie przebić się do miasta. W dodatku padło Wisłoujście, a władze miejskie w obliczu beznadziejnej sytuacji rozpoczęły pertraktację z dowództwem rosyjskim, które zażądało wydania Leszczyńskiego. W obliczu całkowitej klęski i poddania miasta, za radą ambasadora Francji Montiego, król postanowił wymknąć się z miasta i schronić do Prus, które nie brały udziału w interwencji. Nocą 27 czerwca wymknął się z domu ambasadora na Długich Ogrodach, ubrany – jak podaje Edmund Cieślak – w strój wieśniaka. Ambasador zwerbował także trzech ludzi, którzy mieli przewieźć króla łodzią przez tereny zalanych Żuław, a następnie przeprowadzić przez moskiewskie posterunki do Prus. Eskapada zaczęła się przy nieistniejącym dziś bastionie Żytnim. Po przepłynięciu się łódką przez fosę król i jego towarzysze

zostali zatrzymani przez patrol żołnierzy gdańskich. O mało nie doszło do wymiany ognia, ostatecznie Leszczyński musiał się ujawnić, co było niebezpieczne, gdyż wieści o jego ucieczce rozchodziły się błyskawicznie. Już następnego dnia powiadomił o niej radę miejską ambasador francuski, ta zaś zawiadomiła rosyjskich dowódców. Feldmarszałek Munnich i gen. Weissenfels ogłosili nagrodę 20 tys. rubli za schwytanie króla.

Leszczyński tymczasem miał kłopoty z trzema przewodnikami, którzy okazali się zwykłymi łotrzykami. Dołączył do nich też czwarty – zbankrutowany gdańszczanin uciekający z miasta przed wierzycielami. Na szczęście żaden z nich nie wiedział, że ich towarzysz jest królem Polski. Cała czwórka zatrzymała się na cały dzień w chacie na bagnach. Następnego dnia dotarli do jakiejś grobli i rzeki, sądząc, że to Wisła. W rzeczywistości była to Wisła Gdańska. Król ukrył się na strychu w domu wieśniaka i widział jeżdżące po okolicy, szukające go kozackie patrole. Po dotarciu do rzeki nie znaleźli łodzi, na szczęście władca został rozpoznany przez jednego z chłopów, który podjął się zadania przewiezienia go na wschodni brzeg, czego dokonał w okolicach wsi Kieźmark. Później uciekinierzy kupili wóz z koniem, którym dotarli w okolice dzisiejszej Białej Góry, gdzie Nogat oddziela się od Wisły. Na wschodnim brzegu kupili kolejną brykę i parę koni, na której 3 lipca Leszczyński wjechał do Kwidzyna – pierwszego miasteczka na terytorium pruskim. Król od razu został objęty opieką administracji Fryderyka Wilhelma I. Z tej przymusowej emigracji, z Królewca, wydawał uniwersały, wspierając zawiązaną w jego obronie konfederację dzikowską. Niestety, korony już nie odzyskał, na pocieszenie został później dożywotnim władcą księstwa Lotaryngii. ©



FOT. DOMENA PUBLICZNA



RYS. QBA



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Prawdziwe efekty poszczepienne COVID

Co dziwne, w Polsce środowisko przeciwnie wstrzykiwaniu preparatu genetycznego szczepionek na COVID (Moderna i Pfizer już się do tego przyznały, że to genetyczny środek) przezywane jest jako antyszczepionkowe. Jest to obelga mająca stygmatyzować tych, którzy zadają niewygodne pytania. Po to, żeby nie musieć odpowiadać oszołomom. Ale to środowisko jest w większości zaszczepione. Tyle że na „prawdziwe” szczepionki. I właściwie tych prawdziwych nie kontestuje.

Ale mamy do czynienia z niepokojącym zjawiskiem, i to bez podziału na zaszczepionych i niezaszczepionych. Chodzi o to, że w ostatnich latach zaszczepianie się na „prawdziwe” szczepionki drastycznie spadło, bo nawet dziewięciokrotnie. Co jest tego przyczyną? Jeśli się spojrzy na krzywą rezygnujących ze szczepień, to gwałtownie wystrzeliła ona w górę podczas pandemii. To dziwne, bo w tak dużej presji strachu, z jaką mieliśmy do czynienia w covidowej pandemii, powinno być na odwrót. A tu taki zwrot.

Po pierwsze, zniknęli chętni do szczepienia na grypę. Powód jest jasny – zginęła sama grypa, to czemu mieliby się szczepić? A czemu zniknęła? Sezon 2017–2018 to 4 mln chorych na grypę. Rok 2021 – 900 tys. przypadków. Cud? No nie, bo grypę „wyparł” COVID,

na którego testy ewidentnie brały grypę sezonową za COVID. Co było dalej – mogliście państwo sami zaobserwować.

Ale efekty są znacznie gorsze z innymi szczepieniami, głównie dotyczącymi dzieci, a więc odra, różyczka, świnka. Szczególnie ta pierwsza to już kompletna klęska. Spadek szczepień przeciwko odrze jest tak duży, że utraciliśmy ciężko osiągniętą odporność stadną i nie ma bariery populacyjnej dla ochrony przed nią.

Skąd to się bierze? Ano się ludzie nasłuchali o zbawienym działaniu szczepionki na COVID, a potem się okazało, że wcale tak fajnie nie jest. Jak się okazało, zbawienny preparat, by był wzięty przez lud szczepienny, wymagał meandrów „przymusowej dobrowolności”, z zakazem pracy, wstępu i próbami ustawowego kapowania, to tego rodzaju niebezpieczne eksperymenty PR przeniosły się swym negatywnym skutkiem na całość szczepionek jakich takich.

To są realne efekty tych wszystkich ofensyw typu „ostatnia prosta”, które stały się w rzeczywistości rondem. Teraz infamia, którą szczepionkom ufundowała covidowa propaganda, obejmuje już obszary, w których były one skuteczne. Taki jest kolejny, odłożony w czasie element bilansu pandemicznych harców połączonych sił Big Pharmacy i mediów. Przyszedł kolejny rachunki. ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Wracają!

Zawsze byłem dumny ze swojego stryja Antoniego Pospieszalskiego. Polonisty, znawcy Norwida, żołnierza września i elitarnej formacji cichociemnych, uczestnika Misji Freston, więźnia Łubianki, a po 1945 r. twórcy polskiego szkolnictwa w Wielkiej Brytanii. Następnie dziennikarza BBC, autora audycji nadawanych przez Radio Londyn i publicysty paryskiej „Kultury”. Mniej zachwycali mnie jego teksty dotyczące religii, zwłaszcza polemika z nauczaniem Jana Pawła II w kwestii etyki seksualnej.

Należał do tej rzeszy Polaków, którzy musieli pozostać w Anglii. Stryj ożenił się ze Szkotką, mieli czworo dzieci, ale we wszystkich aktywnościach pozostał „w służbie Bogu i Polsce”. Przyznam, że gdy w 2008 r. zegnaliśmy go na londyńskim cmentarzu, ze zdumieniem skonstatowałem, iż nie ma z nami żadnego przedstawiciela służb dyplomatycznych RP. W bardzo licznej grupie pracowników polskich instytucji w Londynie nie znalazł się nikt, kto chciałby zauważyć odejście jednego z ostatnich żyjących cichociemnych. Tak działała, moim zdaniem, postkomunistyczna pamięć instytucjonalna gmachu przy al. Szucha.

Na szczęście wydarzenia ostatnich dni pokazały znaczącą zmianę. 26 września w Filharmonii Narodowej odbył się galowy koncert inaugurujący uroczystości wprowadzenia z Anglii do Polski prochów prezydentów na uchodźstwie. Uhonorowanie prezydentów RP: Władysława Raczkiewicza, Augusta

Zaleskiego, Stanisława Ostrowskiego i ich uroczysty pochówek w Mauzoleum Prezydentów RP w Świątyni Opatrzności Bożej są inicjatywą władz RP, w tym również MSZ, realizowaną przez Fundację Pomoc Polakom na Wschodzie. Są jednak przede wszystkim spłaceniem długu wobec tych środowisk.

Trwanie Polski poza Polską to nie tylko działania patriotów pokroju mojego stryja. Istnienie urzędu prezydenta na uchodźstwie, a przez to przechowanie depozytu instytucji niepodległego państwa w latach okupacji niemieckiej, potem sowieckiej i w ponurych latach PRL było z jednej strony aktem symbolicznym o znaczeniu moralnym, a z drugiej faktem politycznym. Wyrażało ciągłość legalnych władz (choć nieuznawanych przez sojuszników) i delegitymizowało wszelkie próby traktowania PRL jako niepodległego państwa.

Najlepszym przykładem znaczenia urzędu prezydenta II RP na uchodźstwie był dzień 22 grudnia 1990 r. Wtedy na Zamku Królewskim w Warszawie (w siedzibie prezydentów RP – Wojciechowskiego i Mościckiego) zostały uroczystości przekazane przez prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego insygnia: chorągiew RP, pieczęci Kancelarii Prezydenta, oryginał konstytucji z 1935 r. oraz Ordery Orła Białego i Polonia Restituta. Teraz, po latach (wreszcie!), w Mauzoleum w Świątyni Opatrzności Bożej spoczną szczątki tych, którzy urząd prezydenta na emigracji piastowali. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Nie mylić z Radosławem

Jest afera. Stop. Afera międzynarodowa, wręcz twitterowa. Stop. Mężczyzna o imieniu Radek (nie mylić z Radosławem, Radosław to poważny człowiek) znany jako mąż amerykańskiej Anny, Anny Applebaum, napisał na Twitterze po amerykańsku, że dziękuje Ameryce. Stop. Swoje fenksy zilustrował bulgotem Bałtyku po roszczeniowej zapewne gwałtem jakimś rurze Nord Stream. Stop. Świat te podziękowania odczytał jednoznacznie, że mężczyzna Radek o nazwisku Sikorski (ale nie z tych Sikorskich, tylko z tamtych) awarię przypisał celowym działaniom jankesów. Stop. Bardzo się ucieszyli bez zbędnej zwłoki ruscy propagandyści, podając Radka wpis i nawet multiplikując go nie tylko w społecznościowych mediach. Stop. Mniej się ucieszył amerykański rzecznik Departamentu Stanu Ned Price, który sugestie Radka (przypominam, że nie Radosława) nazwał „rosyjską dezinformacją” i „niedorzeczną ideą”. Stop. Radek należy do Platformy Obywatelskiej i trochę jej zaciążył jako ruski dezinformant. Stop. Wówczas wystąpił prezydent stolicy Trzaskowski Rafał i oznajmił, że Radek podziękował USA, że przestrzegały, iż może do ataku na NS dojść. Stop. Wielcy ludzie jak Radek często nie są przez świat rozumiani wcale. Stop.

Największymi podróżnikami na świecie okazali się jednak Ruskie. Stop. Ruskie mężczyzny. Stop. Po ogłoszeniu przez Putina mo-

bilizacji każdy jeszcze żywy ruski mężczyzna postanowił popodróżować. Stop. Ruskie patrioty nie chcą obciążać budżetu państwa i podróżować z armią na Ukrainę, tylko na własną rękę chcą zwiedzać wszechświat nieruski. Stop. Stanęli oni karnie w wielokilometrowych kolejkach m.in. do Gruzji, a nie zawsze tak tę Gruzję kochali. Stop. Ruskim podróżnikom życzę, żeby (dla czego to redakcja wycięła?). Stop.

Pamiętacie państwo słynny wpis Marka Migalskiego: „Co się tak cieszyicie ze zwycięstw Igi? Co macie z nią wspólnego? Tyle, co wszystkie 21-latki na świecie. Albo praworęczni w Afryce. Nic wam nie zawdzięcza i nic jej z wami nie łączy. Poza tym, że mówicie podobnym językiem (zresztą ona lepiej nim włada niż większość z was)”. Stop. Wydawało się, że to jest nie do przebiccia, ale wtedy na scenę wyszedł Greepeace Polska cały na białło. Stop. Napisali mianowicie na Twitterze: „Uruchomienie Baltic Pipe to nie powód do świętowania. Gazociąg nie zapewni nam bezpieczeństwa energetycznego i niewiele zmienia w kontekście odpowiedzi na zapotrzebowanie Polski na gaz w nadchodzącym sezonie grzewczym”. Stop. Internauci poprosili Greenpeace Polska, żeby pisali może jednak cyrylicą. Stop. Albo żeby zmienili nazwę na Onuca Peace. Stop. Coraz mniej zrozumienia dla działań trzęsącego się Władimira. Stop. Coraz mniej. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Lech Kaczyński wciąż mówi...

Małgośka – mówią mi – nie pytaj, co Polska może zrobić dla ciebie, ale co ty możesz zrobić dla Polski. A jednak ciekawsze jest, ile dobrego nadal robi dla kraju nawet po śmierci śp. Lech Kaczyński. Tak, prezydent zasłużenie pochowany na Wawelu. On wciąż ma wiele do przekazania światu.

Przykład? Proszę bardzo, tylko nie pytajcie mnie, jakim cudem udaje mi się czasem znaleźć w międzynarodowym towarzystwie na wysokim szczeblu, bo to jedna z moich tajemnic zawodowych. Oto

Wykorzystałam odważne słowa zmarłego prezydenta

siedzę parę dni temu w restauracji na tyłach kongresu w Madrycie z moim znajomym deputowanym hiszpańskim, a towarzyszą nam dziennikarz francuski i przedsiębiorca amerykański, którego żona jest ministrem w administracji Bidena. Zostałam lojalnie uprzedzona, że Amerykanin jako przekonany demokrat nie znosi prawicy pod żadną szerokością geograficzną. Ku memu zdziwieniu Amerykanin okazuje się równie rusofobiczny jak ja. Rozumiemy się doskonale w temacie geopolityki, do tego stopnia, że jego zdaniem tylko ja – jako polska dziennikarka – mogę wystawić „świadełstwo moralności” francuskiej lub hiszpańskiej prawicy wobec wojny na

Ukrainie (przynajmniej przy naszym stole).

Zgrzyt między nami pojawia się dopiero w rozmowie o jego polskich korzeniach, gdy słyszę po raz kolejny, że Polacy mają sporo na sumieniu w traktowaniu Żydów podczas okupacji, w tym oczywiście jego matki, która jako Żydówka cudem wydostała się z Pawiaka, a potem z transportu do Auschwitz. Rozmowa odbywa się w międzynarodowym gronie, więc jestem świadoma powagi oskarżeń. Upewniam się więc, że biesiadnicy znajdą postać zmarłego prezydenta Kaczyńskiego, i pytam amerykańskiego rozmówcę, czy zgodzi się, abym przeczytała relację z rozmowy tegoż z izraelską minister Julią Tamir dla „Haaretz”. Wszyscy potaknęli głowami, więc zaczęłam czytać dobitnie i na głos lekcję historii Lecha Kaczyńskiego. Po mocnych słowach o kupionym przebaczeniu i o tym, że Żydzi widzą w Niemczech już tylko kulturę i sztukę, a w Polsce tylko groby, głos mi zadrżał i skończyłam. Zaległa cisza, także przy stolikach obok. Amerykanin po namyśle wstał, podał mi rękę i wzruszony podziękował za te słowa. Do końca spotkania siedział zamyślony i przygaszony.

To nie jest pierwszy raz, kiedy wykorzystałam odważne słowa zmarłego prezydenta, aby zmusić oskarżycieli do refleksji. Świętej pamięci Lech Kaczyński wciąż pracuje na rzecz Polski. Wystarczy tylko czasem „użyczyć” mu swojego pulsu krwi i odrobinę głosu... ©©



ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Siła kłamstwa

Rzadko się zdarza, by tytuł tak doskonale pasował do zawartości, jak w przypadku nadanego i powtarzanego przez TVN materiału „informacyjnego”. Aż się zdziwiłem, że tak szczerze odsłonięto intencje bloku medialno-propagandowego, który wsparł całą swoją mocą ów materiał. Tak jak w omówionej w poprzednim moim felietonie na tych łamach operacji szkalowania prof. Roszkowskiego i napisanego przezeń podręcznika, tak jak w stale odnawianym scenariuszu podobnych akcji (np. „Bezkarne wieże Kaczyńskiego” czy „Afera Obajtka”), najpierw gazeta sztabowa nadaje ton, potem ruszają do działania sierżanci z najsilniejszej jednostki telewizyjnej, dalej – szeregowcy z panujących nad umysłami milionów dwóch największych portali „informacyjnych”. Są oczywiście wspomagające, zawsze wierne tygodniki i inne, nowsze media. I huczy przez kilka tygodni jeden przekaz. W tym przypadku wygląda tak: nie było żadnego zamachu rosyjskiego w Smoleńsku. Kaczyński wymyślił to, ponieważ jest mu to potrzebne jako „paliwo do politycznych kampanii”. Podkomisja Macierewicza całkowicie spreparowała dowody, by przedstawić kłamliwą tezę o zamachu.

A teraz mój najkrótszy komentarz do tych tez: jak szokujące kłamstwa i manipulacje, odwracające rzeczywistość o 180 stopni, zawarte są w owej nagonce, można przekonać się, dopiero studiując rzetelnie raport wspomnianej podkomisji. Nie „pod tezę o zamachu” Macierewicza na prawdę, tylko właśnie rzetelnie. Ale kto by tam miał na to czas? Nie będzie więc żadnych sprostowań. Tak jak radzili starzy mistrzowie totalitarnej propagandy: tysiąc razy powtórzone kłamstwo staje się prawdą. Kaczyński używa „pa-

liwa smoleńskiego” do kampanii? Kto przy zdrowych zmysłach mógłby uczciwie powtórzyć taką tezę? Czy ktokolwiek może uwierzyć, że PiS wierzy w zdolność skupienia nowych wyborców pod hasłem „zamach smoleński”? A jednak – wierzą.

Przejdźmy jednak do pierwszej, najważniejszej tezy nagonki na dochodzenie prawdy o tym, co zdarzyło się w drodze do Katynia w 80. rocznicę zbrodni. To teza o tym, że Rosjanie nie mogli TEGO zrobić. Obrona owej tezy jest na najbardziej podstawowym poziomie konieczna Donaldowi Tuskowi i prowadzonej wciąż przez niego formacji, ponieważ nikt tyle co on i jego towarzysze, ministrowie i propagandyści nie zrobił w latach 2007–2014 dla zbliżenia z Putinem, uwiarygodnienia go jako normalnego, niezastępowalnego partnera dla Polski i bezpieczeństwa energetycznego całego kontynentu. Nikt, poza oczywiście politykami niemieckimi, z Angielą Merkel, „ciocią chrzestną” naszego „cesarza Europy” (tak Tuska określił pewien, niedawno skazany, dziennikarz TVN).

Zamykanie oczu na całą serię zamachów na przeciwników Putina, na rosyjskie akty agresji (nawet militarnej, jak w przypadku Gruzji choćby w 2008 r.) i stale powtarzanego szantażu gazowego wymagało już dramatycznego ich skurczu, paraliżu zdolności poznawczych, kiedy stało się to, co się stało 10 kwietnia i w kolejnych dniach, gdy Tusk oddał całe dochodzenie i wszystkie dowody w sprawie tragedii w ręce postsowieckich służb. Rosja była zainteresowana wykazaniem, że nie ponosi za katastrofę smoleńską żadnej odpowiedzialności: ani jako producent i „serwisant” tupolewa, ani jako organizator przyjęcia prezydenckiego lotu, ani jako kraj, w którym

służby specjalne przejęły władzę w roku 2000, posługując się opisywanymi na całym świecie zamachami terrorystycznymi (Moskwa, Wołgodońsk, potem m.in. zabicie prezydenta Czeczenii Jandarbije-wa w Katarze, zabicie Litwinienki w Londynie – w tych sprawach nikt nie ma wątpliwości). I rząd Tuska zaangażował się wszystkimi siłami, że tak jest: Rosja nie ponosi żadnej odpowiedzialności. Wszystko jest nadal świetnie.

Aż do momentu, gdy okazało się, że zawarta została tajna umowa między polskim kontrwywiadem wojskowym a FSB, godną następczynią KGB – najlepszymi na świecie specjalistami od zamachów. Premier Tusk odciął się wówczas od tego porozumienia, zrzucając winę na szefów SKW, generałów Noska i Pytla. Na stronie portal-mundurowyp.pl szef SKW stwierdził wtedy, gdy musiał stanąć przed prokuraturą w tej sprawie: „Dumny jestem z tego, że SKW pod moim kierownictwem potrafiła nawiązać kontakt i poprowadzić dialog z tak trudną służbą, jaką jest FSB”.

Niezawodna „Gazeta Wyborcza” wówczas (to jest w maju 2017 r.) próbowała udowodnić, że właściwie za porozumieniem SKW z FSB stał prezydent Lech Kaczyński (tak jest!). I teraz ta sama gazeta uruchamia tego samego gen. Pytla, tak dumnego ze współpracy z FSB, by wystąpił w roli głównego oskarżyciela obecnego rządu Polski, że ten rząd właśnie jest agenturą Putina, że realizuje – także poprzez najsilniejsze ze wszystkich krajów świata (poza USA) wsparcie dla walczącej Ukrainy – politykę podporządkowaną interesom Kremla.

Taka jest siła legionu kłamstwa, że gen. Pytel swobodnie powtarza te tezy, nagłaśniane przez najsilniejsze w Polsce media, i ludzie wychowani już przez to kłamstwo wierzą. ©©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA



FOT. W. CEJROWSKI/D. JAROSŁAW SKOŚCIŃSKI

W amerykańskiej telewizji bardzo rzadko pokazują lub cytują polityków z Polski, a 20 września z okazji wycieku z rur na Bałtyku (NS1/NS2) cytowano Morawieckiego i Sikorskiego. Nikt inny się nie wypowiedział, bo na razie nic nie wiadomo, więc nie należy otwierać gęby z komentarzem, co to było. Niestety, Morawiecki ogłosił światu, że to był akt sabotażu, a Sikorski podziękował za ten sabotaż Stanom Zjednoczonym. Skąd oni to wiedzą? A jeżeli wiedzą, to dlaczego ogłaszają światu coś takiego, co będzie wymagało odpowiedzi bezpośredniej ze strony Putina? Pchają nas do wojny na wszelkie sposoby.

Szwedzi powiedzieli jedynie, że wykryli dwie podmorskie eksplozje, Duńczycy powiedzieli, że jest wyciek, i tyle wiadomo na teraz, ale ci dwaj „nasi” powiedzieli dużo więcej – ogłosili, że to był akt sabotażu ze strony USA.

Radek Sikorski jest w Parlamencie Europejskim przewodniczącym delegacji do spraw stosunków ze Stanami Zjednoczonymi, jego amerykańska żona jest aktywistką Partii Demokratycznej, oboje są bardzo blisko administracji Bidena – „dobrze poinformowani i ustosunkowani” – czyli wypowiedzi Sikorskiego nie da się po prostu zignorować. Dlatego była cytowana w USA.

No i niestety po tych oświadczeniach polskich polityków wyciągnięto nagranie z lutego 2022 r., podczas którego Biden dwa tygodnie przed wybuchem wojny na Ukrainie poinformował, że jeżeli Putin zaatakuje Ukrainę, to USA zatrzyma NS2. Ponieważ Biden często płące się i bredzi i nie jesteśmy pewni, co powiedział ani co miał na

myśli, reporter zadał pytanie o to, w jaki konkretnie sposób Biden zamierza „zatrzymać” NS2? Biden dobił piłkę, mówiąc, że mają swoje sposoby. Nie powiedział o powstrzymaniu dostaw, nie wspomniał o naciskach gospodarczych lub dyplomatycznych na Niemcy lub Rosję; powiedział, że NS2 przestanie istnieć.

Wtedy tę jego wypowiedź zignorowano, traktując ją jako kolejne przechwałki i brednie bez pokrycia. Nawet lewica machnęła na nią ręką, pomimo że to nie była jedyna taka wypowiedź ze strony administracji USA. Toria Nuland z Departamentu Stanu powiedziała w styczniu 2022, że jeżeli Rosja najedzie Ukrainę, to NS2 przestanie działać „w ten czy inny sposób”.

Te wszystkie wypowiedzi to jest gra na wojnę bezpośrednią, a nie gra o pokój.

USA oraz UE mają wiele sposobów, by wymusić zatrzymanie działań wojennych. Na Ukrainę wysłano i wciąż wysyła się tyle forsy i sprzętu wojskowego, że można by w każdej chwili postawić twarde warunki: natychmiastowe zatrzymanie ognia, zawieszenie broni i negocjacje. Gdyby Bidenowi oraz Unii Europejskiej zależało na powstrzymaniu zabijania ludzi, na powstrzymaniu burzenia infrastruktury, na powstrzymaniu zagrożeń eksportu z portów czarnomorskich, na powstrzymaniu potencjalnego wybuchu w ukraińskiej elektrowni atomowej, to są na to proste sposoby i dałoby się usadzić wojujące strony do stołu.

Pomoc, której Biden udzielił Ukrainie, ma wartość równą rocznemu budżetowi obronemu Rosji. To jest kolosalny

lewiar i Rosja też to czuje, bo ma swoje doświadczenia tego typu. Ronald Reagan rozkreślił wyścig zbrojeń i doprowadził Związek Sowiecki do bankructwa i ostatecznie do upadku. Gorbaczow zgodził się na demontaż muru berlińskiego oraz Układu Warszawskiego dlatego i tylko dlatego, że Ameryka miała więcej forsę i wyłożyła tę forsę na stół.

Po tym, co ogłosili światu Morawiecki z Sikorskim, jest już obojętne, czy to naprawdę Ameryka rozwaliła rurociągi, bo teraz Putin musi odpowiedzieć. Na tym polega wojna: akcja – reakcja. A co w takim razie może lub „powinien” zrobić Putin? Wojnę nuklearną jeszcze sobie zostawi na jakieś „potem”, bo to karta końcowa. Najpierw może rozwalić podwodny kabel położony na dnie Atlantyku łączący USA z Europą. Wtedy padają giełdy i mamy kryzys światowy na skalę kryzysu z lat 30. XX w., gdy ludzie na Manhattanie rzucali się z okien. Czyli reset, na którym zależy ludziom z Davos.

Może też zaatakować system GPS, na którym opierają się cała komunikacja w USA plus amerykańskie systemy obronne. Bez GPS armia amerykańska robi się ślepa, a do tego nie jest w stanie strzelać nawet na oślep niczym, poza bardzo starą bronią konwencjonalną, ale o rakietach sterowanych z kosmosu zapomnijcie, o samolotach zapomnijcie, o nawigacji okrętów zapomnijcie.

Putin ma doskonałych hackerów, więc może też zgasić prąd w Europie lub w Stanach Zjednoczonych, bo przesyły prądu sterowane są komputerowo.

Putin może zgasić dostawy żywności w USA. Może wyłączyć Amazona, który uzależnił

ludzi od siebie w czasie pandemii, gdy małe sklepy padały, a Amazon rósł do poziomu monopolisty i dyktatora rynku dostaw produktów podstawowych.

Putin może zgasić sieć cyfrową w USA, komórki lub Internet – cokolwiek mu przyjdzie do głowy jako adekwatna odpowiedź z grubsza symetryczna w zamian za rozwalenie jego rur z gazem. Wybuchy na ruskich rurach nastąpiły w dniu uruchomienia Baltic Pipe, to może symetrycznie wysadzi rurę za rurę?

Tę wojnę należało wygasić, a nie eskalować. I wciąż są do tego narzędzia nacisku. Tę wojnę należało traktować jako wojnę domową Ukrainy z Rosją, no ale Sikorski z Morawieckim wolą konflikt globalny. I już mnie nawet nie obchodzi, dlaczego oni tak wolą.

Posługuję się logiką i kalkulatorem:

Putin rozwalił własne rury? Teoretycznie możliwe, ale on przecież na tych rurach zarabia i za ich pomocą kontroluje Niemcy, bo albo puści więcej, albo zakręci kurek, więc jaką korzyść odniesie, jeśli samodzielnie odstrzeli sobie te dwie rury pełne szantażu i pieniędzy? Katastrofa ekologiczna na Bałtyku jest z punktu widzenia Putina dużo mniej warta niż to, co mu te rury dają, gdy gaz płynie do Niemiec, a nie w kosmos. Mnie z tego rachunku wynika, że tego nie zrobił Putin sam sobie. Mogę się mylić, każdy może, a w zasadzie większość się będzie mylić, bo problem z wojną, gdy się już zaczęła, jest taki, że wojna jest nieprzewidywalna dla żadnej ze stron. Dlatego wojny należy unikać, wojnę należy wygaszać. Wolę straty terytorialne – ziemia za pokój, Donbas za pokój – niż straty wojenne.

Mogę sobie woleć. A chłopcy z Davos wolą światowy reset. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE PAKIET KSIĄŻEK

KS. R. SKRZYP CZAK, P. CHMIELEWSKI:
„OGIE Ń W KOŚCIELE”, BP J. E. STRICKLAND:
„ŚWIATŁO I ZACZYŃ” ORAZ KARD. W. J. EIJK,
A. GALLI: „BÓG ŻYJE W HOLANDII”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~537zł~~

219,00zł
OSZCZĘDNOŚĆ 318zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJ DŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty,
przedłużymy Ci obecnie trwającą
prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@mpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 27f8e70daa



ROAMER
OF SWITZERLAND

7 YEAR
WARRANTY